

**Zapolska Gabriela**

**MENAŻERJA  
LUDZKA**

I.

ŻABUSIA.

Była jasną blondynką, jasną jak słońce promienne...

Drobna jej, maluchna buzia różowa i biała — śmiała się jakimś dziecinnym, naiwnym śmiechem, żłobiącym w pulchnych policzkach dwa rozkoszne dołki. Z całej jej postaci zdawała się wydziełać woń, właściwa różowym hyacyntom, a gdy ubrana w różowe „matinée”, przesuwała się ze śmiechem z pokoju do pokoju — jakaś srebrna smuga znaczyła jej przejście, smuga, którą pozostawia po sobie wschodząca jutrzienka.

Śmiała się ona zawsze, ta rozkoszna, jasnowłosa kobietka — śmiała się leżąc jeszcze w kołysce, potem u bratek kon-

fesyonału — wreszcie u stopni ołtarza, gdy wlokła za sobą szumiący tren jedwabnej białej szaty.

Śmiech powitał nawet krzyk jej cór-

ki — bo nawet w cierpieniach umiała coś zabawnego wynaleźć.

Była bardzo pobożną i codziennie prawie biegła do kościoła.

Miała ładną książeczkę, oprawną w kość słoniową i zbrudzoną na kartkach, które czerniły się modlitwą „Za męża i rodzinę”.

To była jej świąteczna książka — na codzień miała wielkiego „Dunina”, którego czytała, strzelając oczkami na lewo i prawo, lub przechylając główkę na atlasową kołdrę swego eleganckiego łóżka.

Lubiła łakocie i miała pod poduszką kilka daktyli, które jadła, przebudziwszy się w nocy, chichocząc się jak szalona.

Przepadała za wanilią i miała jej zawsze pełne kieszenie, lubiła grać w loteryjkę — przytem szachrowała dość zręcznie.

Córkę swoją — małą, puciołowatą dziewczynkę, przezwała „Nabuchodonozorem” a męża „Rakiem”. Siebie samą, jakkol-

wiek miała na chrzcie św. imię Zofii, nazywała „Żabusią”. Często siadywała na dywanie i bawiła się z córką, przyczem następowała zwykle kłótnia o zabawki, które matka z córką wydzierały sobie wzajemnie...

Mąż, dobry, poczciwy filister, urzędnik

w jakimś towarzystwie asekuracyjnym,  
pokręcał węża i uśmiechał się z zadowo-  
leniem.

— Dziecinna! ach! jaka dziecinna ta  
moja Żabusia!

Ona, z krzykiem zrywała się z ziemi,  
siadała na kolanach męża i rozpoczynała  
śpiewać,..

Jechał pan

Za nim chłop

A za nimi Żydóweczki

Pogubiły patyneczki...

Śpiewając, wyciągała z mężowskich kie-  
szeni pieniądze i z powagą dawała mu  
dziesięć groszy.

— Masz, Raku, na czarną kawę i...

Resztę pieniędzy chowała do toaletki.

I Rak poddawał się tej tyranii, jakkol-  
wiek dziesięć groszy dziennie, nawet dla  
urzędnika w towarzystwie ubezpieczeń,  
chyba za mało!...

Jakże się jednak sprzeciwić tej rozkosz-  
nej istocie, która z całą naiwnością pa-  
trzy mu w oczy i białe, pachnący karczek  
do pocałunków nadstawia? Brał Rak ową  
wytartą dziesiątkę i całował Żabusię,  
znajdując w tem wiele rozkoszy.

Była więc bożyszczem całego domu.

Kochał ją mąż, pomimo że tyranizowała go nieznacznie.

Kochało dziecko, pomimo że wydzierła mu zabawki i wyrywała włosy, czesząc dwuletnią dziewczynkę à la Mikado.

Kochały sługi, pomimo że grymasiła bezustannie i czasem całe ranki siedziała w kuchni.

Nad wszystko jednak ubóstwiali ją rodzice.

Tych dwoje starych ludzi w Żabusi swej widziało uosobienie cnót i doskonałości wszelakich.

Żabusia — jedyne, wypieszczone dziecko, za wzór była wszystkim kobietom stawiana...

I gdy co wieczór zgromadzano się dookoła stołu, oświetconego wiszącą lampą, Żabusia, wycinająca lalki z tektury lub lepiąca abażury, była punktem koncentrującym wszystkie spojrzenia.

Ku niej zwracano się, uśmiechano, przesyłano pieśczośliwe słowa.

Ona, różowa, biała, wesoła — poddawała się tym pieśczołom, tej wielkiej miłości, jaka ją otaczała, kąpiąc się niejako w ciepłe przywiązania i rozsiewając dokoła promienie szczęścia rodzinnego.

Każdemu odwzajemniała się dobrem słowem, uśmiechem — a drażniąc Nabuchodonozora, głaskała dziecko po głowie; potrąciwszy sługę, uśmiechała się do niej, nazywając „poczciwą idyotką”...

Nie — stanowczo, nikt nie mógł się na Żabusię gniewać, lecz przeciwnie, każdy musiał ją uwielbiać jak wcielenie dobroci, wdzięku i prostoty...

Była ona uosobieniem kobiecości.

Miała tyle tkliwości w spojrzeniu, w głosie, w ruchach łaszącej się kotki, że rozkosz było patrzeć, gdy na paluszkach skradała się, aby uszczypać drzemiącego męża, lub nasypać pieprzu w otwartą buzię córki...

Śmiała się potem rozkosznie i wdzięcznie przeginając, zasypywała pieszczotami przerażonego męża, lub skrzywioną dziecinę... mówiła przytem cieniuchnym głosikiem :

— Nie gniewać się na Żabusię!...

Więc mąż uśmiechał się do tego białoróżowego zjawiska, dziękując Bogu, że dziecinne usposobienie żony pozwoli mu nie lękać się o naruszenie z jej strony wierności małżeńskiej...

I rzeczywiście — kręcąca się po domu

z wesołą piosenką na ustach, ubijająca piankę w kuchni, przyszywająca guziki do męzowskiego palta lub nicująca krawaty, była uosobieniem kochającej żony i „milutkiej” kobiety.

Miewała jednak chwile, w których przychodziły jej na myśl poważniejsze refleksje.

Naprzykład po przeczytaniu „Pani Bovary” — zamknąwszy książkę, usiadła u nóg męża.

W rękę trzymała kawałek newchatelu, lecz nie gryzła go, ale pograżyła się w zadumie.

Mąż, czytając „Kuryera”, nie przerywał ciszy.

— Wiesz, Raku — wyrzekła nareszcie — ta kobieta to zdradzała męża... niegodziwa, prawda?

— Hm — odparł zagadnięty — jeżeli mąż był niedołęga...

Lecz nie mógł dokończyć.

Żabusia porwała się nagle jak szalona.

— To nie upoważnia! — wołała — i ty, Raku; jesteś niedołęgą a przecież cię nie zdradzam !...

— O — protestował mąż.

— Niema... o! — upiec na rożnie taką

kobietę... nic ją nie usprawiedliwia !...  
to potworne !... w dodatku pani Bovary

miała dziecko, o takiego Nabuchodonozora!...

I tu Żabusia, porzuciwszy ser, chwyciła w objęcia córkę, która głośnym krzykiem zaprotestowała przeciw temu gwałtowi. Rodzice tymczasem spoglądali po sobie. O! tak! — oni wychowali Żabusię w świętych, tradycyjnych przepisach cnoty i surowości. Ona wie, czem się brzydzić na świecie, co jest nikczemnością, fałszem i podłością...

To anioł!

Anioł domowego ogniska, który śmiechem swym troskę z czoła męża spędza, jest chlubą i podporą rodziców, troskliwą i czułą matką!...

To anioł ta Żabusia, kręcąca się w tej chwili po pokoju z szelestem jedwabnego szlafrocza...

Uosobienie wdzięku, miłości, niewinności, cnoty!...

Nagle Żabusia zatrzymuje się w tańcu. Spogląda na zegar i, kołysząc się zwolna, podchodzi ku mężowi.

— Żabusię głowa boli! — mówi, sadząc córkę na kolanach męża. Żabusia pójdzie na spacer...

— Będę ci towarzyszył... — woła mąż.

— Niechcę! — protestuje z miluchnym Dąsem — pójdę sama! Rak tu zostanie i będzie Nabuchodonozorowi cacka ustawił!...

— Ależ !...

— No! sprzeciwiasz się?

— Nie... tylko kawa!...

— Pójdiesz jak wrócę... wtenczas dam ci dziesiątkę, inaczej, z czym Rak do cukierni pójdzie?...

Mąż jeszcze próbuje opozycji.

— Żabusia tak chce! — woła młoda kobieta, uśmiechając się zalotnie — Żabusia bardzo prosi, główka ją tak boli!... Rodzice uważają za stosowne interweniować.

— Ależ idź, drogie dziecko!... przejdź się! — mówi ojciec.

— Pobladłaś, cierpisz widocznie — dodaje matka.

I za chwilę przez pokój, w którym jest



zgromadzona cała rodzina, przesuwa się Żabusia w nowym, sukiennym kostiumiku, okładanym szenszylami.

Wygląda jak młodziuchne dziewczątko w tym obcisłym zakieciku, a nowe buciki skrzypią za każdym krokiem.

Całuje ręce rodziców, mężowi nadstawia usta do pocałunku, córkę głaszcze po głowie i żegnana, obdarzona pieścizotami, staje jeszcze na progu, przesyłając pocałunki końcami palców, ubranych w duńską rękawiczkę.

— Pa!... pa!... — woła — pa, Raku! pa, Nabuchodonozorze!... pa, mamusi i ojczusiowi... a niech Kozia za pół godziny samowar nastawi i po sucharki pójdzie!... pa!...

I cicho znika we drzwiach, pozostawiając po sobie gamę srebrzystego śmiechu i wspomnienie uosobienia niewinnego wdzięku kobiecego.

Przeciągły pocałunek przerwał ciszę. Wśród bladego światła przyciemnionej lampy, zamajaczyła nagle drobna postać kobieca, powstająca z otomany. Kaskada jasnych włosów rozsypana na zarumienione ramiona, drżała złotawym blaskiem; oczy, błyszczące fosforycznym

ogniem, migotały u tej kobiety jak dwa błędne ogniki, usta namiętnie rozchylone, zgniecione w świeżym pocałunku miłosnym, zachowały jeszcze wilgoć zmysłowej ekstazy.

Wszystko w tej postaci tchnęło zmysłowością, szalem bachantki, poddającej swą pierś pod uściski satyra.

Stała, wyciągając ręce wysoko nad głową, przechylając się w tył, wciągając jakby w siebie cząstkę miłosnego dreszczu.

Stojący przed nią mężczyzna zapalał właśnie papierosa.

— Mogłabyś zostać chwilę.

— O! nie, nie — odparła kobieta — muszę wracać, aby podejrzeń nie ściągać...

I zaczęła szybko nakładać zakieciak i resztę ubrania. On jej pomagał, szukając po całej pracowni porozrzucanych drobiazgów, które przed chwilą zrywali oboje drżącymi od namiętności rękami.

Kapelusz zapadł gdzieś po za wielkie stalugi, trzeba było go szukać... odsuwać draperye.

Oczy ich spotkały się, ręce splotły w uścisku. Cała bezgraniczna, zmysłowa potęga zadrgała w tem jednym spojrzeniu.

Gorąco aż biło od tych dwojga młodych ludzi, ukrytych w cieniu odosobnionej pracowni malarskiej na ustronnej ulicy.  
— Kiedy cię zobaczę?... — zapytał mężczyzna, cały drżący pod wpływem dotknięcia jej rąk rozpalonych.  
Ona wzruszyła ramionami.  
— Niewiem kiedy się wyrwę, niełatwo mi to przychodzi...  
On wstrzymywał ją jeszcze, obejmując miłosną pieśczołą.  
— O! ale... niedługo!  
Kobieta spojrzała mu znów w oczy.

Zielone błyski strzeliły z pod jasnych rzęs.  
— Szaleńcze! — wyszeptała zdławionym od wzruszenia głosem — czy ja mogę istnieć, nie widząc cię dni kilka?...  
A do progu już zwrócona, dodała pieśczołliwie :  
— Kochaj swoją... Żabusię!...  
Portyera zapadła, kobieta znikła, pozostawiając po sobie całą smugę płomiennej namiętności, drgającej w powietrzu.  
Mężczyzna powstał chwilę, uśmiechając się jakoś ironicznie.  
Poczem otrząsnął się, położył na otomanie i gwizdząc walca, zapalał zgasłe-

go papierosa.

Nabuchodonozor tęsknił bardzo do mamy. Tęsknił i Rak, tęsknili i rodzice, siedząc dokoła stołu, na którym nakrywano do herbaty.

Na białym obrusie rozstawiono filiżanki a stary ojciec upominał pokojówkę:

— A uważaj, aby samowar gotował się dobrze, bo pani pewno zmarznięta powróci...

A matka układała sucharki, chowając lepiej lukrowane na spód, aby tylko dla Żabusi się zostały.

— Zimno jest, gdzie też ona tak długo bawić może? — wyrzekł wreszcie mąż.

— Wstąpiła pewnie do kościoła — w adwent lubi przecież tam chodzić wieczorem — odrzekła matka.

— Jeszcze się zaziębi.

— Bóg ją od złego uchroni!...

Nastało milczenie.

Tylko Nabuchodonozor podciągał noskiem, bo cierpiał katar okropny.

Nagle drzwi się otwarły z trzaskiem.

We drzwiach stanęła... Żabusia.

Cała była jeszcze różowa, w oczach grały dogasające namiętne blaski.

Wszyscy rzucili się do niej z krzykiem :  
— Żabusia!...

Ona witała kolejno każdego, rozsypując  
całusy jak grad cukierków. Opowiadała

przytem wiele o zimnie i o modlących się  
ludziach po kościołach.

— Organy pięknie grają, świec masy  
płoną a Żabusia siedziała w kąciku a po-  
tem na spacer pięknie poszła...

Zrzuciła zakieciak i przygładziła rozrzu-  
cone włosy.

— Herbatki! prędzej — wołał ojciec.

— Ja naleję!... — dodawała mat-

Ka — biedactwo przeziębło, gotowa za-  
chorować ...

Ale Żabusia siedziała już na kolanach  
męża i śpiewała:

Jechał pan

Za nim chłop...

Nabuchodonor uszczęśliwiony, opie-  
rał swą główkę o suknię, patrząc w oczy  
matki, w której gasły kolejno zmysłowe  
ogniki.

— Masz dziesięć groszy — wołała Ża-  
busia, dając mężowi monetę — idź, zabaw  
się ty teraz... biedny... Raku!

[ ]

II.

KOTECZEK.

— Co chcesz do herbatki, koteczku?

— Cokolwiek!...

— Ale przecież!...

— Coś taniego!...

— Może szynki?...

— Hm!... zaraz trzeba brać pół funta.

— Poco?... dla mnie nie trzeba, ja mam jeszcze pieczeń z obiadu!

— Tak?... ale zawsze to już duży wydatek, nie! — nie potrzeba. Zjem bułeczkę z masłem, mnie to wystarczy zupełnie. Zresztą, oszczędzać musimy, daleko jeszcze do końca miesiąca...

Młoda kobieta spojrzała z uwielbieniem na męża.

Jej koteczek byłby w stanie się zagłodzić z oszczędności, gdyby ona na to pozwoliła. Prawda, że pensyjka bardzo szczupła, gratyfikacji niema podobno żadnych a procent z jej posagu zaledwie piąty...

Przynajmniej tak koteczek powiada.

A co kotuchno powie — to święte.

Żona ślepo ufać mężowi powinna. Tak ją

od dziecka uczono.

Tymczasem koteczek przeczytał „Kuryera” i, ziewając, powstał z krzesła.

Był to wielki, rosły mężczyzna, szeroki w plecach, szeroki w karku, szeroki w czole. Zdrowie, siła były aż odurzającym zapachem z tych wspaniale rozwiniętych członków dobrze odżywianego człowieka, twarz mieniła się niemal różową cerą. Jasne, delikatne włosy uczesane dość starannie, zakrywały niewielką łysinę, usta formnie wykrojone miały w sobie zmysłową wilgoć, jakby od świeżych jeszcze pocałunków, lub połykanych ostryg, oczy senne, o namiętnej przywarciu powiek,

patrzyły z pod jasnych rzęs na wpół łagodnie, na wpół złośliwie.

Ręka biała, zgrabna, o długich, kształtnych palcach, gładziła starannie uczesaną brodę, od której zdaleka rozchodziła się woń ateńskiej wody.

Ubranie letnie, jasne, zdrowa cera, wreszcie cała postać wyprostowana, niezgarbiona, nieskurczona bynajmniej, nie miały cech charakteryzujących zwykłego biuralistę, spleśniałego w cuchnącej atmosferze wilgotnego biura.

Koteczek był wprawdzie urzędnikiem,

ale jednym z tych pomocników buchaltera, którzy po biurach kolejowych śpią na ceratowych kanapkach, lub zadają tłuste szarady do rozwiązywania swym kolegom, za co pobierają pensje a nawet i gratyfikacje.

Dziś — koteczek wrócił wcześniej trochę z biura, zjadł skromny obiadek, który sam zadysponował, ze smakiem, przespał się dwie godzinki wśród kościelnej ciszy na swej ulubionej sofie, a teraz, ubrawszy

się, czytał „Kuryera” i czekał na herbatkę, którą mu żoncia poda.

Później pójdzie przejść się trochę.

Ona — zostanie w domu — jutro pranie, bieliznę policzyć trzeba — wreszcie koteczek zwykle sam wychodzi.

Żoncia zostaje, już się do tego przyzwyczaiła. Teraz do herbaty przygotowuje, chodząc jak cień w swych biednych przydeptanych pantofelkach, taka chuda, mizerna, znędzniała przed czasem. Ma zaledwie dwadzieścia pięć lat a trudno byłoby oznaczyć jej wiek, patrząc na zapadłe piersi, na żółte plamy do koła oczów, na nos wazki, wydłużony, na całą postać schyloną tem bolesnem pochyleniem, właściwem chronicznie cierpiącym kobietom, które zasypiają obłożone mokremi płacami, a melisę pochłaniają garncami prawie.



I teraz, gdy zdejmuje z półek kredensowych filiżanki i wyciera je czyściuchną serwetką, krzywi się boleśnie, tłumiąc jęk, który jej się na usta wydobywa.

Lekarz mówił, że cierpienie jej pochodzi głównie z braku sił i zalecił buliony,

stare wino, surowe mięso... ba! nawet wyjazd do Krynicy... ale lekarzowi łatwo mówić. Zkądże ona wzięłaby mogła na takie zbytkowne rzeczy, ona, której koteczek z najwyższą, trudnością zaledwie jest w stanie tę skromną kwotę co pierwszego, na utrzymanie domu wręczyć?...

A potem, gdy zabraknie... a! niech Bóg zachowa! koteczek nie doda ani grosza, choćby głodem zamrzeć przyszło. Pójdzie na spacer bez obiadu, bez herbaty a nie doda nic, nawet z przyszłego miesiąca nie zaawansuje paru rubli...

Zapewne nie może.

Ona mu tego za złe cienia. O! gdzieżby znowu. Gdyby miał, toby dał... Koteczek ma przecież anielskie serce... Niedawno kupił jej skórzaną broszeczkę za dwa złote; kiedyś znów pozwolił jej... natrzeć włosy wodą ateńską.

O! gdyby on miał, dodałby jej nieraz do miesięcznej pensji... raz nawet dał jej na to — słowo honoru, choć ona bynaj-

mniej nie żądała takiego dowodu, ona wierzy mu we wszystkim.

Tylko — jakże to można pozwolić, aby koteczek — jadł do herbaty samą bułeczkę?!...

Trzeba posłać po szynkę koniecznie, choćby się miał rozgniewać, zresztą, ona wie, że koteczek pokrzepić się musi, wszak większe pół dnia w biurze pracuje!

A, wiadomo, biuro strasznie zdrowie niszczy. Podobno nawet suchoty wprowadza...

— Nie!... Bóg by nie był tak niełitościwy i nie zabrałby jej koteczka — nie nawiedziłby go tak strasznym cierpieniem.

Tak! tak! trzeba, żeby się mężuś lepiej odżywił, trzeba, po szynkę posłać koniecznie.

Biegnie do komody, odsuwa szufladę, wyjmuje ostatniego rubla i chwilkę stoi zafrasowana. Cóż będzie z jutrzejszym obiadem ?

E! — poradzi sobie, już wie w jaki sposób. I uśmiechnięta, pokaszując trochę, wychodzi do kuchni. Tymczasem, stojący przy oknie mężczyzna odwrócił się i skrzy-

piąc batami przeszedł przez pokój. Dobył z kieszonki od kamizelki kluczyk, otworzył małą szafkę i z pomiędzy porządnie poukładanego ubrania, wy dostał niewielki pugilares. W pugilaresiku tym szeleściły banknoty. Otworzył go i spiesznie przerachował. Było tam około pięćdziesięciu rubli. Pugilares schował do kieszeni, wyjął cieniuchną chusteczkę, z baletniczkami po rogach zamiast monogramu, zmienił szpilkę u krawata, poczem zamknąwszy szafkę podszedł do toaletki.

Systematycznie zaczął czesać rzadkie włosy; przyciskając je lekko do różowej skóry, poczem wyjąwszy z szufladki puszkę z pudrem, pudrował się lekko, starannie ścierając veloutine z brwi, rzęsów i wąsów. Puder osiadał na lekkim meszku pokrywającym policzki koteczka, tworząc w ten sposób na twarzy mężczyzny, jakby krepową zasłonę. Poczem, lekkim a wprawnym ruchem, koteczek przyczernił sobie brwi i rzęsy za pomocą ołówka i odsunąwszy się od lustra, począł rozmaite podobójcze miny próbować.

Od kilku chwil otworzyły się cicho drzwi od kuchni i do pokoju wsunęła się żoncia.

W ręce trzymała szynkę zawiniętą w papier, i w niemem uwielbieniu spojrzawszy na męża, stanęła, przyciskając szynkę do piersi.

Wydawał się jej w tej chwili tak piękny, tak elegancki, tyle od niej wyższy i dystynkcyą i rozumem i pięknnością — że wciąż stała zapatrzona w swoje bóstwo, fryzujące sobie teraz wąsy maluchnem rozgrzanem żelazkiem.

On, spojrzawszy przypadkowo na nią, dojrzał to uwielbienie malujące się w jej spłowiałych oczach.

— Hm, patrz! jakiego masz męża — wyrzekł z zadowoleniem..

Ona nic odpowiedziała nic.

Uśmiechała się tylko, prostując się tak-że, jakby z dumy... urosnąć chciała.

— Możesz mnie pocałować — dodał z pobłażliwością — ale tu w szyję... o!...

Wyciągnął swą tłustą szyję dobrze zbudowanego blondyna i przymknął oczy z dobrotliwym uśmiechem.

Ona — zbliżyła się szybko, zmieszana, niezgrabna, nieprzyzwyczajona do częstych tego rodzaju pieszczot. Gdy znalazła się tuż przy nim, taka nędzna, mała, chuda, zmieszana się jeszcze więcej. W lustrze widziała odbicie postaci swej i stojącego wciąż z zamrużonemi oczami męża.

Zawstydziała się samej siebie, swego wyniszczenia, swego skromnego szlafroka i stała niezdecydowana, cisnąc wciąż papier z szynką do zapadłej piersi.

Lecz on zniecierpliwiał się wreszcie.

— No, korzystaj, kiedy pozwalam...

Podniosła się więc na palce i cała spłoniona, pocałowała go w klapę od jasnego żakietu, a silna woń white rose, wydzielająca się z ubrania męża, odurzyła ją do reszty.

Jak pijana zwróciła się do stołu, na którym zaczęła ustawiać talerzyk i rozkładać na nim szynkę.

Ręce jej drżały, widelca utrzymać nie mogła.

Była w tej chwili bardzo szczęśliwa.

Łzy jej oczy osłaniały mgłą wilgotną, serce biło w piersi bardzo żywo.

Tymczasem koteczek nałożył w eleganckiej etui całą masę papierosów i z ma-

łej doniczki niezapominajek, stojącej przed obrazkiem Matki Boskiej, uszczknął gałązkę.

Gałązkę tę zatknął sobie w butonierkę i zasiadł do herbaty.

Żona podała mu filiżankę i nasmarowaną bułeczkę. Poczem, jeszcze cała zmieszana, z uśmiechem na pobladłych wargach, podsunęła mu talerzyk z szynką.

On — ze zdziwieniem poruszył umalowanymi brwiami.

— Szynka? — zapytał.

— Tak, kotku — proszę cię, jedz! — odpowiedziała nieśmiało.

— Zbytki! zbytki!... — dodał, biorąc na talerz największy różowy płatek: — ale pamiętaj! gdy zabraknie — nie dodam ani grosza!... ani grosza!...

Lecz ona zaprotestowała.

— Nie bój się, wystarczy!... jedz tylko!... proszę cię!

Krzątała się koło niego, podsuwając mu cukier, masło, śmietankę.

On — nawet nie zważał na tę usłużność, snąc przyzwyczajony do tej troskliwości i niewolniczej czci, jaką go zwykle otaczała.

Jadł powoli — nie śpiesząc się, odsu-

wając zdaleka talerz — z gracyą i manierami aktorki, o której gazety piszą ciągle, że jest „dystygowana”. Wreszcie zapytał, nie podnosząc głowy:

— A ty?

— O! ja mam co innego — odpowiedziała kobieta.

Nastała znów chwila milczenia.

Jakże chętnie pragnęła żoncia - zacząć jakąś dłuższą z swym koteczkiem rozmowę.

Lecz o czym? — o czym ona mówić mogła, pogrążona cała w drobnych kłopotach swego nędznego gospodarstwa, pomiędzy imbrykiem melisy a wiązką rzod-

kiewki. Instynktem zgadywała, że podobne przedmioty nie są odpowiednie dla jej eleganckiego koteczka, który w tej chwili tak delikatnie, tak ślicznie mieszał łyżeczką herbatę...

I w głowie tej kobiety powstała myśl bardzo zuchwała.

Gdyby tak koteczek zechciał dziś cały wieczór poświęcić dla niej, dla niej wyłącznie — pozostać w domu!

Gorąco jej bije do głowy na samą tę myśl... Jakże to byłby miły dla niej wieczór! jakże jej szczęście byłoby zupełne!...

Ma wprawdzie liczyć brudną bieliznę—  
ale może to odłożyć do jutra...

Siedzi więc pochylona nad swoją filiżanką i w biednej głowie szuka zawzięcie sposobu, aby stać się miłą, rozmowną. Wzrok jej pada na leżący na ziemi Karyerek.

— Co tam w Kuryerku — zapytuje niepewnym głosem.

— Przeczytasz sama — odpowiada mąż. I znów nastaje milczenie.

Kobieta prawie rozpaczliwie wodzi wzrokiem dokoła.

Tak mają mało spójni moralnej, że wszystkie jej wysiłki pozostają bez skutku. Wreszcie on wstaje, ociera starannie wąsy i raz jeszcze podchodzi do lustra.

Ona wie dobrze, co to znaczy.

Za chwilę koteczek wyjdzie a ona, ona, zostanie sama! na cały wieczór, na długi, smutny wieczór!

Zapewne — jest do tego przyzwyczajona. Ale dziś szczególnie jej smutno. Wszak to dziś rocznica ich ślubu...

On o tem zapomniał zupełnie...

Lecz ona niezapomniała i chce mu to powiedzieć, wszak dzień taki to prawie uroczyste święto... Lecz on wziął już ka-



pelusz i elegancką laseczkę, teraz naciąga rękawiczki, pogwizdując lekko. Żona zbliża się ku niemu, przełykając z trudnością ślinę.

— Wychodzisz — pyta, patrząc mu błagalnie w oczy, jak pies świeżo obity.

— Naturalnie!...

Ona przestępne z nogi na nogę, ręce jej machinalnie wyciągają bryty szlafroka.

— Zostań w domu! — prosi cichutko.

On odwraca ze zdziwieniem głowę :

— Poco ?

Tem jednym pytaniem przybija ją do miejsca.

Tak! — prawda! — poco ?

Taki strojny, mądry, piękny mężczyzna, ma siedzieć w tych trzech klatkach, których okna wychodzą na odludną ulicę...

Ona — ach! ona to co innego!

Pragnie go jednak zatrzymać choćby chwilę jeszcze.

— A... co chcesz jutro na obiad? — pyta spieszenie, wciskając głowę pomiędzy ramiona.

— A!... co chcesz, byle tanie — odpowiada koteczek, otwierając drzwi do przedpokoju — najlepiej barszczyk, bo może późno wrócić...

Ona już nic nie odpowiada, tylko stoi  
na środku pokoju, smutna, zgnębiona —  
ujawniając w ostatnich blaskach zachodzącego słońca swą nędzę opuszczonej  
i oszukiwanej kobiety.

Nagle — porywa się i biegnie do okna.  
On — będzie przechodził przez dziedziniec,  
zobaczy go jeszcze, może się uśmiechnie do niej, głowę odwróci...  
— Nie!

Przeszedł przez dziedziniec, pewnym  
i śmiałym krokiem, wywijając laseczką  
i pogwizdując lekko.

Dwie dziewczyny stojące koło pompy,  
obejrzały się za nim ze znaczącym uśmiechem.  
Zniknął w ciemnej bramie, nie myśląc wcale o tem, że na drugim piętrze  
z po za białych, pocerowanych firanek śledzą go oczy pełne łez i miłości, biedne  
oczy schorowanej kobiety a zżółkłe i spieczone usta,  
szepczą z dumą i niewysłowionem uczuciem:

— Koteczek! koteczek!

Siedziała tak w oknie z pół godziny.  
Była to jedyna chwila dnia, w której oddawała się próżnowaniu.

Wciągała zgniłe powietrze podwórka  
pełnemi piersiami i wpatrywała się w szmat

nieba, który zarysowywał się ostro pomię-  
dzy szczytami dachów.

W trakcie robiła myślą rachunek wy-  
datków dnia całego i układała budżet na

dzień następny.

A wszystkie jej myśli kręciły się tylko  
około jednego punktu.

Punktem tym był naturalnie... koteczek.

Od pierwszej chwili poznania, rosły ten  
blondyn zaimponował jej i oczarował jej  
dziewiczą istotę.

Gdy się oświadczył o nią a właściwie  
o jej skromny posążek, nie mogła szczęś-  
ciu swemu dać wiary.

Gdy odchodziła od ołtarza, już patrzyła  
na niego tym pokornym, błagającym wzro-  
kiem jak pies, którego po raz pierwszy na  
łańcuchu prowadzą.

Oddała mu się z pokorą i wdzięcznością,  
kryjąc rumieniec w dłoniach i szepcząc:  
„Kto się w opiekę”.

On — wspaniale, jak dobry książę z baj-  
ki, przyjął klejnot jej dziewictwa i pięć  
tysięcy rubli, które jako sierota złożone  
miała w kasie oszczędności.

Od tej chwili Józia o pieniądzach tych nie wiedziała nic.

Należały do niego, rozporządzał niemi według upodobania.

Ona, welon oblubienicy zamieniła na fartuch ceratowy i rozpoczęła swą domową krzątalinę. Powoli on oddalał się coraz więcej z domu — wracał późno w noc, często podpity, włócząc na drugi dzień po kątach mieszkania ten „Katzenjammer”, w zamiejskich knajpach nabyty. Ona — kochała go ciągle, tem psiem przywiązaniem kobiety, dla której pierwszy mężczyzna chwytający ją w objęcia jest zarazem jedynym przedmiotem uwielbienia.

Koteczek nie miał błędów, koteczek był najlepszym, najmiłszym, najpiękniejszym...

Dzień, w którym koteczek kładł nowy garnitur, był dniem prawdziwego święta.

Wzruszona, zarumieniona, drżąca, okrążyła go w kółko, patrząc na niego z podziwem. Jakże piękny! jak zgrabny był jej koteczek! Ona sama, mój Boże!...

ona nie potrzebowała się stroić. Ot byle co na siebie włożyć. Zresztą, nigdzie

przecież nie wychodziła z koteczkiem nigdy — gdzież znowu!... Zawsze jej coś do stroju brakowało. To kapelusza, to bucika, to znów rękawiczki. I tak dzień za dniem schodził. Zresztą, nie miała czasu, ani zdrowia. Ciągłe stękała, chorując już od lat czterech, zaraz po urodzeniu nieżywej dziewczynki. Doktor mówił, że to anemia, ale ona nawet w części nie powiedziała doktorowi, co i gdzie ją boli. POCO? — lekarstwa drogie a ledwo koniec z końcem ściągnąć można...

Wprawdzie koteczek jest niewybredny, je, co mu podadzą — nawet ją samą do oszczędności zachęca.

Ona nieraz dziwi się, jak mało jada w domu ten rośły, wielki mężczyzna i frakuje się, że widocznie jadło mu nie smakuje.

Mój Boże! robi co można przecież. Ona i sługa jadają „plecówkę”, dla koteczka bierze się na rosół pierwsza krzyżowa, masło także kupuje dla niego osobno ... Mimo to, on je tak mało!

Byleby nie zachorował z tego braku apetytu... jutro trzeba upiec parę kurczą-

tek i zrobić trochę sałaty...

Ostatni rubel wprawdzie wyszedł, ale Józia ma jeszcze dwa pierścioneczki z pozostałych po rodzicach drobiazgów.

Zastawi je u znajomej fanciarki i dociągnie w ten sposób do końca miesiąca.

Mój Boże!... ile tam już rzeczy Józia spoczywa u tej fanciarki !... i srebrne łyżeczki, i bransoletki po matce, i medalion z perełką, ba nawet medal od chrztu i srebrna maluchna portmonetka, złoty zegarek! łańcuszek! wszystko! Wszystko wyniosła tak wieczorami, gdyż mąż wyszedł z domu „przejsć się trochę” — jak mówił a wracał późno w noc, gwizdząc i śpiewając jakieś nieznane Józia piosenki. Z początku przykro jej było rozstawać się z temi drobiazgami, później oswoiła się z tą myślą.

— Wszak to dla... koteczka.

Kochała go bardzo, bardzo, miłością schorowanej i zamkniętej w domu kobiety. Gdy słyszała jego kroki na schodach,

serce jej biło bardzo silnie — w nocy, nie kładła się nigdy, dopóki nie wrócił. Rozbierała się wprawdzie, ale bosa i w koszuli siedziała na oknie, patrząc w ciemną jamę bramy, czy nie dojrzy wysuwającej

się z ciemności eleganckiej postaci męża. Gdy nie powracał długo, z najwyższym niepokojem śledziła godziny i przyciskając ręce do piersi, szeptała:

— Boże mój! niech on już wróci!...

Zdawaćby się mogło, że to namiętna kochanka oczekuje swego wybranego na pierwszą schadzkę miłosną — a jednak!... jakże dalekie od namiętności było uczucie kładące w spieczone od gorączki wargi tej kobiety modlitwę szczerą, prawie dziecięcą.

— Niech... koteczek wróci!...

A przecież ten powrót koteczka nie dawał jej żadnej pieśczości miłosnej, żadnej chwili tej rozpaczliwej rozkoszy, która jęk prawie z piersi kobiety wydiera.

Koteczek wchodził wolno, systematycznie, nakręcał zegarek, zapalał papierosa, zmieniał obuwie, wystawiając je za drzwi

pokoiku, wyciągał z krawata elegancką szpilkę i chował ją w étui.

Wszystko to robił z właściwą sobie gracyą, nie spojrzawszy nawet na żonę, która z po za przymkniętych powiek śledziła jego czynności, cała w ciągłym wyczekiwaniu jakiegoś dobrego słowa, przyjaznego spojrzenia ze strony męża. Nic — nic!

Koteczek zasypiał, uśmiechając się do wrażeń w ciągu wieczora otrzymanych, do jakichś wspomnień... na myśl których — przeciągał się rozkosznie.

Ona śledziła go ciągle, śledziła uważnie. Słabe światelko lampki płonącej przed Matką Boską oświecało w zupełności różową twarz mężczyzny, lubieżny wyraz ust, tęgą szyję wychylającą się z pod ukraińskich haftów nocnej koszuli.

Instykt samicy ostrzegał ją, że nie o niej, nie o jej uległości i zżółkłej twarzy myśli w tej chwili ten człowiek.

Lecz tak wierzyła mu, tak bardzo ufała w jego „mażeńską uczciwość”, że myśl zdrady nie powstała nigdy w jej głowie.

Myśli pewnie o gratyfikacyi a może...  
może o niej!

Wszak wczoraj jeszcze, wychodząc, powiedział:

— Dla kogóż się zapracowuję, jeśli nie dla ciebie? — Biedny! drogi koteczek!...

Ach! ona by życie swoje dla niego od dała!

I leżała tak cicho, nieśmiejąc się poruszyć, drętwiejąc w jednej pozycji, aby nie zbudzić koteczka, który w tej chwili uśmiechał się tak, jak tylko nasyceni mężczy-



żni uśmiechać się umieją.

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca.  
Lecz pani Lena była dnia tego w złym humorze.

Napróżno siedzący obok niej mężczyzna uśmiechał się i usiłował umieścić dogodnie jej kapelusz, cały z pąsowego tiulu, istne pieścidełko wydmuchane z purpurowego obłoczka. Napróżno, zdjęwszy jej rękawiczki, zwijał je starannie i wsuwał pomiędzy poduszki powozu, napróżno

chwalił jej nowy dolman, na który wyszło z pięćset łokci koronki, ona siedziała ciągle chmurna, z brwiami ściągniętymi, z twarzą gniewnie wykrzywioną.

— Dlaczego tak późno przyjechałeś? — zapytała wreszcie, zwracając się twarzą do swego towarzysza.

— Nie mogłem! wierz mi! — tłumaczył się mężczyzna.

— Dlaczego?

— Bo!... bo!... mieliśmy gości!... — odparł, udając nonszalancję i oglądając sobie paznogie.

Znać było że blaguje, lecz ona nie poznała się na tem.

— Kto był? — nalegała już trochę udo-

bruchana — kobiety?  
— O, zaledwie kilka! kuzynka Eszerg-  
hazy z córką — wiesz... ta hrabina!  
Ona potwierdziła spieszenie.  
— Tak! tak! mówiłeś mi już o niej,  
a z mężczyzn ?  
— Zwykli goście czwartkowi.  
— Więc to jour fixe ?  
— Tak!... five o'clock tea.

Rzucił wyraz angielski, posłyszany kie-  
dyś ze sceny, w teatrze — który zapamię-  
tał i używał w razie potrzeby, co nigdy  
nie chybiało efektu. I teraz dosięgnął celu.  
Kobieta siedząca obok niego zdawała  
się na chwilę przybita posłyszaniem słowem.  
Lecz prędko odzyskała równowagę.  
— Nie wiem czy to wygodne — wy-  
rzekła — wolę już urządzać „receptions  
matinales”...  
Spojrzała na niego tryumfująco.  
On wzruszył ramionami.  
— Zapewne, lecz już cały dzień jest  
zderanżowany...  
Pochylił się teraz po nad podbitą już  
kobietą.  
— No, cóż?... darujesz mi to opóźnie-  
nie? — szeptał miękkim głosem — wierz  
mi, tylko obowiązki światowe mogły po-

wstrzymać twego koteczka, wierzysz mi?  
no... Leno!...

I objął ją ostrożnie, cofając się w tył,  
gdyż kareta skręcała w ciaśniejszą ulicę  
a na chodnikach kręciło się sporo prze-

chodniów.

Lena potrzęsnęła wspaniałomyślnie głową. Dobrze! — przebacza ma, ale pod warunkiem, że to będzie raz ostatni... zapewne nie wie, że i ona ma obowiązki światowe, które trzymają ją poniekąd na uwieczni; jeśli on ma żonę prowadzącą dom otwarty, ona — nawzajem ma męża, który od niej pewnych ustępstw światowych wymaga, a przecież...

On przyznaje jej rację, cały rozplomieniony tak blizką obecnością tej kobiety, której pełny gors i błyszczące oczy działają na niego, jak rozpalający trunek — ostrożnie, delikatnie, szuka jej ręki w całych falach koronek i rękę tę znalazłszy całuje długo, wysysając paluszki o krogulczo zagiętych paznogiach...

Ona poddaje się tej pieśczoce, jak kobieta przyzwyczajona do podobnego rodzaju objawów powstrzymywanej namiętności — drugą ręką zasłania tylko twarz,

gdy karetą nadto się zbliży do chodników. Czyni to z wprawą wielką, w ogóle czuje się zupełnie swobodnie w tej ciasnej atmosferze powozu, w której cudzołóżne

szepty, śmiechy, pocałunki zdają się drze-  
mać wśród zagięć zniszczonego sukna  
okrywającego poduszki.

— Gdzie dziś pojedziemy? — pyta ko-  
teczek.

— Gdzie chcesz... — odpowiada Lena—  
byle nie do Marcelina...

— Masz rację, kuchnia tam wcale nie-

szczególna...

O, tak! bordeaux niepodobne do picia...

I znów zaczyna grać ze sobą komedię,  
tych dwoje ludzi, którzy się poznali pod  
cieniem drzew Saskiego ogrodu i nic pra-  
wie nie wiedzieli o sobie ani o swej pozycji  
socyjalnej.

Ona — miała w sobie przewrotnie po-  
psutą krew semitki, wiecznie niezadowo-  
lonej ze swego otoczenia, obnoszącej w czar-  
nych oczach i pełnych kształtach trzydzie-  
stoletniej kobiety — chęć nieprawych roz-  
koszy i zakazanych wycieczek. Pozowała  
jednak przed nim na „dame” —wykwint-

na i wytworną — pragnęła mu imponować koronkami wziętymi na kredyt i fran-

cuzczyzną zapożyczoną z „Rozmówek” pani Böcquel.

On — dokładał wszelkich usiłowań, aby ujść w oczach tej wykwintnej damy za człowieka bogatego, prowadzącego dom na wielką skalę. Olśniewał ją szpilkami u krawatów, opoponaxem, jasnymi garniturami i znajomością gabinetów restauracyjnych, po których włóczyli się często, siedząc do późnej nocy i rozstając się pełni niesmaku i chęci ponownego zejścia się, aby nawzajem udawać przed sobą wytworne maniery i... namiętne porywy.

Kareta wjechała teraz w ulicę Mokotowską i powoli skręcała na lewo.

Wozy z beczkami zastąpiły jej drogę, woźnica wstrzymał konie na chwilę.

Koteczek wychylił głowę.

— Cóż tam? dlaczego stajesz?

Nagle cofnął się w głąb powozu.

Towarzyszka mimo woli spój spojrzała w otwarte okienko.

Na chodniku pomiędzy gromadką bosych dzieci czekających na opróżnienie ulicy, stała ciemno, ubogo ubrana kobieta —

w zniszczonym kapelusiku na pochylonej głowie.

W tej chwili kobieta ta z wyrazem zdumienia na pożółkłej twarzy wpatrywała się w okienko karety, a z nawpół otwartych ust udawał się ulatywać jakiś głos stłumiony.

Pani Lena odwróciła się i spytała szybko:

— Patrz!... ta kobieta dziwnie tu Spogląda, czy może znasz ją?

Lecz mężczyzna nie ruszył się nawet, przytulony do kąta karety, nikczemny, nędzny w tej trwodze, jaka zwykle ogarnia każdego z nich na widok zdradzanej kobiety.

— Siedź spokojnie! — wyrzekł — to... szwaczka mojej żony!...

Kareta ruszyła wreszcie z miejsca, obryzgując błotem stojącą wciąż na chodniku kobietę.

Ona patrzyła jeszcze długą chwilę, zdumiona, przerażona — powtarzając cichutko:

— Koteczek? koteczek?

Lampka przed Matką, Boska, dopalała się prawie, a nikt nie myślał o dolaniu oliwy.

Cicho było bardzo w sypialnym pokoju. Obadwa łóżka małżeńskie były próżne, choć już druga wybiła na kuchennym zegarze.

Józia, bosa i w koszuli, siedziała skulona na oknie, czekając na powrót męża. Była bardzo wzburzona, niespokojna, smutna. Wszakże to wracając od fanciar-ki dostrzegła w karecie obok jakiejś ładnej kobiety ężczyznę — tak bardzo podobnego do koteczka!

Lecz cóżby jej koteczek robił w karecie, o tej porze, i to jeszcze z jakąś damą?... A może to dyrektorowa biura spotkała go i wzięła na przechadzkę...

Szukała teraz w swej biednej głowie rozmaitych kombinacyj, potykając się co chwila o jakąś myśl zbyt trudną...

Nie — stanowczo, zrozumieć tego nie mogła.

By mąż ją zdradzał — nie przyszło jej nawet przez głowę, jej koteczek, zkądże znowu?

Zanadto czystą, niewinną była w swym zastoju moralnym; zdradzać? — tak!...

tak! to istnieje w książkach, na scenie —  
ale w życiu!...

Gdy wróciła od fanciarki, policzyła biele-  
liznę, pocerowała skarpetki, zrobiła ra-  
chunek ze służącą, zadysponowała obiad,  
a teraz, posławszy łóżka, usiadła w oknie,  
czekając na męża.

Noc zapadła, noc ciemna, wietrzna,  
chłodna. Z zacienionego dziedzińca, po  
zamknięciu bramy, wzbił się w górę silny  
zaduch wylewanych przez dzień cały nie-  
czystości.

Ona — otworzyła lufcik i przechyliła  
swą biedną, znękaną głowę. Smrodliwe  
powietrze owiało ją. Ona — nie czuła te-  
go zaduchu, przyzwyczajona do tej atmos-  
fery, którą wciągała w siebie nocami całe-  
mi. Przechyliła głowę i patrzyła wciąż  
w czarną przepaść podwórka.

Czekała.

Lecz on nie powracał, rozkoszując się  
w tej chwili wonią rozkwitłego bzu w pod-  
miejskim ogrodzie i ciepłymi wargami ko-

chanki, z których zbierał krople wina  
i słodycz komputowego syropu.

Siedzącej w lufciku kobiecie wiatr roz-  
wiewał rzadkie włosy i ziębił plecy. Ona—  
skurczyła się jeszcze bardziej, podsuwa-  
jąc pod siebie chude, zżółkłe nogi.



Jeść się jej chciało, obejrzała się na kredensową szafkę majaczącą w półcieniu. Była tam wprawdzie pieczeń pozostała z obiadu, ale koteczek dysponował barszczyk na jutrzejszy obiad, z pieczeni będą uszka... nie można więc poruszyć, nie można!...

Józia zwinęła się teraz prawie w kłębek i głowę smutnie zwiesiła.

Jakoś jej tak smutno! tak bardzo, bardzo smutno, jak nigdy nie było!

Dlaczego?

Wszak on wraca tak codziennie, wraca późno a ona czeka nań i zimą i latem skurczona przy szybie, pełna nit wytłumaczonej chęci ujrzania go powracającego.

Zegary miejskie biją w pół do trzeciej.

Na twarzy Józki płyną dwie wielkie, gorące łzy — zamiast serca, czuje że jej się otwiera rana... rana ta piecze, boli, pali jakby zarzewie... A wynędzniałe usta szepczą:

— Boże!... niech koteczek wróci!....

Jej koteczek.

III.

KOZIOŁ OFIARNY.

Pan Wentzel zmarszczył brwi i położył kanciastą linię obok siebie.

— Proszę o spokój! — wyrzekł ochrypłym głosem.

— Oko brandeburskie! — odpowiedział natychmiast Julusiek.

— Z perską źrenicą! — dorzucił Maryan, pakując ręce w kieszenie od spodni.

Pan Wentzel podniósł swą spiczastą głowę, pokrytą najeżonym włosiem i spojrział na porozkładane na krzesłach dzieci.

— Proszę o spokój! — powtórzył a wargi wybladłych ust drżały mu jak w febrze.

— Patrzcie!...panu „Wentzlemu” spuchła z lewej strony twarz — zawołał Julusiek, mrużąc powieki.

— To od tych papierosów, które pokryjemu pali a nam nawet zaciągnąć się nie da — odparł flegmatycznie Maryan, obserwując z ironią wychudłe policzki nauczyciela.

Panu Wentzlowi krew uderzyła do głowy.

— Nie palę papierosów — wyrzekł energicznie — nie wmawiajcie we mnie złych czynów, które sami spełniacie.

Julusiek wzruszył ramionami. Maryan wpakował ręce jeszcze głębiej w kieszenie.

— Nie palisz pan? — zapytał, wydmając czerwone i pełne policzki — phi!... to taka prawda, jak to, że pan atramentem dziur w butach sobie nie czernisz...

Zaprzecz pan temu !

— Zaprzecz pan temu! — zaskrzeczał jak mały psiak Julusiek i w ekstazie tryumfu usiadł na stole, gdy tymczasem Maryan wciąż kołysał się na krześle, patrząc z pod oka na nauczyciela.

Pan Wentzel był przybity.

Rzeczywiście, nie dalej jak wczoraj, smarował rano bielące się wśród czarnej

skóry butów skarpetki... smarował atramentem, aby nie przeświecały zanadto, gdy wejdzie do sali jadalnej lub salonu, Milcząc, ujął w rękę jedną z ciemno oprawnych książek, których stosy leżały na stole.

— Zaczniemy wykłady od „Historii Świętej” — wyrzekł cichym głosem.

Lecz Julusiek pragnął nasycić się swym tryumfem i cały wlaźł na stół, strącając zabłoconymi nogami książki i zeszyty na ziemię.

— Wzięłeś pan patyk... o! tak!... umaczałeś pan w atramencie i smarowałeś pan

buty...

Pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej.

— Proszę zleźć ze stołu i usiąść przyzwoicie, inaczej przerwę lekcję...

— Wielka będzie szkoda... — mruknął Maryan.

Julusiek odsunął się trochę i podwinął nogi pod siebie.

— Jedź pan — wyrzekł — mnie to nie przeszkadza, ja i tak mogę pańskiego bajdurzenia słuchać.

Pan Wentzel otworzył książkę i powoli zaczął przewracać kartki ozdobione rycinami.

— Skończyliśmy na Samsonie i ucięciu włosów — zaczął połykając ślinę — wiecie, że uczyniła to Dalila i...

Na twarzach chłopców pojawił się dziwny wyraz.

— Musiała to być szykowna kobieta — mruknął Julusiek, uśmiechając się rozkosznie. — Prawda, Maryan?

Lecz Maryan zwrócił się teraz ku panu Wentzlowi i patrząc wprost na twarz nauczyciela zapytał :

— Jak pan sądzi? brunetka była? co?...

— Nie wiem! — odparł nauczyciel.

— Daj pokój, Maryanie!...— wrzasnął Julusiek — albo on się zna na tem.  
— Hm!... — odrzekł Maryan — jest przecież mężczyzną.  
— E!taki tam! — Boże się zmiłuj!...  
Pan Wentzel zerwał się z miejsca.  
— Cicho! — krzyknął, uderzając książką o stół — cicho!... bo....  
Głos mu uwiązł w gardle.

Maryan i Julusiek, mrużąc oczy, przypatrywali mu się impertynencko.  
Tyle ironii mieściło się w wyrazie twarzy tych przedwcześnie rozwiniętych dzieci, że nauczyciel najczęściej czuł swą sztuczną energię jakby zmrożoną i w głębi serca doznawał dziwnego ściśnienia, które mu dotkliwy ból sprawiało. Czuł swą bezsilność i milknął, połykając łzy i upokorzenie.  
Tych dwóch malców w kraciastych kurtkach, nie dorastających mu do pasa, tyranizowało go i kark mu do ziemi chyliło.  
Cóż począć miał?  
Podszedł do okna i machinalnie otworzył lufcik. Świeże, wiosenne powietrze wpłynęło nagle do pokoju...  
Wentzel cofnął się od okna, jakby nagle upojony.

Przymknął oczy i stał tak blady, nędzny w smudze świetlanej, która kładła żółte i białe tony na twarz jego znędzniałą.  
— Możebyś pan kończył lekcję!... —  
odezwał się nagle Maryan, znudzony milczeniem nauczyciela.

— To się wie — dorzucił Julusiek —  
pan zbijasz baki jak jaki radca. Nic pan  
w lufciku nie wystoisz! Jeszcze panu oko  
spuchnie!

Pan Wentzel powoli odwrócił się i zbliżył do stołu. Na twarzy jego malowała się smutna rezygnacya. Usiadł na krześle i unikając spojrzenia w twarze chłopców, rozpoczął wykład:

— Wiecie, że Samson był bardzo silny, wiecie, że gdy oparł się o kolumny świątyni, ramionami wstrząsnął, kolumny w gruzy się rozsypały i dach cały runął....

— Albo to prawda — przerwał Julusiek, uśmiechając się sceptycznie.

Maryan poprzestał na ironicznym wzruszeniu ramionami.

Pan Wentzel ciągnął dalej :

— Dach cały runął, przygniatając zgromadzone tłumy. W ten sposób więc nieprzyjaciele Samsona...

— E! to taka prawda jak to, że Ewa

jabłko zjadła... — przerwał znów Julusiek.  
— Pokonani zostali... — brzmiał głos  
nauczyciela.

Teraz Maryan poruszył się na krześle.  
— A Adam ogryzkiem się udławił.... —  
wyrzekł śpiewającym głosem.  
I gdyby nie Dalila, która...  
Lecz już słowa pana Wentzla brzmiały  
jedynie chyba dla niego samego. Dzieci  
podbudzone w swej przekornej wesołości,  
jak piłkę odrzucały sobie wzajemnie, le-  
gendy podawane im przez nauczycieli za  
fakta. Dla nich, dla tych rozbudzonych  
przedwcześnie umysłów nie istniał już ża-  
den urok naiwnej wiary — ze śmiechem  
i drwinami szarpali treść Pisma, nie mo-  
gąc jeszcze zrozumieć przenośni.  
Pod gradem tych słów wyziewanych  
przez drobne dziecięce usta, które zda się  
stworzone były do szeptania modlitwy —  
pan Wentzel siedział przybity, bezsilny—  
z głową na piersi zwieszoną. Codziennie  
powtarzało się to samo.  
Codziennie nauczyciel i jego słowa były  
przedmiotem szyderstw, żartów i śmiechu.  
Julusiek leżał teraz już na stole, wywi-  
jając z radości nogami, Maryan napawał  
się spokojnym tryumfem i pełen nieopisa-

nej błogości wydymał usta do niebywałych rozmiarów.

— Jak tam było z tym Noem? Opowiedz pan, panie Wentzel!

— Albo z tym Dawidem!

— A Zuzanna? Co?...

Płomienie przebiegły zmysłową twarz Mary ana.

— Tak! tak!... Zuzanna!... to pyszny kawał!...

I nagle, ni ztąd ni zowąd, rozlega się z piersi dzieci wrzaskliwy śpiew:

„Hopsztynder!... Madalinski  
Fiuta!... z kopyta!...  
Stara ciuch, ciuch! tańczy sobie  
Z Barabaszem mazura!...”

— Proszę o spokój !... — jęczy błagalnie pan Wentzel.

„Hej kolęda!... kolęda!...  
Podobał się Jewie! jeździ na cholewie  
A boso go znać!... znać!... znać!...”

Pan Wentzel głowę ukrył w dłonie.

„A boso go znać!...”



Lecz nagle drzwi się otwierają i dwie postacie kobiece ukazują się w progu.

— Co się to dzieje? — pyta pani domu, chuda, płaska blondynka — nosząca na schylonych ramionach fałdziste szaty wdowie.

— C'est atroce! — odzywa się druga, odpinająca żwawo guziki zniszczonego płaszczyka.

— Panie Wentzel, jak pan możesz pozwolić na coś podobnego ? !

Pan Wentzel powstał już z krzesła i w milczeniu układa książki i zeszyty.

Czuje, że wszystko, co powie na swoje usprawiedliwienie, na nic się nie przyda.

W przekonaniu matki — „dzieci” są trochę rozpuszczone... ale ostatecznie można na nich lekarstwo znaleźć i do posłuszeństwa doprowadzić.

Wprawdzie ona sama nigdy dokazać tej sztuki nie mogła, ale... przecież... pan Wentzel jest mężczyzną! Powinien umieć nakazać szacunek dla swoich słów i osoby.

Więc — słodko - kwaśnym głosem mówi to wszystko a słowa jej jak uderzenia biczem smagają zboloną głowę nauczyciela. Tak! tak!... pani ma zapewne rację — każdy inny na jego miejscu poradziłby sobie z pewnością, tylko on! on! nie wie, nie umie poskromić swych uczniów, nakazać ciszę i potrzebny spokój.

— Uważasz pan... — ciągnie dalej pani Szymczyńska a głos jej płynie łagodnie, jak szmer strumyka — Julusiek i Maryan są dzieci wyjątkowe, należy więc z nimi postępować w wyjątkowy sposób. Tymczasem pan!

Wyjątkowe dzieci z niezrównaną ironią spoglądają na pana Wentzla, który zmieszany, drżący, spłoniony — szorując nogami po podłodze, ustępuje przy stole miejsca guwernantce, która, wytarty płaszczyk ostrożnie na łóżku Julusia złożywszy, przystępuje do krzesła z bardzo wojowniczą miną.

Matka tymczasem zachwyconym wzrokiem ogarnia pełne policzki Maryana i żółtą głowę Juluśka, który zdecydował się

wreszcie zsunąć ze stołu i usiąść na poręczy krzesła.

— Tak! tak! wyjątkowe dzieci! — powtarza machinalnie a po białych jej ustach przebiega uśmiech zadowolonej matczyńskiej próżności.

Pan Wentzel pochyla pokornie głowę i odwróciwszy się, drżącymi rękami szuka w pudełku zastępującem mu szafę, czystej chustki i swej wytartej portmonetki. Pudełko to stoi pod jego łóżkiem, biednym, smutnym posłaniem opuszczonego wyrobnika, narzuconem dla decorum szafirową kapą, stanowiącą własność pani domu, którą skromny kocyk biednego chłopca raził i harmonię przyzwoitego umeblowania dzieciennego pokoju psuł zupełnie.

W pudełku, pan Wentzel — nie znajduje chustki, ale za to wydostaje zdechłą mysz, uczepioną przy zameczku portmonetki, w której kilka miedziaków się kołacze. Jest to sprawka „wyjątkowych” dzieci, które duszą się ze śmiechu na widok białości, pokrywającej nagle twarz pana Wentzla.

Wiedzą o tem że p. Wentzel boi się konwulsyjnie myszy i udanie się rozkosznego figla — uczuciem błogości napętnia ich serduszka.

Lecz siedząca przy stole francuzka

marszczy brwi i groźnie podniósłszy rękę do góry, woła ochrypłym głosem :

— Attention, sales gamins! ou je vais vous ficher des claques!

Chłopcy milkną i kołyszą się na krzesłach z mniejszym niż zwykle zapałem.

Matka zaś przesyła dyskretny półuśmiech w stronę francuzki, która prześlicznym żargonem z Montmartre — rozpoczyna wykład greckiej mitologii.

I powoli fałdzista suknia matki - wdowy znika we drzwiach, z po za których dołatuje wystukiwane na fortepianie jakieś „Reverie” Aschera.

Pan Wentzel tymczasem szamocze się ze zdechłą myszą, starając się odczepić ją od portmonetki. Pot pokrywa mu skronie, wyraz wstrętu maluje się w jego smutnych, wielkich oczach.

Trwa to długą chwilę — dzieci ciągle z pod oka obserwują nauczyciela, tryumfując wewnętrznie.

Wreszcie Julusiek dłużej wytrzymać nie jest w stanie.

— To ci pan Wentzel zdeseniał!... — woła, podrywając się na krzesło.

— Jak karaluch w tataraku!... — do-  
rzuca śpiewająco Maryan.

Lecz francuzka uderzeniem pięści w stół, przerywa wybuchy radości miłych chłopczyków.

— Taisez vous tas des salauds! — I nagle, sięgając do bocznej kieszeni sukni, wydobywa dość duży rewolwer, którego otwory pozaklejane są umiejętnie kulkami z chleba.

— Na! — mówi, kładąc rewolwer na stole — j'espère, que vous allez vous tenir tranquilles... autrement — je tire!...

I dalej ciągnęła wykład przy wzorowej ciszy ze strony obu chłopców, po których twarzach przemknął nawet cień szacunku. Pan Wentzel tymczasem uporał się z myszą i wzięwszy ze stolika wytarty

i zrudziały kapelusz, gotował się do wyjścia. Z rodzajem zazdrości spojrzął na zniszczoną twarz francuzki i na leżący na stole rewolwer.

Tak! widocznie inni ludzie posiadali dar wpływania dodatnio na te... wyjątkowe dzieci — on, jeden tylko nie, on jeden!... Stłumiwszy westchnienie, ujął cicho za klamkę i wysunął się z pokoju.

— Junon dévorée par la jalousie, épiait Jupiter... — mówiła francuzka, wykrzywiając przytem swą twarz nakształt ma-

ski kłowna — et Jupiter aimait Jo... —  
ochryplym głosem.

Zagłębiła się teraz w miłostki Jowisza  
z całą lubością bulwarówki ; po jej ustach  
igrał od czasu do czasu uśmiech a ręka  
machinalnie poprawiała rzadką na czole  
grzywkę.

Julusiek, trochę znudzony, gonił czasa-  
mi migające po suficie słoneczne plamy  
i usiłował zwinąć język w łuk, zwany  
„klops”. Tylko Maryan, zasłuchany w sło-  
wa francuzki, ślizgał się wzrokiem po jej

piersi rysującej się dość wyraźnie pod  
opiętym stanikiem.

Patrzył, oczy mrużył i usta wydymał...

\* \*

\*

— Chwilkę, panie Wentzel, proszę tyl-  
ko o krótką, chwilkę!...

I Ewelinka, powstawszy od fortepianu,  
potrzęsnęła głową ubraną w całe pęki  
loków.

— Gdzie pan uciekasz ? Nigdy nie masz  
czasu... a ja tu sama tak siedzę!...

Ostatnie słowa podkreśliła znacząco  
powłóczystem spojrzeniem.

Pod wpływem tego spojrzenia pan Wen-  
tzel pobladł jeszcze bardziej, niż na widok

myszy.

O ! gdyby wiedział, że Ewelinka obecnie „marzy” w salonie i fortepian... „gniecie”, jak mówił Julusiek — byłby z pewnością umknął przez kuchnię, choć i tam kucharka witała go niedwuznacznym mrużeniem i dowodzeniem, że „rosół się jej utrzęsie w garnku, skoro choroba pana Wentzia bez kuchnię niesie”...

Lecz pan Wentzel stokroć wolałby już narazić się na gniew kucharki, niż poddać się magnetycznym spojrzeniom Ewelinki, dopełniającej w ten sposób pensyjnej edukacji i próbującej siły swych wdzięków na nieszczęsnym nauczycielu swych braci, — Zagram panu Aschera... — wyrzekała, sznurując dość duże usta — przewracaj mi pan kartki...

Pan Wentzel rozpaczliwie zaczął przestępować z nogi na nogę.

— Chcę iść... na pocztę — wyjąkał cichym głosem.

— Poczta nie ucieknie — szeptała panna, przechylając się w łuk, dla uwydatnienia wypukłości bioder — a wreszcie, ja proszę!...

Ostatniemu słowu towarzyszyło znów wymowne spojrzenie.

W chorej piersi pana Wentzia serce za-  
biło gwałtownie, krew uderzyła mu do  
głowy i czerwonym płomieniem oczy za-  
słoniła.

Ewelinka uśmiechała się zadowolona.  
Chciała doświadczyć czy „powłóczyste”

spojrzenie „działa” i przekonała się, że  
istotnie jest to dobry lep i niekosztujący  
zbyt wiele zachodu.

Lecz podbudzona w swych doświadcze-  
niach kokieteryjnych, pragnie dalej pro-  
wadzić rozpoczęte dzieło.

— Pan mnie unika, panie Wentzel —  
zaczyna znowu, grając dość fałszywie  
„nokturno” — pan mnie unika, o! ja to  
Czuję!...

Pan Wentzel nie śmie zaprzeczyć. Stoi  
jak słup soli, zaciskając konwulsyjnie pię-  
ści. W gardle czuje dławienie, usta mu  
drżą nerwowo.

Tymczasem dziewczyna przechyla głowę  
i mrużąc lekko oczy, wpatruje się w swą  
ofiara.

— Pan odemnie ucieka, a ja cierpię!...  
„Nokturn” rozplywa się w przyciszo-  
nym akordzie. Ewelinka z wdziękiem opie-  
ra głowę o pulpit i pozostaje w tej pozie  
chwil kilka, żałując, że nie może widzieć



samej sobie i ocenić w całej malowniczości sytuację, w której się znajduje.

Pan Wentzel tymczasem mieni się na twarzy wszystkie mi kolorami tęczy. Boże mój! ona... przez niego cierpi, a on stoi jak wkuty w dywan, nie mając siły, aby powiedzieć słowo na swoje usprawiedliwienie!...

Ewelinka obserwuje go z pod oka.

Cieszy się serdecznie rozpaczą wyrytą na chudej twarzy chłopaka.

Cierpi! mężczyzna cierpi z jej powodu!

O radości!

Nie wie jednak jak wybrnąć z tej sytuacji. Czy, podawszy rękę, zmusić go do ukłęknięcia, czy oddalić się, jak „senne zjawisko”, pozostawiając po sobie „szmer jedwabnej szaty”...

Wybiera to drugie, odkładając tryumf zupełny na później i zerwawszy się z wdziękiem z taburetu, przebiega salon z szelestem świeżych spódniczek a odwróciwszy się na progu rzuca osłupiałemu Wentzlowi dwa słowa :

— Do wieczora!...

Lecz scena ta ma świadka w osobie Matki-wdowy, która suwa się jak cień po

całym mieszkaniu, udając gorliwe wypełnianie swych obowiązków.

Przed wrytym w ziemię Wentzlem zjawia się teraz nagle surowa, sztywna, pełna godności.

— Co pan tu robisz, panie Wentzel? — pyta majestatycznie — proszę się nie zapominać! nie za-po-minać!....

I odwraca się, jakby z jednej sztuki wykuta, owijając nogi nieszczęsnego nauczyciela w fałdy swej długiej szaty.

Pan Wentzel skłania się nisko i cofa się tyłem w stronę przedpokoju. Otwierając drzwi, słyszy brzęk szkła i odwróciwszy się, dostrzega Justysię, pokojówkę, strącającą szczotką pogruchotane kinkiety.

— Wszystko przez pana — mruczy pokojówka — szarpnąłeś pan drzwiami, że się we mnie wszystko zatrzęsło...

Pan Wentzel na palcach sunie przez przedpokój.

— Czysto jak zmora, albo hałasuje, albo milczkiem lezie...

Pan Wentzel przy drzwiach prowadzących na schody podnosi zasuwkę i ujmuje klamkę.

Justysia oparta na szczotce, patrzy z pogardą na jego wytarty surducik i ważne ramiona.

— To ci mężczyzna! — szepcze, podciągając nosem. — Ni do Boga ni do ludzi...

Pan Wentzel gorączkowo zaczyna zbiegać po schodach.

Tymczasem w pokoju Ewelinki cicho odbywa się scena. Pani Szymczyńska uznaje za stosowne przestrzedz córkę przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża, pozostając sam na sam z mężczyzną.

Lecz Ewelinka smaruje sobie nos kremem Simona i pogardliwie wrusza ramionami.

— Z jakim mężczyzną mnie widziałeś? — pyta, odymając usta.

— Z panem Wentzlem !...

— A!...

— No... zaprzeczysz temu, że nie byłaś z nim przed chwilą... w salonie — mówi, jękając się matka, której zimna krew Ewelinki i jej wzgardliwe miny pra-

wie od chwili urodzenia córki imponują

i pewność siebie odbierają.

Ewelinka teraz pudrem Simona bieli się na potęgę.

— Byłam... — odpowiada wreszcie —  
byłam, ale taki p. Wentzel przecież się  
nie liczy...

— Przecież jest mężczyzną...

Ewelinka spojrzała na matkę z lito-  
ścią.

— Mężczyzną?... to nędzna imitacja—  
nie żaden mężczyzna!...

I poszła odwijać z cienkich obłonek  
mydło Simona, mające własność „udeli-  
katnienia naskórka”.

„I ftobie jednym czała nasza nadzieja,  
synu najmilszy, córa cię własneini pier-  
siami wykarmiła i sboleniem sercowem  
wyhodowała”...

Pan Wentzel rękę przesunął po oczach,  
bo jakaś mgła wilgotna źrenice mu przy-  
słaniać poczęła. Ten kawałek grubego,  
ordynarnego papieru, zakreślony krzywem-

i niewprawnem pismem, szarpie mu duszę  
na kawałki.

Odebrał przed chwilą z poczty ten list  
od matki, ubogiej sklepikarki w małej  
podgórskiej mieścinie, gdzie i on spędził

swe dziecinne lata. Gdy listy przycho-  
dziły dawniej do domu pani Szymczyń-  
skiej — „wyjątkowe” dzieci na dobrze  
bawiły się „koszlonami”, z jakich złożony  
był adres.

Od pewnego więc czasu pan Wentzel  
odbiera listy matki z biura pocztowego  
i siada w małym ogródku, otaczającym  
gmach pocztowy, dla odczytania i odcy-  
frowania hieroglifów, z jakich się zwykle  
listy te składają.

I teraz siedzi na wilgotnej ławce, tuż  
pod krzakiem bzu, który dopiero pączki  
wypuszczać zaczyna. Dokoła, kilka chu-  
dych drzewek wznosi swe bezlistne ga-  
łęzie, pies jakiś błąka się po trawnikach,  
grzebiąc łapami w czarnej ziemi, poprze-  
cinanej wązkiemi paskami zieloności.  
W powietrzu unosi się ciepła wilgoć,  
która piersi smutkiem tłoczy i moc

wspomnień nasuwa. Pan Wentzel raz  
jeszcze powoli list przeczytał, poczem  
pochyliwszy na piersi głowę myśleć po-  
czął.

W nim jednym cała nadzieja!

Cała nadzieja tych dwojga starców  
zgiętych od pracy, nędzy i smutku! Jak  
w tęczę, tak patrzą w niego ci rodzice,

którzy, odmawiając sobie kawałka mięsa, chwili spoczynku — do szkół go wysłali i teraz czekają plonów z tej mozolnej, ciężkiej pracy.

On wie, on to czuje, że jemu ustawać w pracy niewolno, że wszystko, co znosi w domu pani Szymczyńskiej nadal znosić powinien, bo kąt, w którym stoi łóżko jego, ma dach nad głową, bo łyżka strawy, która mu nieraz przez ściśnięte gardło przejść nie może — trzyma go przy życiu — jego i tamtych dwoje!...

I widzi ich w czarnej jamie sklepika pomiędzy workami kartofli, beczką nfty, pękami drzazg, widzi ich schylone postacie, słyszy kaszel ojca, stękanie mat-

ki; woń stęchlizny i wilgoci owiewa do koła...

Biedni! biedni starzy!...

Lecz on ? On sam, czyż nie cierpi, czyż te upokorzenia, te tortury, które codziennie z Julusiem i Maryanem przebywa, te noce spędzane bezsennie nad książką, te ranki, wśród których znużone ciało domaga się chwili snu, te zaparcia się wszelkich uciech młodości, uśmiechów, swobodniejszej myśli!... czyż to się zliczyć daje?

Zresztą, dość spojrzeć na niego, gdy tak siedzi nędzny i blady, w jasnych promieniach wiosennego słońca. Twarz ma żółtawą z zielonawym, prawie trupim na skroniach odcieniem, piersi wklęsłe, plecy wypukłe, nogi wychudłe.

Jest brzydki, nędzny, śmieszny — wie o tem, czuje to i jest bardzo nieszczęśliwym.

A jeszcze w dodatku serce mu bije gwałtownie i coś się przed nim majaczy, jakiś uśmiech dziewczyny, jakiś akord „nokturna” zasłyszanego przed chwilą...

Wszystko to gnębi go i dręczy nad wyraz.

Ciasna klatka piersiowa niemoże pomieścić tylu wrażeń, które razem z ciepłą wonią wiosenną do jego piersi się cisną.

Coś go dławi w gardle, oddech mu tamuje. O! ta wiosna!... czyż ona istnieć powinna dla takich, jak pan Wentzel, nędzarzy?!...

Pies, płaczący się po trawniku, zbliżył się teraz do ławki i przed nogami Wentzla przesuwać się począł.

Był tak jak i Wentzel nędzny, wychudły i oddychał ciężko.

Chłopiec nachylił się nad zwierzęciem i brudne jego kudły delikatnie gładzić począł.

Bezdomne zwierzę oparło łeb o kolana człowieka, wpatrzyło się w bladą twarz, pochyloną nad niem i nagle, przeciągle zawyło.

Wówczas z ciemnych, smutnych oczów pana Wentzla stoczyły się dwie, wielkie łzy...

Gdy „wyjątkowe” dzieci weszły do salonu wraz ze swoim nauczycielem, kilkanaście osób na wzór manekinów wypełniało fotele i kozetki. Był to jour fixe i pani Szymczyńska uważałaby sobie za straszne uchybienie, gdyby przynajmniej ze sześć brzydkich, jak noc, panien, takąż ilość wychudłych mężczyzn i odpowiednia liczba mam, nie wynudziła się wśród ścian jej salonu.

Pan Wentzel wprowadzał zwykle swych uczniów, drżąc na myśl wystawienia na światło licznych kandelabrow, wyplamionego tużurka i gumowych kołnierzyków.

Była to dla niego najcięższa chwila

W całym tygodniu.

Zwykle Maryan i Julusiek, ukłoniw-



szy się gościom, zwracali się z dowcipnymi uwagami w stronę swego kozła ofiarnego.

Lecz dziś pan Wentzel był stokroć więcej zmieszany niż zwykle. List matki, poranne przejście z panią domu a wresz-

cie scena z Ewelinką — odbierały mu resztę przytomności.

Ewelinką w gronie panien rozpoczęła właśnie zajmującą rozmowę o emancypacji kobiet, pragnąc ją oprzeć na całkiem nowym gruncie, bo na darwinowskiej przemianie gatunków. Ewelinka lubiła popisywać się ze swą „głęboką wiedzą”, nie zanedbując przytem powłóczyстых spojrzeń.

Wypróbowała je rano na panu Wentzlu, była więc pewną swego i gradem ognistych spojrzeń obsypywała młodziuchnego blondynka, który jak wiśnia rumienił się i obrywał guziki u rękawiczek. Pan Wentzel, wciśnięty w kąt, stał, opierając się plecami o ścianę.

Po nad nim, płonęły świece kinkietu i oblewały go złotawym blaskiem i kropkami stearyny. Maryan zajął jedno z lepszych miejsc, tuż obok dobrze wydekoltowanej mężatki i włożywszy ręce w kie-

szenie, patrzył i usta wydymał.

Julusiek zatrzymał się chwilę przed panem Wentzlem.

— Cóż pan tak tkwi koło ściany? -  
Niemoże pan usiąść?...

Pan Wentzel obejrzał się za fotelem, czując, że parę osób zwraca na niego uwagę.

W pobliżu właśnie stał wspaniały fotel obrzucony makatą.

Pan Wentzel osunął się na niego machinalnie.

Julusiek wzruszył ramionami.

— Na fotelu? — zaskrzeczał, podskakując na jednej nodze — jak jaki obywatel?... niemożesz pan na krześle?...

Osoby siedzące bliżej zaczęły się uśmiechać.

Julusiek uczuł, że odnosi sukces i podniósł głowę z prawdziwym tryumfem.

Pan Wentzel zacisnął usta i nie śmiał oczów oderwać od ziemi.

Wniesiono herbatę.

Julusiek porwał z tacy filiżankę i zbliżył się z nią do nauczyciela.

— Napij się pan herbaty! — mówił, pakując się na kolana Wentzlowi — wy-

glądasz pan jak śmierć angielska... pij pan...

I potracił filiżankę, wylewając gorący płyn na ręce i tuzurek Wentzla.

— Potem powiedzą, żeś się pan u nas zagłodził... — dodał, wykrzywiając się jak stary pajac.

Pan Wentzel ujął filiżankę i oglądał się za łyżeczką.

— Czego pan szuka?...

— Łyżeczki!

— A to po co?

— Zamieszać!

— A niemożesz pan palcem ?...

I zlazłszy z kolan nauczyciela, „wyjątkowe” dziecko zmieszało się z tłumem gości, depcząc po jedwabnych trenach dam i lakierkach mężczyzn.

Pan Wentzel pozostał w swoim kąciku z filiżanką herbaty w ręku.

Przed nim jakaś tęga brunetka prezentowała swą pełną szyję w oświetleniu płynącym z góry. Jej obnażone ramiona, fałda ciała na karku, fałda pełna tajemni-

czego cienia, mieszała pana Wentzla i napełniała jakąś bojaźnią. Sam nędzny i chudy lękał się dobrze rozwiniętego kobiecego ciała.

Zapach, wydzielający się z sukien brunetki, odurzał go do reszty.

Przytem głos Ewelinki, donośny, trochę nosowy, jej śmiech nerwowy, nadto dobrze „ułożonej” panny, wstrząsał mu serce.

Uczuł się blizkim zemdlenia.

Nagle, z tego pół snu zbudził go skrzeczący głos Juluśka.

— Czyś się pan kiedy kochał?

To wyjątkowe chłopię w ten sposób interpelowało rumianego blondynka, siedzącego obok Ewelinki. Mimowoli, rozmowy ucichły. Julusiek miał własność śmieszenia całego towarzystwa, oczekiwano więc na coś bardzo dowcipnego.

Malec uczuł się panem sytuacji.

Potrząsnął żółtą czupryną i rozstawił szeroko nogi.

— No! powiedz pan, czyś już się kochał?...

— Nie... — wybąknął blondynek — jestem jeszcze zamłody...

Julusiek szeroko otworzył oczy.

— Phi!... — skrzeknął — a pan Wentzel młodszy od pana a już się kocha... Wszystkie oczy zwróciły się teraz ku nauczycielowi, który otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz głosu mu zabrakło.

— Jabym panu powiedział w kim — ciągnął dalej Julusiek — ale uprzedzam pana, że oni mnie zaraz za drzwi wyrzucano ja prawdę powiem! O! Jweli linka i pan Wentzel, to się mają ku sobie...

Purpurą oblała się twarz Ewelinki.

— Panie Wentzel! — zawołała, drżąc cała ze złości — proszę Julka wyprowadzić i zamknąć się z nim w dzieciennym pokoju...

Pan Wentzel podniósł się, czepiając poręczy fotela.

Żyły mu na skroniach nabiegły, wyglądał jak pijany.

Chciał podejść do Juluśka, lecz malec szedł już ku drzwiom, dumy, zadowolony z uczynionego wrażenia, mrużąc ciągle:

— A co? Niemówiłem, że gdy powiem prawdę, to mnie za drzwi wyrzucą?!

W dzieciennym pokoju pali się niewielka lampa, przysłonięta zielonym abażurem. Julusiek i Maryan zdaje się śpią spokojnie w swych łóżkach, ponakrywani stosem kołder i kołderek.

Koło stołu siedzi pan Wentzel, kurcząc pod krzesło nogi w zaplamionych atramentem skarpetkach. Przed nim leżą nożyczki, gruba igła, motek nici i kilka guzików. Pan Wentzel zabrał się do łątania swej codziennej kurtki i jakoś mu idzie niesporo. Kłuje się w palce, ścięgi daje monstrualnych rozmiarów. Miał zamiar sprawić sobie nową kurtkę na wiosnę, ale namyślił się — zrobi inaczej.

Pieniądze te pośle rodzicom, właśnie matka pisała, że sklepik nic nie przynosi, ojciec coraz słabszy...

Pan Wentzel matce odpisał, guldeny w list włożył i teraz, szyjąc, spogląda z rozrzewnieniem na kopertę, która za dni parę w zczerniałych od pracy rękach matki będzie.

I wśród tej ciszy nocnej, w wyobraźni swej widzi pomarszczoną twarz ojca, wybladłe lica matki, którzy z radością nad listem się pochylą i sylabizować literę po literze będą.

Biedni! biedni starzy!...

Pan Wentzel prawie uśmiechać się zaczyna. Na chwilę zapomina o swej nędzy, ciesząc się, że radość innym sprawia.

Nagle, jakby na komendę, z dziecinnych łóżek podnoszą się dwie rozczochrane głowy i rozlega się wrzask, od którego pan Wentzel drzeć i blednąć poczyna.

„Hopsztynder Madaliński  
Fiuta! z kopyta.  
Szara ciach, ciach!.. tańczy sobie  
Z Barabaszem mazura!  
Ej kolęda!... kolęda!...”

[ ]

IV.

KUNDEL.

— Cóż u dyabła starego? Dlaczegoż nie mam i ja zrobić karyery? — zawołała Resia, ciskając obszarpaną książkę na ziemię.

Zerwała się z obdartej sofy a pociągnawszy falbaną szlafroka kawał sprężyny i pęk siana, poskoczyła ku oknu.

Ładnie tam było na dworze, choć trochę jeszcze chłodno. Resia nieuczesaną głowę wytknęła przez okno a wiatr wiosenny rozwiewał jej kręte, czarne włosy. Ona od czasu do czasu dmucha silnie, chcąc odpędzić natrętne kosmyki, które kręciły się koło jej wybladłych warg lub czepiały się długich rzęs i wzrok zasłaniały.

Była to jeszcze młoda dziewczyna, pysznie zbudowana, brudna i pokryta piegami. Stanowiła najwytworniejszy okaz wesółych cór miasta — i odznaczała się szczytną głupotą, dobrym sercem i zamiłowaniem do pieczonej gęsi.

Lubiła przytem pieniądze (była żydówką), nowe buciki, karmelki i zwykle w zimie, o szarej godzinie, piekła sobie na trzech patyczkach jabłka, kiwając się i mrużąc jakąś monotonną piosenkę. Umiała czytać, lecz za to nie umiała pisać, jadła chleb ze szmalcem na obiad a potem, nie umywszy rąk, nacierała się „chyprem”.

Palila papierosy i czesała się raz na tydzień, była antisemitką w całym słowa znaczeniu a na kwestyę emancypacji kobiet nie zapatrywała się wcale.



Dnie całe leżała na swej sofie, paląc papierosy, dopiero z nadejściem zmroka budziła się ze swej beczynności.

Wstawała wtedy, mruczając i plując po kątach i szczoteczką od zębów czyściła

buciki a bielila twarz kredą w braku pudru. Potem — usiadłszy przy oknie, czekała na... Kundla.

Kundel ten był obecnie jej wielką miłością. Był to mały, potwornej brzydoty chłopak, syn jednego ze znaczniejszych urzędników miasta. Przysłowiowo brzydki, był dziwnym okazem jakiejś brutalnej zuchwałości i bezczelnej arogancji, któremi w domowym zaciszu uzyskał słodkie miano... Kundla. Wielka jego głowa, pokryta rozwichrzoną, olbrzymią czupryną, miała kształt prawie czworograniasty; wyraz małych oczek i ust wydętych, obrośniętych sterczącym, rudawym włosem, znamionował upór, przewrotny spryt i jakieś niczem nieukrócone zuchwalstwo. Trzymał zwykle ręce w kieszeniach od spodni i nosił małoruskie koszule, najczęściej rozpięte na piersiach. Mówił powoli, zacinając się na syczących spółgłoskach i miał zupełnie odrębny sposób wyrażania się, który trwogą przejmował słuchaczy.

W domu był postrachem matki i sióstr, dwóch młodych dziewczynek słodkich i nieśmiałych, tulących się do kątów, gdy Kundel—podczas nieobecności ojca — zjawiał się w salonie lub jadalni. Matka sama podnosiła ku niemu błagalnie oczy, w których nierzadko przewijała się łza .. Lecz Kundel urągał wszystkiemu. Mówił że jest „wyższy nad świat cały” i rozwalając się na kanapie przetrawiał, ziewając, resztę nocnych pochulanek i pochłoniętego piwa. Zrodzony z rodziców szczytnie „bürgerских” — według jego słów własnych, niewiadomo z kąd rozwinął w sobie naturę nocnego włóczęgi i junakieryę bursza. Całe dni włóczył się w przydeptanych pantoflach po czyściuchnych pokojach, wytrząsając popiół z fajki na dywany lub fotele. Gdy mu ktokolwiek zrobił jaką uwagę, odpowiadał chrapliwym głosem: — Odsuń się, bo cię psom oddam na pożarcie a krwią twoją drzwi mego przedpokoju pomalować każę! Miał lat dwadzieścia i skończył dwie klasy. Nie było siły ludzkiej, któraby go

skłoniła do powrotu do szkół. Uczył się „prywatnie” — doprowadzając zwykle nauczycieli do rozpacz, lub do dzielenia z nim nocnej rozpusty.

Życie nie miało dlań już żadnych tajemnic, zakosztował wszystkiego i od lat pięciu czepiał się spódnic kobiecych, pełen przewrotnej żądz, z której sobie doskonałą zdawał sprawę.

Doszedłszy do lat piętnastu, był przeżytym i znudzonym starcem, gdy wracał do domu nad ranem, twarz jego miała odcień ziemisty a oczy czerwone i spuchłe. Ręce mu drżały, kąciki ust miał wiecznie zaślinione. Gdy siadał do obiadu, nieumyty, nieuczesany i wyciągał trzęsące się palce po wino lub cytrynę, cieszył się widocznie z nerwowego drżenia, które mu ramię targało.

— Łapcie mi się trzęsą! co — pytał, spoglądając tryumfalnie po obecnych, którzy, wzruszając ramionami, zdawali się zapominać o jego obecności.

Przyzwyczajono się bowiem w domu do tego Kundla — na wpół pijanego,

uważającego jadalnię rodziców za przedłużenie lokalu knajpowego. Jeden tylko ojciec umiał poskromić tę ohydłą zuchwa-

łość. Przy nim Kundel zapinał na pier-  
siach koszulę, schodził do obiadu o wła-  
ściwej porze i zamieniał tradycyjne  
pantofle na głębokie kalosze. Gdy spodzie-  
wano się gości, Kundel obcinał paznog-  
cie u lewej ręki i usiłował zaprowadzić  
porządek we włosach. Był to rozkaz ojca,  
rozkaz wypowiedziany dobitnie, urywanym  
suchym głosem.

Głos ten oddziaływał na chłopca przy-  
najmniej drobiazgowo i pozornie.

— Stary ma fajgle, trzeba go nabrać!

A „nabierania” tego, więcej aniżeli  
zwykłej zuchwałości bała się szczególniej  
matka.

Kundel bowiem, znając słabą stronę  
ojca, gdy zbyt wiele narobił długów i za-  
często był proszony do cyrkułu — stawał  
się nagle melancholijny i uczuwał potrze-  
bę poprawy. Pragnął wtedy czystej bieli-  
zny, mydła, książek naukowych i trochę  
szacunku ludzkiego.

Wchodził do pokoju ojca na palcach,  
ucierał nos chustką, sługom pozwalał  
przejsć spokojnie a siostry głaskał po gło-  
wach, nazywając je pieśczoćliwie „mał-  
pisonami”.

Dozwalał sprzątać w swoim pokoju  
i przewracać materace na drugą stronę,

fajkę ostentacyjnie zawieszał na gwoździ-  
ku i palił damskie papierosy, mówił cie-  
niuchnym głosem, dobierając słów a oglą-  
dając lampę, deklarował, że „już się  
wszystko skończyło i on, Dyńdzio, zabiera  
się do pracy...”

Ojciec zwykle, z początku, sceptycznym  
wzrokiem śledził zmianę w postępowaniu  
syna. Powoli jednak dawał się łudzić na-  
dziei. Kto wie — może wreszcie coś się  
zbudziło w tej głowie mózgu pozbawionej,  
w tem sercu zda się zatopionem w kale  
rozpustnych uciech.

— Patrz, duszko — mówił do żony, któ-  
ra z robótką w rękę dozorowała zabawy  
dwóch dziewczynek, — ot zdaje się, że  
tam na górze jakiś porządek panować za-  
czyna...

Dyńdzio zajmował dwie facyatki poło-  
żone na drugim piętrze, i domowi, chcąc  
unikać wymówienia imienia najstarszego  
z rodu, nazywali locum Kundla „górami”.

Matka jednak wzruszała ramionami.

— Pewnie coś nabroił lub chce coś  
uzyskać — mówiła smutnym głosem.

— No!... kto wie! kto wie! — prote-  
stował ojciec, — może się wreszcie upamię-  
ta i przestanie zatruwać nam życie.

Matce łzy stawały w oczach.

— Daj Boże! — odpowiadała wzdy-  
chając.

Lecz nie łudziła się wcale.

Wiedziała co znaczy to „upamiętanie”.

Wszakże i ona niejednokrotnie została  
w ten sposób przez syna zwiedziona. Na-  
wskrós religijna, mająca w sobie ślełą  
wiarę i poszanowanie praktyk religijnych,  
konfesyonałem, kazaniem chciała wpłynąć  
na rozhukanego chłopca. Kundel odra-  
zu zrozumiał, że z tej naiwnej i pełnej  
adoracyi duszy — może wyciągnąć dla  
siebie korzyści.

## KUNDEL-

I powoli wprowadził system dziwny  
a przyjęty przez matkę, która w żarliwo-  
ści swojej stała się źródłem wyzysku.

Każdą, wysłuchaną mszę, każdą, spo-  
wiedź, otrzymane rozgrzeszenie, odpra-  
wioną pokutę, każdą bytność na kazaniu—  
opłacała pewną umówioną kwotą pie-  
niędzy.

Gdy Kundel zanurzył swój rozczo-  
chrany łeb w cienie konfesyonała, biedna  
kobieta padała na kolana, modląc się żar-  
liwie o „oświecenie nieszczęśliwego”.

Lecz ten „nieszczęśliwy”, plotąc księ-  
dzu niestworzone brednie, wyjawiając wąt-

pliwości, od których włosy spowiednikowi Stawały po prostu na głowie, obliczał w myśli, ile to nocy bezsennych za otrzymane od matki pieniądze w murach knajpy przepędzi.

I długo włóczył się tak po kościołach, będąc postrachem księży, którzy zobaczywszy przystępującego do kratek Kundla, czuli krew bijącą im do głowy. Na mszach porannych widzieć go można było drzemiącego obok rozmodlonej matki —

z oczyma zaczerwienionymi jak u królika, z rękami brudnymi i koszulą pomiętą.

Czasem, wpadłszy w dobry humor, „fikso-  
wał” jaką „zamodloną” dewotkę, lub gasił świece defilującemu bractwu.

Wreszcie matka zrozumiała, że każda spowiedź Kundla, każda msza jest tylko dla chłopca źródłem wyzysku a pieniądze otrzymywane dają mu możliwość do pogrążania się w coraz większej rozpuszcie. Zamknęła kieszeń i od tej chwili, gdy Kundel zapowiadał poprawę, wiedziała czego się trzymać w takich razach.

Ojciec łudził się jeszcze. Gdy Dyńdzio z wielką pompą wchodził do jego kancelaryi i zabierał librę papieru, kilka piór i pakę bibuły, ojciec pytał go, w jakim

celu bierze te foliały.

— Idę pracować — będę robić notatki z „Naukowych podstaw krytyki literackiej” Hennequina, lub ocenię którą z tragedyj Sofoklesa — odpowiadał Kundel, stawiając ostrożnie nogi obute w stare kalosze > które jak dwie plamy rozlewały się na jasnym tle dywanu.

— Sofoklesa? — pytał ojciec.

— Hm!... tak, jeśli będą tego warte.

Nie wiem jeszcze. Być może, iż sam coś napiszę, bo coś mi się w głowie... kiełbasi! Zresztą, pracować będę do rana. Dobranoc ojcu!

I wychodził powłócząc nogami, a zamknąwszy drzwi za sobą, uśmiechał się złośliwie :

— Stary jest wzięty... pojutrze można się lansować — a beknie i to dobrze!

Lecz Kundel miał także w głębi duszy swojej kącik poetyczny, w którym rosła błękitna niezabudka sentymentalizmu. Kundel był kochliwy i jak wszyscy „przeżyci” — w miłościach swoich dążył do ideału. Ideał to był zupełnie odrębny od ideału Danta i Petrarcki, lecz mimo to nie przestał być ideałem, w którym Dyń-



dzio czerpał natchnienie i siłę do życia.  
Dyńdzio cieszył się takim wstrętem mieszkanek miasteczka, że dość było dla ko-

biety ujrzeć na ulicy Kundla, aby mieć humor popsuty na dzień cały.  
Kundel nie martwił się tem wcale.  
Nienawidził kobiet dobrze ubranych i jako tako wychowanych. W knajpie, po opiciu się odpowiednią ilością piwa — brutalnie zdierał z każdej „damy” kryjące obsłony i z cynizmem najwyższym obrzucał ją wyrazami pogardy i szyderstwa. Dla niego istniała tylko „natura” w postaci rozczochranych dziewczyn, którym jego małosruska haftowana koszula imponowała a plugawy żargon przypominał ciemne zaułki, wśród jakich młodość spędziły.  
Do takich więc „ideałów” Dyńdzio pisywał ody, maczając palec w piwie i kreśląc słowa na marmurze stołu. Gdy błydy świt kładł im wszystkim na czoła zielonawe, trupie tony — Kundel deklamował :

Niekiedy blada Wenus z mdławym blaskiem  
[w oku  
Schodzi tu na ziemię w latarnianym zmroku.

Dziewczyny zanosiły się od śmiechu.  
Ten Kundel! a niechże go! a to je  
wyzywał. Lecz on przygasłemi oczami

spoglądał na nie, jakby ze smutkiem i są-  
cząc z kufla resztki piwa, bełkotał:

I uniesioną suknię w pół rozmyślnie szasta,  
Ukazując światu brudnych pończoch parę...

Zwykle Dyńdzio kochał którąkolwiek  
z tych dziewczyn, kochał po swojemu, ty-  
ranizując i maltretując bez litości. Gdy  
przyszła kolej na Resię, Kundel odmie-  
nił swój system postępowania. Resia przy-  
padła mu do gustu i cygańska natura ko-  
biety złała się wybornie z brutalnem uspo-  
sobieniem chłopca. Podbita jego trywialną  
a chwilami znów sentymentalną namiętno-  
ścią, Resia zachwycała się Dyńdzikiem i do-  
zwalała mu na wszelkie wybryki.

Były chwile, w których Kundel nazy-  
wał Resię „nikczemną żydówką” — po to,  
aby po kwadransie nadawać jej miano  
Fryny i wycinać z jej wykoszlawionych  
bucików greckie sandały. Poczem mówił  
jej wiele o potrzebie kształcenia umysłu  
i obiecywał dać jej nauczyciela angielskie-  
go, gimnastyki i gry na cytrze. Najczę-  
ściej następowała później mała nauczka

moralna, w której „Kundel” wykladał zdziwionej i drapiącej się w łydkę Resi, że są pewne warunki, i którymi szanująca swą godność kobieta liczyć się powinna a właśnie ona zdaje się urągać społeczeństwu i w skutek tego może doznać w przyszłości zmartwień i upokorzeń. On, Dyńdzio — jest wprawdzie wolny od przesądów i bez kwesty „szanuje” w niej kobietę, ale właśnie dla tego pragnie, aby cały świat ją szanował. Gdy Resia opornie przyjmowała podobne słowa i w trakcie podobnej perory oddawała się sportowi dłubania szpilką w uchu, Kundel dla poparcia swych argumentów uderzał ją pięścią w głowę, co wywoływało oczekiwany skutek.

Kundel obdarzał Resię prezentami i od czasu do czasu znosił do mieszkania swej ulubionej najdziwaczniejsze przedmioty pochwytnane na kredyt po sklepach, w których przez wzgląd na rodziców kupcy nie śmieli Dyńdziowi czegokolwiek odmówić. W ten sposób Resia posiadała siedem par szelek, cztery pary kaloszy, trzy

spluwaczki, cztery brzytwy, jedenaście pędzli do rozrabiania mydła i olbrzymi teleskop. Żywiła się przeważnie sardynkami, rodzynkami, paloną kawą, pieprzem tureckim i musztardą. Nauczyła się palić papierosy a nawet żuła tytoń jak stary turkos.

Tego rodzaju wspaniałe „utrzymanie” zaczęło jednak powoli niewystarczać Resi. Kundel imponował jej ciągle — zapewne — a nawet teraz kiedy wymyślał „światłocienie i” opowiadał, że użyje ją do „plein-air'u”, od którego świat „zdesenieje”, Resia zapominała o pieczeniu jabłek i cała zasłuchana kuciała u kolan Dyńdzia wyciągniętego niedbale na koszlawem krzeselku. Ale... Dyńdzio od pewnego czasu przynosił już same słoiki musztardy, a w dzień urodzin Resi obdarzył ją mężkiem siodłem, więc dziewczyna powoli zaczynała się niecierpliwić. W dodatku Dyńdzio, w celu rozświecenia umysłu swej Fryne i uczynienia z niej Lais miasta — przynosił znudzonej dziewczynie tłumaczenia rozmaitych francuzkich romansów,

w których imaginacja autorów wraz z potwornością fabuły walczyła o lepsze. Re-

sia czytała te opisy wonnych buduarów wypikowanych atłasem, tonących w półcieniu sypialni, nocnych lamp kryształowych migocących w przestrzeni.

Dyńdzio dopełniał reszty. Wieczorem puszczał wodze swej senty mentalności i tak we dwoje wśród brudu, porozlewanej wody, połamanych grzebieni i dziurawych krzeseł, galopowali myślą w sferę woni, połysku jedwabiu i bladych barw abażurów.

Wreszcie doszło do takiego naprężenia sytuacji, iż Resia, zjadłszy dwa słoiki musztardy i trzy stare bułki, włożywszy spódnice praną przed pięcioma miesiącami — zeskoczyła z sofy i stanąwszy w lufciku powiedziała z mocą:

— Muszę zrobić karierę!...

Kiedy te słowa posłyszał wieczorem, Kundel roztworzył szeroko oczy i wydał wargi.

— Tego ci się zachciewa? — zapytał. Lecz Resia dnia tego nie była usposobioną do żartów.

Zmarszczyła brwi, zatopiała popękane z odmrożenia ręce w rozczochrane włosy i nie odpowiedziała ani słowa.

— Cóż się tak nadeła jak pluskwa w maśle? — pytał Dyńdzio.

Milczenie.

Dyńdzio począł się niecierpliwić.

— Chcesz zrobić karierę, a cóż to... mała karyera, jaką masz teraz?

Resia wykrzywiła usta.

— O jej!... - wyrzekła wreszcie, — co mi z tego. Mieszkam jak śledziarka... a czym żyję, to już wstyd powiedzieć...

Dyńdzio machnął ręką.

— To wszystko marność, widzisz serce to grunt...

Resia zamilkła i znów kiwała się długą chwilę, wpatrzona w odrapane ściany swego pokoju.

— Chciałabym — zaczęła znów powoli — chciałabym mieć dywan na podłó-

dze i atlasową kołdrę, i samowar na szafie, i komodę, i firanki, i taką lampę u sufitu z kolorowem szkiełkiem. Aj, aj! o!... tobym chciała mieć!...

Cmoknęła ustami i znów zakołysała się, obejmując nagiemi ramiony swe kolana ledwo okryte cienką spódnicą.

Słaby blask płonącej na stoliku świeczki żółtawą linią oznaczał jej kontury.

Miała w tej niedbalej pozie, w tym skurczu całej postaci, coś z owych żydówek tkwiących w piasku pustynnym.

— Och ty puchu marny! — wyrzekł wreszcie z pogardą.

Resia wzruszyła ramionami.

— Żebym ja puchem była — to dawno-  
bym z siebie pierzynę zrobiła — wyrze-  
kła sentymentalnie.

— Więc bogactw ci się zachciewa, ty  
kruku żydowski? — ciągnął Dyndzio, —  
bogactw? Wschodniego zbytku? Nie wy-  
starcza ci skromny dobrobyt, jakim cię  
otoczyłem Dobrze — poznasz więc udre-  
kę bogactwa! Pęknię w czternaście ka-  
wałków, jeśli od dziś za miesiąc, ty cho-

lero azyatycka, nie będziesz mieć tu dy-  
wanów... dzieł sztuki i twego samowara  
bydlęcego na szafie!...

Resia spojrzała na Dyndzia z niedowie-  
rzaniem.

— Dyabeł wie czy to będzie, a tym -  
czasem możebyś jutro mi coś przysłał do  
zjedzenia, bo ta musztarda już mi łokciem  
wyłazi!...

— Cicho, córo Izraela! jutro ci przy-  
ślę trzy funty mydła, bo ojciec mi kre-  
dę na mydło otwiera. Pojutrze u nas

goście, więc powiadają, że się umyć trzeba...

Resia przysunęła się do krzesła Dyn-  
dzia, nie wstając z klęczek.

— Ty i tak ładny, Kundlu! — wy-  
rzekła, mrużąc oczy i przeginając się jak  
kotka.

— To się wie! — odparł Kundel, wy-  
ciągając swe brudne ręce i kładąc je na  
wspaniałych ramionach klęczącej u stóp  
jego żydówki.

W miesiąc później rodzice Kundla  
wyjeżdżali na letnie mieszkanie.

W domu pozostawał Dyńdzio i stary  
stróż.

Ojciec po dwutygodniowym na wsi od-  
poczynku miał powrócić do miasta i objąć  
nadal swe zajęcia biurowe.

Rano odjechali wszyscy, odprowadzeni  
nawet na pociąg przez Dyndzia, który od  
tygodnia zachowywał się przyzwoicie,  
prawie bez zarzutu.

Nawet matka zaczęła się łudzić mo-  
żliwością poprawy. Chciała mu na sa-  
mem wyjeździe zaproponować spo-  
wiedź, ale cofnęła się i postanowiła  
czekać.

Kto wie, co się w tej mózgownicy  
gnieździło.

Za to ojciec dał się unieść złudzeniu.



Przestał nazywać syna „Kundlem” a natomiast mówił mu dobitnie „Dyonyzy”! — lub „Synu”! Dał mu trochę pieniędzy, otworzył kredyt u krawca na dwa garnitury letnie i na wyraźne żądanie Dyndzia sprawił mu pół tuzina ko-

### KUNDEL.

szul z poczwórnemi gorsami. Lecz zdziwienie całego domu dobiegło szczytu, gdy Dyńdzio zażądał fularowych chustek do nosa, szkockich skarpetek, „Encyklopedyi” Orgelbranda i pasty do zębów. Czempredzej udzielono mu żądanych przedmiotów i Kundel ostentacyjnie wycierał teraz nos w olbrzymie kolorowe fulary, które zawsze wyglądały mu ze wszystkich kieszeni ubrania.

Skarpetki nosił także — wprawdzie w kieszeni, ale był to już stanowczy zwrot ku lepszemu, i gdy pociąg ruszył, ojciec wychylił się raz jeszcze, aby spojrzeć na Kundla stojącego przykładnie na peronie pomiędzy posługaczami i urzędnikami kolejowymi.

— Stoi a nawet zdjął kapelusz i ku nam powiewa!... O!... teraz, wyciągnął chustkę i ciągle macha!... — mówił biedny ojciec do cisnącej się gromad-

ki, — doprawdy, wygląda jak porządny człowiek.

— Kto wie! — szepnęła matka, — może Bóg go wreszcie raczy... — i ręką opiętą w ciemną rękawiczkę, kreśliła w powietrzu znak krzyża... ot... matka! Tymczasem Dyńdzio, postawszy jeszcze chwilę na dworcu, schował płachtę do kieszeni i szybko skierował się ku domowi.

Wszedłszy do mieszkania, zamknął drzwi na klucz i zaczął systematycznie zdejmować ze ścian obrazy. Zdjęte składał na ziemi jedne na drugich, nie zważając, że ramy wpijają się kantami swemi w płótna i kaleczą cenne oryginały i dobre kopie skrzętnie przez ojca zbierane.

Potem przyszła kolej na dywany.

W gabinecie ojca było kilka wschodnich makat, miękkich, o wytwornych gustownych odcieniach. Makaty te Dyńdzio zerwał ze ścian i nie składając zwałił na obrazy. Poczem rzucił się ku portyerom. Oberwał je wraz ze strzałami, na których były zawieszzone. Jedna ze strzał, spadając, uderzyła go boleśnie

w głowę, lecz on potarł tylko czuprynę i rzucił się do łóżek zdzierać kołdry i poduszki.

Z toaletki matki porwał dwa kryształowe flakony, weneckie lustro, z małego saloniku japońskie maski, sztylety i dwa wypchane ibisy. Z kuchni zwłókł durszlak, patelnię, wałek do ciasta, samowar olbrzymi, mogący pomieścić do czterdziestu filiżanek, worek do piasku, kawał wosku od podłóg i dwie żelazne dusze. Pomieszał to wszystko z fajkami ojca, poduszką haftowaną, dziełem rąk sióstr, z koszykiem do robót matki, gustowną szyfonierką, zerwaną ze ściany i malowaną paterą na bilety wizytowe.

Dopełniwszy tego dzieła, zwaliwszy jeszcze na całą kupę tych przedmiotów cztery wyłącane krzeselka, wschodnie lustro, dwa pufy fortepianowe, prześliczną lampę, biuścik śmiejącego się dziecka, świecznik mosiężny żydowski i kilkanaście sztuk srebra stołowego, usiadł

Dyńdzio na tem wszystkim i pogwizdując oczekiwał zmroku.

Gdy zmrok nadszedł, dwóch wynajętych posłańców przeniosło na tragach wszystkie te przedmioty do mieszkania Resi. Tragi eskortował Kundel, kroczący z dumą i spoglądający z góry na przechodzących. Wszyscy usuwali mu się z drogi, tylko stary stróż mrucał, otwierając bramę, lecz przed podniesioną laską panicza schował się czempredzej do swej izdebki.

Posłańcy śmieli się, dochodząc do mieszkania żydówki. Znali oni dobrze Kundla i wiedzieli, że „panicz znów coś ukuł”.

Zapłaceni z góry, wrzucili wszystkie sprzęty do pokoju i życząc „dobrej nocy” — odeszli, śmiejąc się bezutannie.

Kundel zabrał się teraz do urządzenia pokoju Resi, która otworzywszy sze-

roko oczy, przykucnęła na ziemi, oszołomiona widokiem tylu nieznanym dla niej przedmiotów.

Wreszcie, ośmielając się powoli, wyciągnęła z pomiędzy portyer poduszki

i oszalała z radości, poczęła je ciskać po pokoju.

— Z puchu! aj, aj!... z puchu! — wołała, gniotąc je w rękę i zanurzając twarz w szeleszczącą jedwabiem pościel.

Na widok samowaru chwilę zamilkła, poczem podszedłszy ku niemu, z szacunkiem przyklękła i twarz swą rozpaloną do chłodnej blachy przykładając poczęła.

— Same księżne takiego nie mają! — szeptała drżącym ze wzruszenia głosem.

Tymczasem Dyńdzio na brudnych odrapanych ścianach rozwieszał obrazy, wbijając z energią przyniesione w kieszeni haki. W braku młotka posługiwał się marmurowym przyciskiem przedstawiającym uśpioną Dyaneę. W mdłym

blasku świecy zamajaczyła „Elegia” Siemiradzkiego, energiczna „Głowa starca” Kotsisa i zabieliło się ciało „Najady” Hennera.

Ostatni obraz zwrócił uwagę Resi.

— Goła! — wyszeptała, chichocząc się cicho.

Lecz Dyńdzio pracował ciągle.

Portyery wisiały krzywo, zakrywając drzwi wejściowe. Połowa tkaniny leżała na ziemi, maczając się w strudze wody, płynącej z rozbitego dzbanka.

Na podłodze Kundel porozrzucał makaty, a rozsypane pod nimi węgle trzeszczały za każdym krokiem. Stara sofa została nakryta gobelinem, przedstawiającym Pallas Atenę, a złożone krzesła stały dokoła stołu pokrytego białą kapą ściągniętą z łóżka jednej z siostrzyczek.

Durszlak, patelnię, wałek do ciasta — Resia poustawiała na komodzie wraz z flakonami kryształowymi i weneckim lustrem.

Zbytkowne wydanie „Pana Tadeusza” poszło dla braku miejsca pod szafę. Ten sam los spotkał wyborną kopię z Ary Scheffera i śliczną broń gallo-romańską.

Wreszcie na łóżko Resi, rzucono poduszki oszyte cienką, nicianą koronką i na ciemnym z brudu prześcieradle rozłożono aksamitną pasową kołdrę — jeszcze wyprawną matczyną.

Wreszcie Kundel zatarł ręce i czując się znużony, zasiadł z nogami na sofce, znacząc ślady błota na twarzy Pal-

lady.

— Masz... coś chciała — wyrzekł do-  
bywając z kieszeni fajkę i zapalając ją ze  
smakiem.

A Resia, leżąc na ziemi, z włosami  
rozczochanem, z policzkami rozpalo-  
nemi tarzała się wśród makat, dotykając  
co chwila ręką samowaru i żydowskiego  
świecznika, który o mało ją nie wprawił  
w szaleństwo.

— Aj! aj!... takie bogactwa!... — mru-  
czała cmokając.

W trzy tygodnie później, inna odbywa-  
ła się scena.

Ojciec Dyńdzia, powróciwszy do mia-  
sta, z najwyższym przerażeniem dostrzegł  
spustoszenia poczynione w mieszkaniu.  
Co więcej — Kundel od chwili po-  
wrotu ojca wcale się w domu nie poka-  
zał. Zawezwana telegraficznie matka  
przyjechała i z pomocą stróża i owych  
posłańców odkryła miejsce, w którym  
mieściły się wyniesione z mieszkania  
przedmioty. Również domyślono się, że  
tam a nie gdzieindziej kryje się zapewne  
Kundel, obawiając się skutków swego  
zuchwalstwa.

Rozpoczęło się parlamentowanie.  
Kundel, zaatakowany listem ojca,  
zagroził w razie użycia środków repre-  
syjnych, strzeleniem sobie w łeb.

erce rodziców zadygotało, postano-  
wiono obniżyć kamerton i matka zapro-  
ponowała listownie ugodę pokojową.  
Kundel odpowiedział zimno i spo-  
kojnie, że po głębokim namyśle przy-  
chodzi do przekonania, iż rodzice nigdy  
nie zechcą go uważać za dojrzałego  
mężczyznę, który wie co robi i za każdy  
swój krok przed Bogiem i honorem od-  
powie. Że znudzony bezczynnością, po-  
wróciłby może na łono rodziny, ale tylko  
w tym razie, jeśli zapewniona mu zostanie  
stała miesięczna renta i za zwrócenie  
zabranych przedmiotów pewna suma pie-  
niężna.

Kilka dni ciągnęły się te pertraktacje  
pokojowe, a w miarę czasu rosły preten-  
sje i zuchwalstwa Kundla. Matka płą-  
kała po kątach a ojciec targał wąsy, pa-  
trząc na opustoszałe ściany, w których  
tkwiły gdzieniegdzie haki lub zwieszały  
się porwane liny.

Wreszcie dnia jednego zajechała z hu-  
kiem przed dom dorożka i wysiadł z niej



Kundel, rozczochrany, obdarty, wy-

chudły. Na samym wstępie uderzył w głowę stróża, który go zdradził i wyjąwszy z dorożki „Elegię”, niebieską szklaną miednicę i potrząsając włosami, które w przeciągu tych tygodni paru doszły do potwornych rozmiarów, wyrzekł:

— Jestem ! zrobiłem co mi nakazano. Ponieważ jednak na tem wszystkim ucierpiała najwięcej szacunku godna kobieta — muszę wynagrodzić jej krzywdę i prawdopodobnie się z nią... ożenię !

A spojrzawszy tryumfalnie na zgnębionych temi słowy rodziców, wyszedł, powłócząc nogami i pakując ręce w kieszenie.

## V. OŚLICA

Gorączkowo Honorka zaczęła spowiadać kwilące cichutko dziecko.

A wyciągając długi — na trzy łokcie powijak, mówiła ochrypłym głosem:

— Chodzi! Chodzi! synulku!... pójdziemy na wesele twojego ojcaszka! Chodzi synulku, pójdziemy mu družbować,

ale nie ołtarz mu sprawimy, ni jakie weselenie, jeno łaźnię gorącą, że aż mu w piętach postygnie !

Stojąca obok barłogu, na którym leżało dziecko — kuma Kazimierzowa zaczęła nagle szlochać.

— A bezbożnik! Wydziwiacz, rozbijaka! taką ci uczciwą dziewczynę z dobrej dro-

gi sprowadził i teraz nijakiej pamięci o niej niema!...

Honorka szarpnęła silnie powijk.

— On ci pamięci o mnie niema, ale ja go za to w pamięci mam i niech mi Pan Jezus i Matka Najświętsza ręce i nogi poułamuje, jeśli ja go do ołtarza dopuszczę!... Bezemnie i bez tę dziecinę przejść musi!...

— Prawdę masz! — przytakiwała kuma, obcierając łzy płynące gradem po tłustej i czerwonej twarzy — już ci takiej krzywdeczki to i Trójca Święta nie daruje. Ty się o swoje upomnij, Honorka, w twarz mu napluj — od młodej odciągnij a swego nie daruj!

— I nie daruję! — powtórzyła, zacinając zęby dziewczyna.

Wzięła duży szmat barchanowy, który się suszył koło pieca i przytrzymałszy

jeden koniec w zębach, dziecko nim owi-  
jać poczęła.

Obracane jak piłka chłopię, żałośnie  
płakać poczęło.

— Cicho, psiakrew, chorobo jedna!  
a bodajżeś się zadławił własnym ozo-  
rem, ty kundlu zatracony! A bodaj cię  
mór wydusił! — wybuchnęła Honorka,  
drżąc prawie cała od wewnątrz tłumionej  
rozpaczy. I wstrząsnęła dzieckiem tak  
silnie, że aż jęknęło, jak dławione  
szczenie.

Wówczas kobieta przypadła twarzą do  
barłogu i gryząc koc w nadmiarze roz-  
paczy wołała:

— A nie jęcz ty nad moją biedną  
głową — sieroto nieszczęśliwa... bo jesz-  
cze mnie w zbrodnię jaką zepchniesz.  
Kuma Kazimierzowa pochyliła się nad  
klęczącą kobietą.

— A dajże spokój, Honorko dziec-  
ku i nie wydziwiaj się nad tym roba-  
kiem!

— Bez niego to wszystko, bez niego!  
Kazimierzowa wzruszyła ramionami.

— Oj ty oślico ! — wyrzekła z powa-  
gą — jakto: bez niego te rzeczy się dzie-  
ją? Czy to on ci się kazał z tym pę-

dziwiatrem wdawać ? A toć jego roba-

ka na świecie wtedy nie było, jakeście się złazili to w piwnicy, to w komórkach!

I odebrawszy dziecko z rąk Honorki, sama je spowijać i ubierać zaczęła.

— Nie w tem rzecz, aby nad niewiniątkiem pomstować — ciągnęła nosowym, monotonnym głosem—ale w tem, rzecz, ażeby na czas do kościoła trafić i panu młodemu drogę mądrze zajść. — Słyszysz?

Honorka klęczała wciąż koło tapczana, mnąc w wychudłych rękach potargany i zniszczony kocyk. Z małego okienka umieszczonego wysoko w ścianie, tuż po nad posłaniem, płynęła jasna struga światła i biła wprost na twarz dziewczyny zniszczonej słabością i zgryzotą, która jej duszę szarpała.

Nie odpowiedziała wprost na zapytanie kумы lecz ściągając brwi, przez ściśnięte zęby wyszeptała :

— Nie daruję! nie daruję!...

Kazimierzowa skończyła ubieranie dziecka i zdjawszy z kołka ciemną chustkę na plecy Honorki narzuciła.

— Chodzi! — wyrzekła — chodzi, już czas!

Po twarzy dziewczyny przemknął, jakby cień przestachu. Przymknęła oczy i pozostała chwilę nieruchoma, jakby do tapczanu przykuta. Kuma już stała owinięta w chustkę, gotowa do drogi, huśtając lekko kwilące dziecko.

— Honorko! cóżeś tak przykuła? Jak chcesz skandał zrobić — to duchem nam iść trza. Już czas!

— Chwilę jeszcze, kumo! — prosiła Honorka — czegosić mnie teraz lęk Ogarnia!

Kazimierzowa zachnęła się z gniewu.

— A ty oślico cholerna! — zawołała, kładąc dziecko na tapczan — ty nad tym robaczątkiem nijakiego „litosierdzia” nie masz! Toć na całe już życie przepa-  
dło ci wszystko, boć „honor” i cnotę w oczach ludzkich ten zgniłek ci odebrał a dzieciaka na rękę ci rzucił i tro-

skać się o niego kazał. Jak się „obzeni”  
tyle już prawa do niego nie masz! Już ci ni

Bóg, ni ksiądz żadnej sprawiedliwości nie da. Jak żeniaty, to od wszystkiego ochronny! Ale ty od pędraka byłaś oślicą i słusznie cię nieboszczka matka tak przezwała! No! czy to nie oślica? kiedy jeszcze może co na swą stronę wyciągnąć... to kuca i mówi, że boja ma! Oj oślica ty! oślica!..

Honorka podniosła się z ziemi i, schwywszy dziecko na rękę, ku drzwiom szybko posunęła.

— Chodźmy! — wyrzekła krótko, drzwi od stancyi kopnięciem nogi otwierając. Oczy jej się świeciły, usta miała znów zaciśnięte i zębami przygryzione.

— Nareszcie! — zamruczała kuma, zamykając drzwi na kłódkę — aby go tylko dobrze po mordzie sprąła i publikę zrobiła!...

Nieszpory się skończyły, lecz świece przy wielkim ołtarzu gorzały wciąż, oblewając żółtym, migocącym blaskiem zczerniałe płótno, z którego bieliło się ciało Jezusa zawieszzonego na krzyżu.

Pomiędzy „wiernymi”, przepelniającymi lakierowane ławki, zapanował ruch i ożywienie wielkie.

Jedna „siostra” — zapytywała drugą—

dlaczego nie gaszą świec, skoro już  
wszystkie piękne pieśni zostały wyśpie-  
wane.

— Zdaje się ślub jeszcze będzie —  
doszedł szept z ławek zajmowanych przez  
mężczyzn.

Kobiety wdzięcznie pochyliły głowy.

— Dziękujemy! dziękujemy! — a czyj!

— Subiekta z cukierni i córki kolej-  
nika!

Wszyscy zaszemrali zadowoleni.

Warto zostać, taki ślub, to już para-  
da. Kolejarze wiadomo, lubią wszystko  
z pompą — a taki subiekt z cukierni to  
„osoba”.

Tymczasem kościelny wyniósł dwie po-  
duszki i przykląwszy, układać je począł  
na stopniach.

— Poduszki! — zaszemrano na ław-  
kach.

Lecz znów mężczyźni udzielają infor-  
macyj bliższych co do osoby pana mło-  
dego.

Kobiety składają z westchnieniem  
książki i owijając na rękach długie  
różańce, wyciągają szyje — ciekawe,  
żadne wiadomości o tych ludziach, któ-  
rzy za chwil kilka, jak papugi, powta-

rzać będą słowa sakramentalnej przysięgi-

— Więc cóż? cóż — pyta jedna przez drugą.

Pan młody — tak! — zapewne, człowiek bardzo uczciwy, porządny, uczony nawet — zdolny, ma jakieś oszczędności. Kto wie! może niedługo założy i cukiernię. Z takimi jak on „głowaczami” to wszystkiego spodziewać się

można.

Kobiety kiwają głowami, nagle spoważniałe, jakby ta dobra opinia, którą się cieszy ów subiekt, przejęła je szacunkiem i powagą. Kościelny wnosi kropidło i naczynie z wodą święconą.

W ławkach powstaje znów szmer.

— Kropidło!... patrzcie kropidło!..

Ale już dwa ścieśnione szeregi ustawiają się wzdłuż ławek, tworząc rodzaj alei bramowanej ludźmi. Aleja ta, od balustrady przeciąga się aż ku drzwiom głównym, które zakrystyan w tej chwili na oścież otwiera. Turkot powozów, hałas uliczny, cały szum letniego, niedzielnego popołudnia wpada nagle w wilgotną ciszę kościoła.



Przez kolorowe szyby wpadające promienie słońca kładą kolorowe plamy na głowach i grzbietach ludzi.

— Przyjechali! przyjechali! — docho-  
dzi wołanie z tłumów zalegających stop-  
nie perystylu.

Jest to jednak fałszywy alarm.

W progu kościelnym ukazuje się druž-  
ba w świecącym cylindrze i jasnym pal-  
cie narzuconem na ramiona. Dumny  
jest i wąsy ma podfryzowane żelazkiem  
fryzyerskim. Stojąc w progu kościoła  
ogarnia jednym rzutem oka całą prze-  
strzeń. Mrużąc oczy, zda się chce poli-  
czyć świece płonące na ołtarzu, poczem  
szybko, zaaferowanym krokiem przebie-  
ga wązkie przejścia pozostawione wśród  
tłumu.

— Družba! družba! — szemrze tłum,  
popychając się i wyciągając szyje za  
znikającym we drzwiach zakrystyi męż-  
czyzną.

Znów nowy napływ ciekawych tłoczy  
się pomiędzy bocznymi filarami kościel-  
nej nawy. Pełno już jest i gwarno, ko-  
biety półgłosem powtarzają sobie plotki  
o rodzinie panny młodej. Plotki te wyra-  
stają z pod ziemi; służą do zabicia czasu

i skracają nudy oczekiwania.

Koło drzwi wchodowych słyhać przy-  
ciszone uśmiechy. Jakiś żartowniś opo-  
wiada dziwy o samej pannie młodej.

Ależ tak — podobno jakiś hrabia doło-  
żył do posagu kilka tysięcy — ot! z przy-  
jaźni dla ojca.

— Hrabia dla konduktora?

— Co pan chcesz, dziś takie czasy...

I śmiechy zaczynają się w najlepsze,  
starsze kobiety sznurują usta i spuszcza-  
ją oczy.

Takie nieskromności w świętem miej-  
scu, nie! — ci mężczyźni już żadnej  
wiary w sercach nie mają!

Lecz śmiechy milkną, bo w progu poja-  
wia się nagle Honorka z dzieckiem na  
ręku, w asystencyi Kazimierzowej.

Pojawienie się dwóch kobiet nie było-  
by rzeczą niezwykłą, lecz Honorka, z któ-  
rej głowy spadła chustka, z twarzą po-  
krytą purpurowemi plamami z pasmami  
włosów potarganych nad czołem, i z kon-  
wulsyjnie zaciśniętymi wargami, wnosi  
z sobą jakąś ponurą grozę, która wydzie-  
lając się z jej całej postaci, każe zwrócić  
na dziewczynę oczy tłumu.

Kazimierzowa oddała jej przed kościo-  
łem dziecko — uznając za stosowne, aby  
matka z dzieckiem pojawiła się przed  
wszystkimi, i tak stoi teraz Honorka, ci-  
snąc gorączkowo milczące dziecko do pier-  
si, stoi jak przykuta w progu, podniecając  
się w energii i rozpacz, która jej biedną  
duszę szarpie.

Oczy ma suche, bez łez, podsiniałe  
i z osłabienia prawie zezem patrzące.  
Stoi i zda się niedostrzegać tłumu,  
który zbitą masą dokoła niej szemrze,  
z zwierzęcą ciekawością rzucając się  
na nową zdobycz. Lecz Kazimierzowa  
nie zasypia sprawy. Na widok oświeco-  
nego ołtarza oczy kumy nabiegają łza-  
mi. Poprawia chustkę i kiwa głową za-  
łośnie.

— Tak! tak! — zaczyna z początku  
stłumionym głosem — przyszliśmy do Pana  
Jezusa po sprawiedliwość i sąd Jego  
najświętszy! A niechże On naszą sprawę  
rozsądzi i nad sierotami zmiłowanie  
okaże!

Tłum wężem przeczuwa skandal.

Ten i ów przysuwa się do Honorki, stojącej ciągle w progu z dzieckiem na ręku.

— A cóż to się wam krzywda jaka stała?

Kazimierzowa znów głos zabiera:

— Stała nam się krzywda ciężka, bo oto tę sierotę, co tu stoi, ten dzisiejszy pan młody sposponował, cnotę jej wydarł, żenić się przyrzekał i oto teraz z pędakiem porzucił jak psa na rozstaju!...

W tłumie zaszemrano i uciszono się nagle. Jakieś zimno smutku i kobiecej niedoli powiało nagle nad głowami obecnych.

Mężczyźni instynktownie kurczyli się i pochylali głowy, kobiety otwierały szeroko oczy, wpatrując się w dziewczynę i w dziecko, które zdawało się być umarłym, tak leżało cicho wśród szmat i fałd chustki matczynej.

Lecz kuma nabierała coraz większej śmiałości i pewności siebie.

— A ino... nie po co my innego przyszły, ino po to, aby pannie młodej się sprezentować, publikę zrobić i nie dopuścić, aby ten wyrwipięta obzenił się na

uczciwą wiarę.

— Dobrze robicie! — podparła jakaś podeszła jejmość — dobrze robicie, takiemu się przepuścić nie godzi.

— Tak! tak! — dorzucił siwy mieszczanin — zasługuje lekkomyślny człowiek na karę. Powinna go spotkać!

— I spotka — wołała kuncia, składając palce — jako ta dziewczyna przy sięgała sobie, że go spierze i do ołtarza mu dostępu nie da. Co, Honorka? nie darujesz?

— Nie daruję! — powtórzyła zdławionym głosem dziewczyna.

Lecz tu i owdzie przyciszone śmiechy odzywać się zaczęły. Już i u ołtarza widziano, że będzie „publika” i jakaś dziewczyna z dzieckiem ślub „aresztować” będzie.

Uciecha więc wśród tłumu wzrosła i objawiła się dość głośno. Jakiś z my-

## OŚLICA.

słowy prąd przebiegł nagle zgromadzonych ludzi i usta im do uśmiechu rozchyłał. Kobiety patrzyły z pod oka, sznurując usta, lecz na odsłoniętych karkach czuły wzrastającą w mężczyznach gorączkę zmysłową. Rzec można, że od

stojącej na progu dziewczyny z owocem swych nieuświęconych miłości na ręku, biegły prądy ciepła i przenikały ciała cisnącego się tłumu. W ciszę i powagę kościelnych murów, jak tony miłosnej pieśni, wpadła ta cała gama cielesnych pożądań i zdała się burzyć spokój świątyni. Siedzące w kruchcie baby pozwijały różańce w drżących dłoniach. Święty Panie! taki „szkandal” w kościele! Tu i owdzie dowcipnisie żartować zaczynają.

Tak! tak! orszak weselny już przybył. Nawet ten rak się troszkę pośpieszył... niewiadomo czy go prosili — otl gość nieoczekiwany dla pana młodego!

Kto wie! może młodzi będą kontenci, że przyszli ot tak — do gotowego, a mo-

że... i panna młoda ze swej strony chowa jaką niespodziankę...

Ten i ów ciśnie się przyjrzeć bliżej Honorce. Hm!... wychudła, źle zbudowana, głowa roztargana...

Kobiety szepczą między sobą:

— Mogła się choć uczesać uczciwie, kiedy szła na publikę między ludzi.

Jakiś pan podsztął do niej i zajrzaw-

szy jej w oczy, wyjmując z kieszeni małą notatkę. Półgłosem zadaje dziewczynie zapytania, na które ona nie odpowiada wcale, patrząc ciągle w przestrzeń z pod brwi ostro ściągniętych. Pan ów, niezrażony milczeniem, nieodstępnie wszakże, tylko z kieszonki dobywszy ołówek, ślini go i coś w książeczce zapisuje.

— Gazetnik!... gazetnik!.. — szemrze tłum dokoła.

Kazimierzowa uznaje za stosowne przemówić:

— Nie w gazecie, ale tu na tablicy winna być wyryta opowieść o takim włóczydrągu, co uczciwe dziewczyny z dobrej drogi z mania!

— Nikt ją ta znów za łeb nie trzymał — wtrąca jakiś młody chłopak.

Kazimierzowa obraca się jak na sprężynach.

— Za łeb! za łeb!... takie niewolenie słodką mową i przysięganiem to gorsza, niż za łeb trzymanie !...

Chłopak mlasnął językiem.

— Nie trza było wierzyć!

W tłumie powstał szmer.

Nie wierzyć przysięganiu? A to coś nowego! Odkąd świat światem — Bóg przy-

sięgania postanowił, a tych co krzywo-  
przysięgają ciężko karze.

— A jeszcze przysięganie sierocie? —  
woła tryumfująco Kazimierzowa — siero-  
tę ukrzywdzić, to jak obrus z ołtarza  
ściągnąć!

Wymowa jej i łzy kapiące po twarzy  
podbijają powoli wszystkich. Teraz —  
miejsce przed wielkim ołtarzem opusto-  
szało zupełnie, wszyscy cisną się do  
drzwi wchodowych, zgorączkowani, pod-  
nieceni tą sceną, jaka wybuchnie za przy-  
byciem państwa młodych. Tu i owdzie

stają na ławkach, zwłóczą z kątów krze-  
sła, czepiają się chorągwi. Jasna, roz-  
czochrana głowa Honorki stanowi teraz  
punkt świetlany, ściągający oczy całego  
tłumu żadnego widowiska, łaknącego  
skandalu, choćby zań kobieta łzami za-  
płacić miała!

Honorka tymczasem stoi ciągle mil-  
cząca, niezdając się zwracać uwagi na  
zaciekawienie i wzruszenie, którego jest  
przyczyną. Wpatruje się w świece migo-  
czące na ołtarzu i jak błyskawica tak  
przed nią przesuwa się rok ubiegły, w któ-  
rym tyle bólu i smutku zaznała.

Widzi pana Teodora, jak z za kontua-



ru rzuca na nią spojrzenia które niby ukrop w jej żyły wlewają. Gdy ją państwo, u których za młodszą służyła, posyłali po sucharki do herbaty, biegła z radością a przed drzwiami cukierni stała długo, nie mogąc ośmielić się wejść i przemówić do pana Teodora, który jak święty z obrazka wydawał jej się na tle błyszczących lusterek zdobiących półki bufetów. Imponował jej niezmiernie, po-

mimo że Honorka do nieśmiałych dziewczyn nie należała wcale i niejednego „chłopa odstawiła” wcale tego, gdy na udry pomiędzy nimi poszło. Lecz wobec Teodora zapominała języka w gębie i stała tak przed kontuarem, cała w płomieniach, bełkocząc i siejąc po ziemi miedziaki trzymane w garści. On mrużył oczy, uśmiechał się, żartował — przyzwyczajony do dominowania nad kobietami, z niedbałością pięknego samca. I nawet później, gdy już posiadał ją o szarej godzinie wśród stęchlizny piwnicy lub duszącej atmosfery strychu, — Honorka — zawsze pozostawała nieśmiałą, przerażona jego pięknnością, zdławioną — z oczyma łez pełnemi, nie śmiejąc poruszyć się, uczynić jednego giestu,

odetchnąć głośniej. A gdy wreszcie — porzucona, zapomniana przez swego urodziciela, któremu oddała z jakąś pokorą klejnot swego dziewictwa, uczuła się matką — doznawała głuchej nienawiści, gniewu na samą myśl o tym człowieku. Nie napastowała go, nie chodziła za nim,

urodziła dziecko, zacisnąwszy zęby — i w duszy swej zaczęła gromadzić całe morze jadu, które groziło lada chwila wylaniem.

Kuma zawiadomiła go przecież o urodzeniu dziecka, lecz piękny subjekt mruknął coś tylko i wzruszył ramionami. Gdy Kazimierzowa scenę tę przed barłogiem położnicy odtwarzała, Honorka wlepiła w nią oczy od gorączki błyszczące.

— Łajdaki — wyrzekła przez zaciśnięte zęby.

Pierwszy to raz głośno wymówiła na niego obelgę.

Umilkła, przerażona.

Lecz powoli, podniecana przez Kazimierzowa, dawała folgę swemu żalowi. Zapominała jak wyglądał sprawca jej nieszczęścia, niewidząc go tak dawno, nieodczuwała już przygniatającego wpły-

wu, jaki wyższością swą elegancją i całym obejściem na nią wywierał. Rozpacz przepęłniała jej serce i wstrząsała nią całą. Widok dziecka podniecał

ją. Chwilami zdawało jej się, że jest zdolna zamordować mężczyznę, który rzucał ją brutalnie o ziemię, aby później — na wiadomość o jej nędzy i cierpieniu wzruszać ramionami z pogardą. „Ścierwo sobacze!” mówiła, szarpiąc pazurami aż do krwi pierś swoją od pokarmu wzdętą — „zgiń! przepadnij! oślepnij! zgnij do kości!” Zdawało się jej, że miłość, jaką miała dla Teodora, wymarła w niej oddawna, że nic, prócz żalu, gniewu i nienawiści, nic już w głębi swej duszy nie chowa.

Na wiadomość o ślubie subiekta, wybuchnęła wreszcie całą wściekłością, na jaką tylko cierpliwe i nieśmiałe istoty zdobyć się umieją.

Kaziraierzowa podsunęła jej myśl wstrzymania ślubu i zrobienia publicznego skandalu. Uczepiła się tego projektu na tychmiast, gorączkując się, podniecając — przeklinając bezustannie. Ani jednej łzy nie miały jej oczy, chwilami zdawała się być obłąkaną.

Teodor, którego kontury w jej wyobraźni zatarły się zupełnie, przedstawiał jej się jako zwierzę znienawidzone, wstrętne, plugawe, któremu chciała skoczyć do oczów i zdeptać za krzywdę jej uczynioną. Niewidząc go — czuła się silną, mocną, jakkolwiek coś w jej wnętrzu szarpnęło się trwożliwie, gdy kuma zawołała jeszcze w stancyi „już czas!...”

Lecz tu — w kościele, przed ołtarzem oświetlonym jarząco, w chłodnej atmosferze świątyni — jakaś moc wstępowała w nią powoli, lecz moc to jakaś dziwna, jakby boleść jej umniejszająca. Nie modli się a przecież zda jej się, że ktoś dookoła niej szepcze modlitwy, pacierze... Nie modlitwy to jednak szepczą dookoła, tylko żarty, uwagi, słowa ciekawości.

Tłum cały aż drży z pragnienia takiego „grubego skandalu”.

Taka rzecz nieczęsto się trafia.

Nareszcie turkot zajeżdżających kół. oznajmia przybycie gości weselnych.

## OŚLICA.

Nie dorożki to — ale karety przywożą państwa młodych i liczną drużynę, karety z białymi lejcami, umyte i lśniące w promieniach słońca.

— Przyjechali! przyjechali!

W tłumie powstaje nie szmer, lecz jakiś krzyk ciekawości ludzkiej.

Krzykiem tym publiczność zda się chce podniecić Honorkę do zrobienia skandalu.

Jak zwierzę wygłodniałe rzuca się na padlinę, tak tłum ten chciwy wrażeń drży z radości i nieszczęśliwą do ukazania swej zranionej duszy popycha.

Wolno — z szumem jedwabiu wchodzi orszak weselny do kruchty.

Przodem idzie panna młoda, wysoka blondynka o płaskiej twarzy i kręconych włosach. Z bezczelnością niemal dźwiga koronę dziewiczą tonącą w obłokach białej iluzji. Idzie, pewna siebie, uśmiechnięta, wysuwając naprzód watowany biust jedwabnego stanika. Prowadzą ją drużbowie we frakach i glansowanych rękawiczkach. Przed tem białem zjawiskiem, tłum

usuwa się instynktownie, pozostawiają opartą plecami o filar Honorkę. Panna młoda przechodzi próg i wolno, poprzedzać

na przez dziadka kościelnego, sunie do ołtarza a tren jej sukni wlokący się po ziemi pozostawia za sobą jakby smugę świetlaną...

Lecz Honorka zda się niespostrzegać nawet przejścia panny młodej. Teraz drży cała i blada jest jak opłatek. Gdy karety zajechały przed kościół, doznała nagle jakby silnego uderzenia z tyłu głowy.

Tchu jej zabrakło, serce jej młotem wali...

Nagle — wśród jasności słonecznej ukazuje się sam pan młody.

Jest dziś piękniejszym niż kiedykolwiek

Frak nowy leży na nim jak ulany, włosy zafryzowane, twarz starannie wygolona, spinki u koszuli złote i wielkie jak złotówki.

Z tryumfem spogląda w głąb kościoła na ołtarz jasno oświetlony i bawi się brelokami u zegarka.

Dwie družki, w lekkich sukniach, z wachlarzami i włóczkowemi pelerynkami, prowadzą go, śmiejąc się ochotnie.

Oczy wszystkich zwracają się teraz w stronę Honorki...

Co to będzie! co to będzie!... czy da mu w papę? Czy po prostu nawymyśla

i w oczy napluje!

Lecz — o dziwo... dziewczyna na sam widok Teodora blednie jeszcze więcej i oczy przymyka. On — nie widzi jej wcale, zajęty teraz jedną zdrużek, która upuściła na ziemię koronkową chusteczkę.

I nagle — Honorka, kurcząc się i starając zniknąć z przed oczu wszystkich, zasuwa się powoli za filar — wybuchając cichym, zdławionym płaczem.

Napróżno kuma stara się ją popchnąć naprzód, napróżno osoby otaczające ją dokoła pochylają się ku niej i szepczą słowa zachęty. Ona jedną ręką ciśnie do piersi dziecko, drugą czepia się filaru, a z oczów jej płyną dwa stramienie łez gorących.

— Niemogę! niemogę! — szepcze, łkając cicho.

Organy tymczasem huczą przeraźliwie, pan młody przechodzi kruchtę i idzie pewnym, śmiałym krokiem, kłaniając się lekko znajomym, wśród tłumu.

Kuma próbuje raz jeszcze podburzyć Honorkę.

— Bój się Boga! nie bądź oślicą! despekt sobie robisz nadaremny!... wstań, leć! jeszcze czas! tyle ludzi czeka!... Ho-

norka, nie bądźże oślicą!...

Lecz Honorka nie rusza się z miejsca.

Na widok Teodora dawny lęk ją ogarnął.

Gdy stanął tak teraz przed nią piękny, uśmiechnięty, zdrów, wystrojony — gdy go poczuła znów od siebie o kilka kroków — nie! — ona nie mogła rzucić się na niego, krzycząc tak, jak to sobie ułożyła i pluć mu w twarz i dziecko pokazać. Nie! nie! raczej woli umrzeć, niż taką rzecz zrobić.

Tłum, zawiedziony w swych nadziejach, szybko zwrócił się do ołtarza, gdzie już ceremonia ślubu się zaczynała. Złocista

kapa księdza migiała po nad głowami ludzi. Głuchy szmer niechęci i gniewu przebiegał szeregi. Jakto? nie będzie skandalu? cóż sobie myśli ta głupia dziewczyna, zwodząc ludzi w ten sposób?... e! — kto wie — to pewnie jakaś ulicznica, to dziecko, kto wie, czy to pana młodego, skoro ona nie śmie do oczów mu stanąć...

Tak! tak!... taki porządny mężczyzna wie, co robi, jeśli porzuca. Już musiał mieć w tem swoją rację...

Niektórzy wszakże usiłują bronić Honorkę.

— Stchórzyła!



— Rozbeczała się!

— A to głupia !

— Idyotka!

— Oślica!

— Wszystko jedno, dość, że stanąć do ołtarza nie śmiała. Chodźmy lepiej do ołtarza.

— Ślub szykantny!

Teraz wszyscy cisną się do ołtarza, przed którym ksiądz zamienia młodej parze obrączki. Wśród ciszy kościelnej sły-

chać skrzeczący głos panny młodej i basowy głos księdza, mówiących na przemian przysięgę małżeńską:

— Ja—ja, Stanisława, Stanisława, biorę — sobie — sobie...

Koło filara, po za który ukryła się Honorka, zrobiła się pustka. Dziewczyna kłęczała sama, szlochając cicho. Kuma Kazimierzowa, czując się obrażoną, wyszła z kościoła, czerwona z doznanego wstydu. Schodząc ze wschodów, poprzysięgła sobie szmaty Honorki wyrzucić na cztery wiatry.

O! nie — mogła mieć litość nad nędzą tej idyotki, ale tolerować jej głupotę i brak odwagi w dopominaniu się o swoje prawa, a wreszcie na narażenie Kazimierzowej

na pośmiewisko i podejrzenia ludzkie, że broniła nieczystej sprawy — na to Kazimierzowa przystać nie chce i nie może. Tymczasem ceremonia ślubna szła dalej nieprzerwanie. Pan młody przysięgał czystym, dźwięcznym głosem i z podniesionem czołem odpowiadał wyraźnie na zapytanie księdza:

— Nie ślubowałeś komu innemu wiary małżeńskiej ?

— Nie.

Powoli zaczął podbijać i ujmować tłum cały i przeciągać na swoją stronę. Jego jasne spojrzenie, kark dobrze wymyty, frak wpadający do stanu — imponowały ciżbie. W ogóle ślub cały, orszak weselny szeleszczący jedwabiem, srebrna tkanina sukni panny młodej i jej biust obciągnięty materyą — wszystko to podbijało zgromadzenie i sprawiało jak najlepsze wrażenie.

Honorka ze swą rozczochraną głową, obtarganą chustką i dzieciakiem spowitym w szmaty, traciła sympatyę, i ci, którzy usiłowali przez chwilę trzymać jej stronę, umilkli — zwyciężeni.

Tymczasem ona klęczała ciągle koło filara, płacząc i płacząc bez końca. Zdawało się, że jakiś strumień nieprzebrany

z oczów jej spływa. Cała jej rozpacz,  
gniew, uraza, boleść w łzach tych topnia-  
ła i jeno dziecko tuliła do twarzy, moczając  
szmaty, któremi owinięte było. Organy

jęczały, wstrząsając jej duszą do głębi.  
Jak robak zdeptany, wiła się na zimnych  
flizach świątyni, cała drżąca od bólu, któ-  
rego określić nie była w stanie. Czuła do-  
brze swą krzywdę, ale kryła się z nią  
w cieniu, i choć on tam był, o kilka kro-  
ków — nie chciała mu się już narzucać  
z nędzą swoją.

Gdy go zobaczyła, gdy ta mara jej nocy  
bezsennych znów stała się ciałem, stanęła  
przed jej oczami w pełni życia i majesta-  
tu wszechpotęgi męzkiej — ona upadła na  
kolana, zwyciężona, bezsilna, drżąc z bólu  
i w poczuciu swej nędzy.

— A was wszystkich tu obecnych biore,

za świadków, jako to małżeństwo zostało  
prawnie i przykładowo zawarte.

Poczem ksiądz zaczął żegnać i kropić  
obecnych, którzy czynili znaki krzyża  
i obcierali z nosów i policzków krople  
święconej wody.

Organy zabrzmiały wesołym marszem.  
Koło ołtarza ruch się zrobił niemały,

poczęto znów się tłoczyć, zaglądać w oczy pannie młodej i drużkom. Wreszcie cały

orszak z szumem, szelestem i śmiechem posunął ku wyjściu.

Karety jedna po drugiej podjeżdżać zaczęły. Przechodnie zatrzymywali się na chodnikach, grupy dzieci cisnęły się do drzwiczek powozów.

Tren panny młodej pokrył się cały kurzem i szare smugi ciemniały na fałdach jedwabiu. Pani Teodorowa pociemniała ze złości pod obłokami dziewiczego welonu.

— Psiakrew cholera! — wymówiła wsiadając z furią do karety.

Za nią wskoczył Teodor, naciągając na plecy zielonkawę, króciutkie palto, podbite żółtawym jedwabiem.

W kościele Honorka pozostała sama.

Kościelny sprzątał poduszki, zaginał rogi dywanu.

Honorka płakała ciągle, czując jakby ogień pod czaszką. Piersi i plecy bolały ją jakby od silnych uderzeń pięścią. Czowała dobrze, iż wszystko się dla niej skończyło, że teraz już nawet żyć nie może nadzieją

jakąkolwiek. Zrozumiała, że nigdy nie będzie miała dość odwagi, aby stanąć przed człowiekiem, któremu wszakże oddawała się z uległością suki i powiedzieć mu w oczy:

— Uczyń cokolwiek dla mnie, którą zaprzepaściłeś i dla dziecka, które spłodziłeś!...

Kościelny przeszedł kilkakrotnie koło niej, dzwoniąc kluczami.

Wiedział, co ją sprowadziło do kościoła, dostrzegł ją wśród tłamu jeszcze przed ślubem, gdy stała groźna u progu i mówiła przez zaciśnięte zęby:

— Nie daruję!

Widząc, że płacze ciągle, nie poruszając się z miejsca, podszedł do niej i potrącił ją lekko.

— Wstawać i iść do domu... nic tu już nie wyklęczycie.

Ona podniosła głowę i przez łzy zalewające jej oczy, spojrzała w ciemną przestrzeń kościoła. Spojrzała i naraz cała przyszłość stanęła jej przed oczami.

Dziecko drzemiące u jej piersi zaciężyło jej bez miary.

— O Jezu! — szepnęła, przymykając

oczy.

Lecz kościelny niecierpliwił się na-  
prawdę.

— Idźcie sobie — cóż to, myślicie tu  
nocować?

Powoli, z wysiłkiem, dziewczyna pod-  
niosła się z klęczek i ku drzwiom kiero-  
wać się poczęła. Łzy dwiema strugami  
płynęły jej znowu z oczu zboliałych.

Potknęła się o krzesło, wreszcie odna-  
lazła drzwi i wysunęła się na ulicę.

Gdy drzwi się za nią zawarły, kościelny  
chwilkę się zamyślił, cień smutku przem-  
knął po jego starej, zawiędłej twarzy.

Nagle ramionami wzruszył i podnosząc  
przewrócone krzesło, wyrzekł krótko:

— Oślica!

Tymczasem Honorka zagłębiała się wol-  
no w ulicę, po której sunęły świątecznie  
przystrojone tłumy, szła, kołysząc lekko  
kwilące cicho dziecko i idąc ocierała łzy  
płynące z oczu strumieniem.

[ ]

VI.

KUKUŁKA.

— Tiens! tiens! c'est du propre! —  
mruknął przez zęby pan Seweryn, gdy  
rządca wyszedł już z pokoju.

— Wyprowadzać się? tak! tout d'un

coup... ni ztąd ni zowąd, wyprowadzać się z tego mieszkanka, urządzonego z takim staraniem, opuścić te kąty, w których meble stoją jakby przyrośnięte do lśniącej posadzki! Wyprowadzić się i to dla tej błahej przyczyny, że gospodarz żeni się i pragnie połączyć dwa sąsiadujące z sobą lokale i sprowadzić się do nich z żoną! Seweryn wzruszył ramionami.

Żenić się!

Także mądra instytucja! Żenić się? po co? na co? — wszakże o wiele wygodniej

można urządzić życie en garçon wygodniej i weselej...

Żenić się!

Dzika myśl; Sewerynowi nie powstała nigdy w głowie, choć trzydzieści pięć lat skończył przed miesiącem. I dobrze mu w tym brankonierskim stanie, w tej włóczędze po cudzych zagonach, które zwiedza z ciekawością dobrze rozwiniętego samca, poszukującego zaspokojenia swych chęci. Wstaje rano bez troski o życie całej rodziny, bez pisku dzieci, swarów mamki z kucharką i braku guziczka z tyłu koszuli. Wszystko jest w porządku, buty wyczyszczone, woda przegotowana, zmieszana z tinkturą benzoesową do umy-

cia twarzy, mydło Houbigana odwinięte z obłonek, krem migdałowy tuż obok flakonu gliceryny a ocet Bully'ego świeżo przyniesiony ma już markę oderwaną i koreczek lekko uchylony.

Koło łóżka, na małym stoliczku przygotowana filiżanka ziółek Jambard; obok — leży ręczne lustro znacznie powiększające i fiszbin do języka. Zmaczana w le-

tniej wodzie i napojona esencją werweny serweta wisi na poręczy łóżka, tuż obok pary jedwabnych przewróconych na lewą stronę i opylonych lekko proszkiem Viguiera skarpetek. W całym pokoju cisza i półcień dyskretny. Portyery ciemne brązowe, łóżko szerokie francuzkie na podwyższeniu pokrytem ciemnym dywanem. W kącie tualetka, cała gra szczotek z kości słoniowej, wielkie flaszki z ekstraktem cordalisu i bzu białego. Tychże zapachów woda do włosów i niezliczona moc małych pudełeczek brylantowego proszku do paznogi. Pomiędzy niemi — pilniczki, siodełka, nożyczki spiczaste i zagięte. W kącie — tuż przy poduszczyce pełnej szpilek, pudełko z veloutina ambre, puszki łabędzi i jakby ze wstydem wciśnięte kilka wideł szyldkretowych kobiecych, do



spinania greckich fryzur. Oprócz tych „wi-  
deł” — wszystko zresztą w najwyższym  
porządku poukładane, świecące, błyszczą-  
ce jak samowary żydówki. Wielka lampa  
w stylu bizantyjskim, wysadzana kamie-  
niami zwiesza się od sufitu, nadając tej

sypialni fałszywy ton kaplicy. W lustrzanej  
szybie szafy odbija się stojący pod ścianą  
nizki szezłąg Marie Antoinette — pokryty  
aksamitną draperyą. Na aksamicie, jak  
wąż mikroskopijny, leży w łuk skrecony  
kawałek błękitnego, jedwabnego sznuro-  
wadła, zerwanego silną a nerwową ręką...  
Opodal — na dywanie, niedojedzone ma-  
luchne ciasteczko z wygryzioną konfiturą  
i zlizanym lukrem...

Seweryn podniósł się na łóżku i się-  
gnąwszy ręką po filiżankę ziółek, zrzucił  
na ziemię pudełko „pate des prelats”.

którą nadawał alabastrowy ton rękóm.

Był zdenerwowany i silnie podrażniony  
przez tę niespodziewaną wizytę rządcy,  
wypowiadającego mu mieszkanie.

Trzeba szukać nowego lokalu.

Hm! ale czy to tak łatwo....

Wreszcie tu — kamienica dyskretna,  
lokatorowie nie zajmują się plotkami,  
zdają się nieżywi po za uroczyście zamknię-

temi drzwiami głównego wejścia. Kto wie — na co trafi Seweryn i czy nie wy-

niknie z tego cały szereg przykrych zajść i kolizyj.

Sięgnął ręką po skarpetki i wolno wsta-  
wać zaczął.

Spojrzał w okno.

Dzień był jesienny, ciepły jeszcze, ale trochę pochmurny. Jakieś szare, smutne światło płynęło przez szyby przysłonięte japońską siatką, po której latały z podniesionymi skrzydłami dziwaczne ptaki.

Seweryn skrzywił się i trochę przyga-  
słemu oczami powlókł dokoła. Jakkolwiek szarawe cienie włóczyły się po kątach, mieszkanie to wydało mu się po prostu rajem. Taka cisza, taki spokój panujący nawet po za oknami! Nieledwie słuchać było kroki rzadkiego przechodnia idącego wzdłuż domów.

Od czasu do czasu zaskrzeczała papuga siedząca na balkonie przeciwległego domu.

To było wszystko.

Seweryn kładł teraz na siebie komplet z białej flaneli w niebieskie paski. Stał przed lustrem i włożywszy ręce w kieszenie od kurtki, przyglądać się sobie począł.

Pomimo lekkiego znużenia w oczach, miał cerę zdrową, i świeżą. Wyciągnął język, potem przyjrzał się uważnie gałkom ocznym, wreszcie, wyciągnąwszy muskułarne ramiona, stał tak chwilę, patrząc zmrużonemi oczami w lustro. W tej białej, puszystej flaneli wydawał się o wiele cięższym i bardziej rozrośniętym niż był w rzeczywistości. Uderzył się po piersiach rękami i klatkę naprzód wysunął w niezwykły sposób. Poczem kurtkę na sznury zapiął i obróciwszy się profilem, wygiął się jak panna na wydaniu. Przyglądał się rysunkowi łydek, które pod mięką tkaniną flaneli wyraźnie się zaznaczały. Pomacał się po udach, syknął lekko i poruszając torssem począł próbować solidności bioder...

Tak! tak — był w całym rozwoju siły i zdrowia. Herbata Jambart utrzymywała mu żołądek wybornie, a brak wszelkich ekscesów nie wyczerpywał go ani na jotę. Odłożył sobie właśnie tyle, ile mógł zużyć bez naruszenia zdrowia... Używał bez wstrząśnień i wzruszeń niepotrzebnych,

a czytając Catul Mendeza, wzruszał ramionami przy opisie wyczerpujących walk miłosnych.

— C'est idiot! — decydował, zamyka-

jąc książkę. On systematycznie wypijał rozkosz pocałunku, tak jak swą przecyszczającą herbatę. Gdy nadchodziła chwila miłosnej schadzki, wyjmował z szafy koszyczek z drobnymi ciasteczkami i butelkę, przygotowywał ocet Bully'ego, szpilki, puder i najspokojniej usiadłszy w saloniku, oczekiwał zjawienia się kobiety. Gdy spóźniła się cokolwiek i wpadała zdyszana, zmęczona, szepcząc słowa usprawiedliwienia, on spokojny, uśmiechnięty, zdejmował z jej twarzy woalkę, którą się szczelnie osłaniała i mówił trochę ironicznym głosem :

— Cóż wielkiego! spóźniłaś się — to rzecz bardzo naturalna.

Poczem szedł ku drzwiom i uchyliwszy je, rzucał do przedpokoju zawsze jedno i to samo zdanie:

— Karol! niema mnie w domu!

Z przedpokoju wydobywał się bez-

dźwięczny głos:

— Dobrze, jaśnie panie! — i zasówka drzwi wchodowych opadała z suchym łaskotem.

W ten spokojny sposób rozpoczynała się każda schadzka, w równie spokojny kończyła się cała miłośćka.

Seweryn bowiem zawiązywał stosunki jedynie z... mężatkami, mając w tym stały system, od którego nigdy nie odstępował. Były to najczęściej żony przyjaciół, dobrych znajomych, którzy, rozmarzeni chartreuse'a lub koniakiem w czarnej kawie, z łokciami opartymi na stole, roztańczali tajemnice alkowy małżeńskiej na wzór króla Candaula, i w zamian za swą wiarę otrzymywali, wprawdzie nie pchnięcie śmiertelne, lecz szczerbę w honorze i miłości żony. Seweryn bowiem skwapliwie chwycił za włosy każdą okazję i umiejętnie czynił legion kochanek z tych mężatek spragnionych nowości, ciekawych występku a kryjących dyskretnie łzy i rozpacz w chwili zerwania. Wybór jego pa-

dał zwykle na kobiety dbające o pozycję zajmowaną w świecie i miejsce w domu męża; wiedział, że tego rodzaju kochanka nie odważy się na sceny, na uciecz-

ki, na opowiedzenie w chwili podrażnienia  
wszystkiego mężowi... Wiedział, że gdy  
chwila stanowcza nadejdzie, chwila nie-  
uniknionego zerwania, po chwilowej bu-  
rzy przywitają się znów z uśmiechem  
i spokojem, wobec zwróconych na nich  
czujnych oczów towarzystwa. Wspaniało-  
myślnie — podczas trwania miłości —  
pozostawiał wolność kobiecie, nie kontro-  
lując jej stosunków z mężem — owszem,  
popychając ją nieledwie w objęcia smu-  
tnego rywala.

— Trzeba mieć furtkę w razie wy-  
padku...

Kilkakrotnie „furtka” ta okazała się  
deską ocalenia. Kobiety z uśmiechem  
wdzięczności przyznawały Sewerynowi słu-  
szność, dziecko miało nazwisko i prawo  
do majątku, matka nie traciła względów  
i szacunku świata a prawdziwy ojciec usu-  
wał się w cień, zacierając ręce!...

Jedna tylko żona urzędnika kolejowego  
stawiała mu się opornie i wprawiała go  
przez pewien czas w kłopot niemały swem  
głupim sentymentalnym postępowaniem.  
Ale była też to kobieta nie z towarzy-  
stwa, spotkana przez Seweryna w Ale-  
jach, w chwili nerwowego rozdrażnienia.

Podbiła go od razu dziwnem spojrzeniem  
bladych błękitnych oczów i twarzą  
Madonny. Gdy, wbrew swemu zwyczajowi,  
poszedł za nią i przemówił przyciszonym  
głosem — stanęła, spojrzała mu  
W oczy i wyciągnęła doń rękę obnażoną,  
na której błyszczała obrączka.

Seweryn rękę podaną ujął, nie mogąc  
zrozumieć, co go ciągnęło w ten wieczór  
wiosenny do tej źle ubranej i trochę po-  
chylonej kobiety, narzucającej mu się nie-  
ledwie pod cieniem szumiących drzew.

Stosunek ich trwał parę miesięcy. Se-  
weryn nie był nigdy w domu Anny, znał  
tylko jej życie z opowiadań kochanki.

Wprędce znudziła go brakiem elegancji  
i cienkiej bielizny a zraziła zbytkiem uczu-  
cia, w którym dopatrywał się przesady.

Ona, zakochana do szaleństwa w tym  
wspaniałym mężczyźnie, którego każde  
zbliżenie mieszało ją i słodką rozkoszą  
przejmowało, była niezręczną jak każda  
zakochana kobieta. Przynosiła mu za gor-  
setem z grubej szarej dymy pęki fiołków,  
lub skrapiała włosy olejkiem peruwiań-  
skim. Nosła niskie buciki z powyciąganą  
gumą i podwiązki pod kolanami.

W dodatku uparła się być mu wierną,

wierną do głupoty i mówiła mu o tem bezustannie, kładąc głowę na piersi. On, zdenerwowany, powtarzał słowo „furtka” po raz setny i przemyślał o sposobie zerwania z tą niewygodną kochanką, cichą i uległą, przysięgając sobie nigdy nie wykraczać z przepisanych granic postępowania. Pewnego letniego wieczora, Anna, rumieniąc się i jękając, wyszeptała Sewerynowi do ucha tajemnicę, która ją radością przejmowała. On drgnął cały i porwał się z miejsca. — Co teraz zrobisz? Ona spojrzała na niego słodko i uśmiechnęła się spokojnie.

— Będę twoją do śmierci. Jutro dom męża opuszczę!

Na czoło Seweryna wystąpiły krople potu.

— Dla czego?

— Przecież teraz, jako matka twego dziecka, mieszkać z nim nie mogę...

— Dla czego?

Nastąpiła chwila milczenia.

Głos nagle zamarł w piersiach kobiety, klęczała ciągle obok szezłagu, na którym leżały porzrzućane szpilki wypadłe z jej włosów, kapelusz i rękawiczki ; twarz



nagle poblądła zwróciła ku Sewerynowi, który przebiegał pokój wzdłuż i wszerz, potraćając meble.

— A mówiłem o furtce, mówiłem tyle razy — ale cóż, pani chciałaś się bawić w sentymentalizm, w wierność! Tiens... c'est du propre! c'est mignon !...

Z okrucieństwem mężczyzny, który widzi nagle porządek swego życia zakłócony niepotrzebnym zdarzeniem, wyrzucał z siebie Seweryn cały potok słów, które jak chłosta spadały na pochyloną głowę kobiety.

— Czyż to nie czyste szaleństwo było z mej strony — mówił dalej tonem, na jaki tylko niekochający mężczyzna zdobyć się może — czyż to nie była demencyja brnąć dalej i nie przewidzieć do czego mnie pani doprowadzić możesz! Teraz jesteśmy w ładnej sytuacji! Aleja umy-  
wam od wszystkiego ręce... to nie moja wina!... Tirez vous de cette affaire vous même!... Voila!...

Stał tuż przed nią, pochylając nad nią swą maskę rozłoszczonego „viveura”, mając wielką ochotę kopnięcia tej kobiety, która, dawszy mu tak słabą i niewyraźną rozkosz, miała

śmiałość wkraczania w wygodnie urządzone życie, z dzieckiem w dodatku! Nie, tego było za wiele! — wszystkie inne, te, które miał poprzednio, oznajmiały mu podobny wypadek z dyskretnym uśmieszkiem, a on — przybierał minę rozczulonego papy, wiedząc że nic nie ryzykuje, i szeroko otwartą furtką może wyjechać, nietylko wyjść najspokojniej;

ta jedna! — ta — głupia mieszcza uparła się przy swej wierności, jakby on tego wymagał!..

Bizantyjska lampa zawieszona u sufitu rzucała różnokolorowe, pokrajane światła. Przez zielone kamienie trupie prawie padały blaski.

W blaskach tych podniosła się nagle Anna, blada, z szeroko rozwartemu oczyma. I z włosami rozwianymi, a rękami naprzód wyciągniętymi, ku drzwiom kierować się poczęła.

Seweryn postąpił za nią kilka kroków.

— Tirez vous de l'affaire!... — powtórzył, lecz ona, nie odwracając nawet głowy, otworzyła drzwi i zniknęła w ciemnej głębi salonu.

Po chwili trzask zamykającej się

bramy doleciał przez wpół uchylono  
okno.

Seweryn chciał biedź za tą kobietą,  
której bladość i milczenie dziwnie nań  
podziały, lecz... egoizm przemógł.

Z uczuciem niewysłowionej błogości  
usiadł na fotelu, oddychając ciężko.  
Ach!... uniknął nielada niebezpieczeń-  
stwa, kobieta wykręci się z tej matni,  
a on, poprzysięga sobie nigdy nie bawić  
się w sentymety, lecz czerpać dalej roz-  
kosze w cudzych a dobrze znajomych mu  
gniazdach...

Czekał jeszcze dni kilka, sądząc że An-  
na powróci, lub parę słów napisze.

Nic — milczenie zupełne.

Teraz Seweryn odetchnął pełną piersią.

Uczuł się ocalonym rzeczywiście i na  
dobre.

Od tego zdarzenia upłynęło lat siedem.

Przez te lata Seweryn miał znów kilka  
intryg, a przechodząc przez ogród Saski,  
uśmiechał się na widok małej dziewczyn-  
ki bawiącej się kamyczkami i kasztanami  
zbieranymi wśród żwiru.

Dziewczynka miała ciemne oczy i krę-  
cone włosy Seweryna a linia jej łydek,  
ubranych w jedwabne pończoszki, wygi-

nała się w charakterystyczny sposób.

Niańka, zapytywana o nazwisko rodziców malutkiej, odpowiadała uprzejmie:

— Państwo Wanderkraft — a dziewczynka uśmiechała się do przechodniów uśmiechem, który przypominał chwile najwyższej kokieteryi podbójczej Seweryna.

Czasem sama pani Wanderkraft siadała obok niańki i prezentując swe silnie rozwinięte biodra w obcisłej fularowej sukni, dozorowała zabawy dziewczynki.

Gdy Seweryn zbliżał się do ławki, kobieta uśmiechała się przyjaźnie, pod purpurową osłoną rozpiętej parasolki, i głośno przywoływała córeczkę.

— Sewerciu! przywitaj się z... panem! Dziecko dygało, wyciągając tłustą łapkę a kobieta spoglądała pogodnie w twarz mężczyzny, który odpowiadał jej również tym spokojnym, prawdziwie męzkim uśmiechem. Cudzołożna żona i jej współnik, jak dobrze wychowani ludzie, załatwili całą sprawę!

Furtka była otwarta.

Furtką tą wsuwało się kukułcze piskłę do obcego gniazda.

Ainsi va le monde!

Pani Wanderkraft postąpiła w tym wypadku jak każda światowa i dobrze wychowana kobieta postąpić powinna. Dała dowód taktu i uszanowania własnej godności.

Dla tego Seweryn przeciągał ten stosunek i czuł się zupełnie zadowolonym.

I dziś — dziś — właśnie, kiedy wczorajsza schadzka powiodła mu się znakomicie, żołądek funkcjonuje wybornie, a żółte plamki pod lewym okiem znikają pod działaniem „Anti-Bolbosu” — dziś właśnie, wymówiono mu mieszkanie...

— Nie! — c'est du guignon! rien de plus.

I nachmurzony odrywa się Seweryn od kontemplacji własnej osoby a przegiąwszy się w tył woła:

— Paul!

Z po za przymkniętych drzwi salonu,  
odzywa się ochrypli głos:

— Słucham, jaśnie panie!

I oto na progu, w szarawem oświetle-  
niu, ukazuje się Paweł — w pantoflach  
i białym fartuchu sięgającym mu aż pod  
brodę.

Jest to mężczyzna lat trzydziestu,  
wybladły i wychudły, obnoszący swą  
twarz zniszczonego rozpustą ulicznika  
w obramowaniu radych rzadkich fawo-  
rytów.

Seweryn w tej chwili przegląda się  
w lustrze, wyszczerzając zęby.

Paweł czeka na progu, zimny, spokoj-  
ny, utkwivszy wzrok przygasły w prze-  
ciwległą ścianę.

Wreszcie Seweryn zmienia pozycję  
i usiłuje dojrzeć maluchną plamkę czer-  
wieniącą się pod lewem uchem.

— Nic innego, tylko to Klara... a pro-  
siłem... prosiłem. — Paul!

— Słucham, jaśnie panie.

— Zobacz! co ja mam pod lewem  
uchem?

— Plamkę, jaśnie panie.

— Plamkę?

— Plamkę.

- Pewnie mnie... coś ukąsiło!
- Pewnie jaśnie pana coś ukąsiło?
- Daj kremu ogórkowego, może zniknie!
- Może zniknie, jaśnie panie.

Nastąpiła chwila milczenia.

Seweryn wycierał szyję białą, tłustą masą, odchyliwszy dobrze kołnierz kurtki i flanelowej bleu de France koszuli.

Błady promień słońca przebił się w tej chwili przez chmury i przyciemniony gazą rozpiętą w oknach, oblał żółtawym blaskiem tęgi i potężny kark Seweryna, kark niezwalczony, prawdziwy kark zwycięzcy, tryumfatora w zapasach miłosnych.

- Paul!
- Słucham, jaśnie panie.
- Musimy się wynosić!
- Musimy, jaśnie panie.
- Trzeba szukać mieszkania!

— Trzeba, jaśnie panie.

Seweryn ujął powiększające lustro i, postąpiwszy do okna, bacznie się szyi przyglądał.

— Znika? — co?

Paweł zbliżył się także.

— Znika, jaśnie panie.

— Przygotuj wodę!

— Dobrze, jaśnie panie.

Seweryn położył lusterko i rozpinać począł kurtkę.

Paweł rozesłał na podłodze ceratę, poczem rozwinął i ustawił gumową balię a przy niej rodzaj polewaczki z kauczukowym węzem.

— Peniuar wygrzany?

— Wygrzany, jaśnie panie

Seweryn powoli zdjął kurtkę i za chwilę tors jego muskularny, wspinały, lśniący zabłysnął w półcieniu pokoju.

Promień słońca ślizgał się po tym różowym ciele o ciemnowych, sinawych tonach.

Wąska ścieżka kręconych włosów przecinała tors na równe dwie połowy. Wtedy oczy Seweryna padły na leżące na ziemi i na wpół rozgniecione ciastko. Zmarszczył brwi, jakby dojrzał coś nieprzyjemnego.

— Pauli

— Słucham, jaśnie panie.

— Patrz!



Nagiem ramieniem wskazywał dywan  
klęczącemu na ceracie sługusowi.

— Sprzątnij !

Paweł na klęczkach posunął się po dy-  
wanie i podniósłszy ciastko, drugą ręką  
sięgnął po zostawione na sofie błękitne  
sznurowadło.

Poczem wstał i ciągle spokojny i nie-  
wzruszony, plecionkę dyskretnie położył  
obok szyldkretowych szpilek w kącie tua-  
lety, a ciastko cisnął zręcznie skrzeczą-  
cej na balkonie papudze.

Od dwóch tygodni poszukiwał Seweryn  
mieszkania.

Zrobił pięćset osiemnaście piętér i —  
nie mógł zdecydować się na wybór.

Wszędzie bramy były zanadto widne,  
za wiele drzwi wychodziło na klatkę  
wschodową, lokatorowie zdawali się za-  
nadto ruchliwi.

W dwuznacznej pozycji, jak. Seweryn  
sobie w życiu obrał — były to rzeczy  
nadzwyczaj ważne. Do tej chwili lawiro-  
wał szczęśliwie w pośród znieważanych  
mężów, którym ścisnął uprzejmie ręce  
i oddawał drobne przysługi.

Nie miał ochoty poznać tragicznej stro-

ny medalu.

Wesoła wystarczała mu zupełnie.

To też szukał i szukał odpowiedniej bramy, w której cieniu mogłaby jak w przepaści zginąć biegnąca do niego kochanka.

Paul ze swej strony dokładał starań niemało. Obadwaj wieczorem schodzili się w sypialni, zniechęceni, pożółkli, ze skórą dziwnie na twarzy wyciągniętą.

Snać podobne forsowne przechadzki obu tym viveurom nie dodawały zdrowia.

I gdy Seweryn, kładąc się, owiazywał głowę fularem, twarz nacierał magnoliną a ręce pastą kardynalską, spoglądał żałośnie na Paula skrapiającego mieszaniną octu toaletowego i wody kolońskiej firanki otaczające łóżko.

— Nic nie znalazłem — mówił jęczącym głosem.

— I ja także, jaśnie panie. — odpowiadał lokaj.

— Rozpacz!

— Rozpacz, jaśnie panie.

I Seweryn, jęcząc, zakładał na twarz rodzaj maski irszanej, napojonej coldcreamem, a faworyty podwiązywał długim

kawałkiem folarn, skropionym wodą portugalską.

— Może... jutro — bełkotał przez wązki otwór, wykrajany w szmacie irchowej.

— Może... jutro, jaśnie panie. — odpowiadał lokaj.

Tymczasem przechodziło jutro bez żadnego rezultatu i tak samo dni następne.

Pewnego jesiennego popołudnia, Seweryn, zdenerwowany, włókł, się wzdłuż kamienic, zatrzymując się przed każdą wywieszoną kartą.

Wstąpił już do dwóch domów, pomimo że ulica nie przypadła mu do gustu.

Ruchliwa była, co chwila przeleciała przez nią dorożka, to znów o kilka kroków grała katarynka wyjątki z „Carmen”.

Jakiś mały piesek usiadł na trotuarze i wył, podnosząc do góry spiczastą mordkę.

Seweryn dnia tego czuł się w dziwnym usposobieniu.

Obudził się z niesmakiem w ustach i w duszy.

Cała skóra go bolała na ciele i czuł nieledwie każdy włoszek swych faworytów, które dziś sterczały suche i bez żadnego połysku.

Uspodobienie jego wewnętrzne było szare i znużone: Czuł mimowoli jakiś przesyt i wspomnienie ciała Klary, które

go prześladowało, było mu wstrętne nad wyraz wszelki.

Spotkał ją w Saskim ogrodzie przeczo-  
dzając z córeczką. Nie rozumiał dla czego coś go popchnęło ku dziecku, które było krwią jego krwi, jego własnym płodem.

Lecz — mała — rozkapryszona, zdenerwowana, odwróciła się, nie chcąc się przywitać z „panem”. Chciał nalegać, schylił się, aby ją ująć za rączkę, pragnąc dotknięciem się tego świeżego, dziecięce-

go ramienia — obronić przeciw jakiejś tęsknocie, która go trawiła.

Lecz niańka ujęła dziecko, wołając:  
— Sewerciu! patrz... Tata idzie!...

Dziecko odwróciło główkę i wyciągnęło ręce w stronę nadchodzącego mężczyzny.

Seweryn cofnął się i przeszedł szyb-

ko, zamieniając lekki ukłon z przyjacielem.

Zaczął znów szukać mieszkania.

Szedł, prostując się z całej siły woli i przybierając obojętną minę.

Lecz piosenka „Carmeny” i wycie psa— wstrząsnęły nim do głębi.

- Ach, te nerwy! — pomyślał.

Szybko wszedł do bramy, przy której widniała karta.

Za chwilę dzwonił do drzwi parterowych, przed którymi leżała zużyta słomianka.

Drzwi otworzył mały chłopiec, najwyżej lat sześciu, dobrze rozwinięty, szeroki w ramionach, z karkiem doskonale osadzonym.

Otworzywszy drzwi, przechylił główkę, jakby oczekując wytłomaczenia.

— O mieszkanie... — wycedził Seweryn.

Chłopiec, stukając gwałtownie obcasami, zniknął w ciemni przedpokoju.

Za chwilę słychać było donośny głos dziecięcy :

— Mamo!... jakiś o mieszkanie!

— To pokaż! — odezwał się głos kobiety z głębi mieszkania wychodzący.

Seweryn wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi wchodowe.

Zapach gotującej się brukwi i topione go masła uderzył go na wstępie.

— Kuchnia musi być blisko — wyszeptał z niezadowoleniem.

Lecz nie miał już czasu oddawać się dłuższym uwagom nad rozkładem mieszkania, bo drzwi prowadzące do saloniku otworzyły się z impetem — i w jednej smudze światła ukazał się chłopiec a potrząsając energicznie głową, zawołał:

- Proszę pana za mną. Mamcia nieubrana a tatki niema. Dzieci mają lekcję i nie ma nikogo starszego tylko ja jeden.

Mówiąc to, wydymał w dziwny sposób klatkę piersiową i uderzał się po niej z zadowoleniem.

— Salon! o! — wyrzekł, wyciągając szyję — niech pan wejdzie, choć pan za błoci, nic nie szkodzi, jutro będą frote-  
rować!

Seweryn spojrzał dokoła.

Dziwnym mu się wydawał ten „salon”, pełen szydełkowych kap i serwetek.

Wszędzie czepiały się, jak rój nocnych czepków mieszczańki, opadłych na ciemną wełnę mebli; na jesionowe stoliczki, na trzcinę etażerek, na pudło nędznego fortepianu. Przed kanapą, na płaszczyźnie stołu pokrytego siatkową szarą serwetą, sterczała lampa, której podstawa tonęła w patarafce ze strzyżonej włóczki i szklanych owoców.

Mała czworograniasta czapeczka okrywała szkiełko.

Chłopiec stał teraz na środku pokoju, rozstawiając nogi. Małe, szare oczy o stalowych błyskach utkwili w twarzy Seweryna, który z pustych ścian saloniku wzrok swój mimowoli przeniósł na źrenice dziecka. I przez krótką chwilę te dwie pary oczu o jednakowym, ciemnym a przejmującym połysku tonęły w sobie, jakby zlewając swe stalowe promienie, w jedną chłodną, szarawą

smugę.

Wreszcie Seweryn ocknął się pierwszy.

— Czy jest jeszcze co więcej? — zapytał.

— Jest proszę pana, pokój mamy i taty, dziecinny, jadalny, kuchnia, pasaż i schowanko — recytował mały.

Przez uchylone drzwi prowadzące do dalszych pokojów, wyjrzała mała dziewczynka.

Chłopiec przybrał poważną minę.

— Niech Maryś idzie do kuchni, do Magdaleny — wyrzekł mrożąc oczy, a odwróciwszy się w stronę Seweryna, dodał ze śmiechem: — moja siostrzyczka!

Malutka schowała się czempredzej, nie omieszkawszy pokazać nieznanemu końca różowego języka.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Pan daruje, ale to jeszcze małe! — wyrzekł, otwierając drzwi na rozciernie — proszę pana, jadalnia!...

Seweryn przestąpił próg i stanął koło ściany, opierając się o nią plecami.

Przed nim, na sosnowym dość dużym stole, okrytym ceratą, stały talerze z grubego fajansu o żółtawych, gliniastych cieniach, grube szklanki zieleniły się w odstępach, serwetki starannie wyprostowane

i pozwijane, wsunięte były w czarne, bla-



szane kółka.

Pod ścianą kredens, na wpół otwarty, z wysuniętym blatem, ukazywał ubogie wnętrze wypełnione blaszanymi puszkami cukru, kawy i herbaty. Wielki bochenek chleba świeżo napoczęty, rozkładał wśród masy okruchów swe ciemnawe wnętrze, okolone brunatną spieczoną skórą.

Pod oknem maszyna do szycia, na wpół przykryta sztywną merłą zszywanej spódnicy, i krzeselko wyplatane odsunięte na środek pokoju.

Dokoła stołu kilka krzeseł wyplatanych i dwa wysokie foteliki dziecinne z zasuwaniem linijkami. Na jednym poduszcze czerwona perkalowa i przewieszony przez poręcz śliniaczek szydełkowy, nawleczony czerwoną tasiemką. Wszystko to jednym rzutem oka objął Seweryn. Jakieś dziwne przygnębienie ogarniało go wśród tych ścian pustych, przed tym ubogim stołem, pośród tej duszącej woni kuchennej i stukota ta-

saka o stolnicę, dolatującego z po za drzwiami źle przymkniętych.

Cała nędza rodzinnego życia, smutnego, pełnego poświęceń, prywatnej

i obowiązków — zdawała się spływać tu z trywialnością trosk codziennych. Tylko różowa i uśmiechnięta twarzyczka chłopca miała w sobie świeżość małego egoisty, zabierającego w swe płuca najzdrowsze cząstki powietrza, a w usta najlepszy kęs mięsa i największy kawał chleba.

I znów oczy Seweryna spoczywały na drobnej a dobrze rozwiniętej postaci dziecka, które, pogwizdując lekko, wyszarpywało z bochenka chleba kawałek ośrodka i, maczając go w solniczce, zjadało ze smakiem.

Seweryn przypomniał sobie, że, dzieckiem będąc, lubił namiętnie chleb z solą i zakradał się przed obiadem do sali jadalnej, aby wyprosić u lokaja kawałek ośrodka.

Wspomnienie to sprawiło mu pewien rodzaj przyjemności.

Mimowoli uśmiechnął się do chłopca uśmiechem koleżeńskim, przyjemnym, porozumiawczym.

Malec nie został mu dłużnym.

Jakby w zwierciadle odbił się na różanych ustach dziecka uśmiech mężczyzny.

Te same zadrganie nerwowe kącików,  
te same zmarszczenie brody.

— To dobre przed obiadem — bełkotał chłopiec i uderzył się znów po klatce piersiowej, smarując przód flanelowej białej bluzki tłustymi rękami.

Seweryn stał ciągle przy ścianie, obserwując dziecko. Poddał się bezwiednie pociągowi ku tej małej, kędzierzawej główce, kręcącej się przed nim w mgławym świetle dnia jesiennego.

Chłopiec ten zaciekawiał go i śledzić wzrokiem za sobą kazał. Szare źrenice z pod długich rzęs błyskały mu po żądliwie, gdy skubał ośrodek chleba... tęgi kark odsłaniał się z szeroko rozwartego kołnierza bluzy, kark o zarysach wspaniałego w przyszłości samca,

podbijającego kobiety siłą sprawianej rozkoszy.

Na karku tym zatrzymał się dłużej wzrok Seweryna, zdawało mu się, że gdzieś już widział podobny szmat ciała, tylko większy, grubszy, porośły krótkimi włosami, majaczący we mgle zestawionych umiejętnie luster... i osłonięty draperią białej flaneli.

— Teraz pokażę panu dziecinny pokój,

później mamci i kuchnię !

Z łoskotem malec szarpnął drzwiami i przed oczyma Seweryna ukazał się pokój podłużny, zastawiony pod ścianami małymi łóżeczkami, okrytymi kołderkami z pąsowego, wytartego kaszmiru. Duży stół zarzucony książkami i zabawkami czernił się na środku.

Koło pieca suszyło się prześcieradełko, na ziemi leżała naga lalka, z której sypały się trociny.

Jakieś gorąco wilgotne panowało tu, wyziew mokrej bielizny i rozlanych na podłodze mydlin.

Pod stołem siedziała malutka dziewczynka, wydzierająca kartki z wielkiej książki.

Pod oknem, na obdartym skórzanym koniu huśtał się czteroletni chłopczyk, chudy, anemiczny, wybladły.

Chłopiec oprowadzający Seweryna, jak szalony rzucił się ku dziecku kołyszącemu się na koniu.

— Złaż! to mój koń ! złaż natychmiast!

I silny, z pasyą wyrytą na drobnej twarzyczce, strącał młodszego brata, który z pokorą dziwną złaził z siodła, za-

czepiając się o powiązane sznurkami strzemiona.

Chłopiec, cały purpurowy, z krwią nabiegłą do oczów, rzucił się teraz pod stół i wyrwał dziewczynce książkę.

— Ty, oddaj, to moje!

Książkę rzucił na łóżko, poczem porwawszy za łeb konia, wsunął go w kąt tuż przy łóżku, które zapewne było jego miejscem spoczynku.

Dzieci — milczące, przytuliły się do siebie, nędzne, drobne, małe — poddając się brutalnej przemocy, jaką wywierał nad nimi ten chłopak, zdający się rządzić tu bezpodzielnie, brać pod swe panowanie wszystko, co było jeszcze do wzięcia w tej nędzy urzędniczej, w tych ubogich sprzętach powleczonej kurzem trywialności.

Seweryn znów oparł się o ścianę i śledził wzrokiem drobną postać chłopca, który z wysiłkiem pakował konia na łóżko.

I zdawało mu się, że dziecko to jest mu doskonale znajome, że widywał je codziennie dawniej i teraz odnalazł nagle wraz ze wszystkimi ruchami, tonacją

głosu, karnacją skóry...

Wreszcie — rzecz dziwna, Seweryn odczuwał jakby z jego wnętrza coś się oderwało i poruszało się teraz w małych a silnych członkach tej istoty, nurtowało tę kędzierzawą głowę, objawiało się w suchych, urywanych zdaniach, wyrzuconych z tej klatki dziwnie

wydetej pod cienką tkaniną białej flaneli.

Nagle — drzwi w przeciwległej ścianie otworzyły się na rozciż i stanęła w nich kobieta okryta ciemnym, flanelowym szlafrokiem, wiszącym luźno na wychudłym jej ciele.

Stanąwszy w ramie drzwi, które po za nią rozwarły się szeroko, ukazując profil łóżek okrytych brązowymi kapami i przedzielonych małą ciemną szafką, wyciągnęła rękę ku hałasującemu dziecku.

— Maniek! — wyrzekła suchym, bez-

dźwięcznym głosem — nie hałasuj, wiesz że mnie głowa bo...

Beszta słów uwięzła jej w gardle.

Dostrzegła Seweryna i obiema rękami schwyciła się za piersi.

Pobladła jak ściana i na chwilę  
oczy przymknąwszy, oparcia ciałem szu-  
kała.

On — poznał ją także, poznał odrazu,  
jakkolwiek straszną zmianą te lat siedem  
naznaczyły się na jej twarzy.

Był to szkielet Anny — tej Anny,  
któia podniosła się wśród blasków bi-  
zantyjskiej lampy, milcząca i blada —  
i odeszła z płodem cudzołożnym w łonie,

nie wymówisz ani słowa do swego współ-  
nika.

Teraz stali przed sobą, oboje ble-  
dzi — mając pomiędzy swemi ciałami  
całą przeszłość pieszczot, zmysłowych  
porywów i chwilę rozstania gorzką  
i gwałtowną, z początkiem brzemiennosci  
kobiety.

Wreszcie — ona odzyskała przytomność  
i podniosła głowę.

W wyblakłych jej oczach, otoczonych  
sinawemi cieniami, zadrgała cała gama  
nienawiści głuchej, tajonej wśród nocy  
bezsennych, na szafocie małżeńskiego ło-  
ża, wśród których do krwi gryząc wargi,  
taiła wyznanie prawdy, rwące się na usta  
w porywie bezdennej rozpaczy i cielesne-

go obrzydzenia.

Wszystko to mignęło w jej oczach i padło na twarz Seweryna, jak uderzenie bi-

czem cienkim a wiązonym w silnie zadziergnięte węzły.

— Czego? — zapytała.

Mężczyzna milczał, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź.

Ta kobieta wydała mu się w tej chwili straszną, tragiczną, wielką w swym gniewie.

— Czego? — powtórzyła.

Czuł, że odezwać się musi.

— O... mieszkanie — wyjąkał, pocierając jedną łydkę o drugą.

Kobieta uśmiechnęła się ironicznie.

— To mieszkanie nieodpowienie dla pana, wyjść proszę!...

Wyciągnęła drżącą rękę w kierunku drzwi.

Seweryn stał jednak ciągle, zmieszany, z oczyma spuszczone w ziemię.

— Wyjść proszę I — powtórzyła kobieta.

Lecz on, powoli, nieśmiało wzrok swój od ziemi oderwał i na chłopca stojącego koło łóżeczka przeniósł.



— To... on? — zapytał cichym, ledwie dosłyszalnym głosem.

Na twarz kobiety wystąpił rumieniec.

— Wyjść... proszę! — powtórzyła przy-  
ciszone głosem.

Seweryn patrzył wprost już w twarz  
chłopca, który, odstąpiwszy od łóżka,  
znalazł się pomiędzy nim i matką, a wsadziwszy ręce w kieszenie od kurtki, łydki wygiął, pierś naprzód podał i z uśmiechem na Seweryna spoglądał.

I był to on! on sam w zmniejszonym formacie, on — egoista, on — samolub, on — brutalny samiec tyranizujący wszystko! Kukułcze pisklę zagarnęło gniazdo dla siebie, rozpierając się w niem z zachwałością bękarta...

W oczach kobiety szklily się łzy, gło-

wę oparła o ramę drzwi i ponuro patrzyła przed siebie.

Seweryn machinalnie rękę ku dziecku wyciągnął.

Sięgnął jak po swoją własność, zapominając, że w nikczemnym egoizmie swoim stracił prawo do istoty spłodzonej

przez siebie i podrzuconej nieznanemu  
człowiekowi.

Lecz Anna nagle, jak hyena, porwała  
się ode drzwi i schwyciwszy dziecko jedną  
ręką, drugą chudą i drżącą wyciągnęła  
z wspaniałym gestem silnej w swem pra-  
wie kobiety.

Z po zaciśniętych zębów wybiegło jedno  
jedyne słowo:

— Precz!...

I słowo to było tak silne, tak tętniące  
obietnicą niecofnięcia się przed niczem,  
iż Seweryn po raz pierwszy w życiu usta-  
pił nędznie przed wzrokiem kobiety, kur-  
cząc się i cofając ku wyjściu, jak znikcze-  
mniałe wypędzone z cudzego legowiska  
zwierzę...

[ ]

VII.

LEWEK.

Małe to było, brzydkie, krępe, na krzy-  
wych nogach osadzone, z głową kudłatą  
i z bezczelnym spojrzeniem w zielona-  
wych, świdrowatych oczach, których usi-  
łowaniem najgorętszym było rzucać pie-  
kielne podbójcze błyski.

„Demoniczny jestem”, mawiał, pukając się w wypukłe piersi, okryte wykrochmaloną koszulą, „demoniczny bestya, jak cbyba nikt na świecie”. I pakował gałkę od laski w szerokie usta, które oblizywał ciągle, grubym, sinawym językiem. Nogi obute w płytkie lakierowane pantofle wyciągał przed siebie, ohydny, trywialny, śmieszny pod jasnym blaskiem porannego słońca filtrującego złotawe świa-

tło przez liście kasztanów nad ławkami się zwieszających.

Spoglądał na przechodzące kobiety z lekceważeniem pozornym a z utajoną lubieżnością. Kiwaniem nogi, wydęciem ust, zdawał się mówić jak sułtan rozparty na sofie w haremie.

„No! któraż tam!... Pan czeka!...”

Lecz w myśli powtarzał sobie:

„Ach!... żeby też która!...”

Lecz kobiety mijały go szybko, nie zwracając nań najmniejszej uwagi. Czasem zasłaniały się parasolkami, aby uniknąć jego natrętnego i bezczelnego spojrzenia, które on uważał za szczyt demoniczności. Często — gdy zniecierpliwiony, rozdrażniony, wstawał z ławki i z arogancją zaglądał pod runda kapeluszy mężatek

pilnujących dzieci, lub następował na pięty dziewcząt uśmiechających się w promieniach słonecznych — ta i owa mruknęła przez zaciśnięte zęby:

— Błazen!

On wtedy zaciskał zęby z wściekłością, przybierając pozornie rozpromienio-

ny wyraz twarzy. Siedzący bowiem na ławie przyjaciele śledzili go z uwielbieniem, patrząc, jak „zachodzi” — i jak kobiety rzucają mu w przelocie jakieś słowa, które on, szczęśliwiec! z uśmiechem niedbającym przyjmuje. Gdy powracał do ławki, kołysząc się na swych krótkich, kaczyczych nogach, gołowasy młodzieniaszek w świat podbojów wchodzący, zapytywał:

— I cóż? i cóż? co one powiedziały?...

Ireneusz wydymał dolną wargę :

— Ha! lecą na mnie!

Po ławce rozchodził się szmer uwielbienia.

Wiadomo bowiem, że Ireneusz należy do tych wybrańców, którzy mają szczęście do kobiet! Już w czwartej klasie miał taką reputację, gdy za brązowymi spódniczkami pensyonarek gonił, spocony, czerwony, kroplami potu na krótkiej, niekształtnej szyi okryty.

Pensyonarki pluły, złościły się, obrzucały go rozmaitemi epitetami, on to wszystko ze stoicyzmem znosił — wiedząc, że w oczach kolegów rośnie na zjadacza

serc panieńskich, na don Żuana, na kobieciarza! Podtrzymując reputację swoją, pracował i nadal w tym kierunku, zamieniący tylko teren swych manewrów, wiecznie w pogoni za kobietą, zawsze głodny a udający przesyconego, drżący na szelest krochmalnej spódnicy pokojówki a ziewający na widok koronek wyłaniających się z pod sukni szykownej strojnisi.

Szlachectwo zobowiązuje!

Reputacya Irka była ustalona.

Demoniczny i szczęśliwy do kobiet!..

Tylko tyle.

Godność tę trzeba było dźwigać na swej kwadratowej głowie pod grozą śmieszności i odstąpienia podbój czego berła komu innemu.

Tego Irek byłby nie przeżył.

Chował więc „błazna” — do kieszeni i mówił zapalając papierosa:

— Lecą na mni !

Lecą! och!...

Akuszerka odbierająca Irka zaopiniowała w dwie minuty po urodzeniu się tego rozkosznego dziwotworu w następujących wyrazach :

— Chłoptaş szelma śliczny jak lalka,  
do mamy podobny jak dwie krople wody.  
Będzie miał szczęście do kobiet!

Ojciec — suchy, biedny, za wędłty urzędnik — stojący pod piecem z pieluszkami w ręku, uśmiechnął się blado:

— Jak Boga szczerze kocham — przyświadczała akuszerka, wodę na kąpiel szykując — będą za nim hrabiny latały, już ja się znam na tem!

Słowa pani Malinkiewicz, powtarzane często w obecności już podrastającego Irka, głębokie nań wywarły wrażenie.

— Powiedziała — o! powiedziała!... musiała coś przecież wiedzieć, z palca sobie tego nie wyssała.

Uczył się, ale za to był bezustannie w fałdach kobiecych spódnic, wcześniej roznamiętniony i ofiarowujący się z miną znudzonej przymusowem dziewictwem kobiety. Odpychano go jednak, tak był

wstrętny, z oczyma zielonawymi, powleczonymi mgłą namiętności, z ustami w pół otwartymi o zaślimaczonych kącikach. Przez grzeczność, w obecności rodziców dziewczęta znosiły go pomiędzy sobą, unikając dotknięcia jego rąk zimnych i wiecznie spoconych. On — połykał upokorzenia, znosił przycinki, znajdując dziwną rozkosz w słowach obcych, widzących go w gronie dziewczyn.

— Irek ma szczęście do kobiet! patrzcie!... zawsze jest pomiędzy nimi!... Gdy podrósł, zaczął się zastanawiać, czym właściwie można podbijać kobiety. Czytał wiele, zatrzymując się zawsze nad opisami bohaterów, którzy, szczególnie obdarzeni od natury, uwodzili po sześć

kobiet dziennie, porzucając je później na pastwę tęsknoty i rozpaczy...

Bohaterowie ci mieli przeważnie — „czoło wyniosłe, otoczone kruczemi kędziorami, twarze pociągłe, blade — nozdrza namiętne, rozdęte”. Jeden z bohaterów Balzaka, uwodziciel urzędowy, miał wargę

dolną lekko obwisłą „świadczącą o zmysłowości”...

Zaczęły się więc tortury ciała Irko-

wego.

Włosy smażyły się i piekły na żelazka od rurkowania spódnic, nieruchome i mięsiste nozdrza rozciągane palcami, nabrały

pewnych ruchów przy wciąganiu powietrza, warga zaś dolna — ta nieszczęsna warga, miała rzeczywiście pozory zmysłowości „szalonej”.

— Irek, co robisz z ustami? — wołała matka, cicha, potulna kobiecina, niemożąca pojąć jak zaszczytne stanowisko zająć ma jej syn w społeczeństwie.

Projekt na „lwa” — tymczasem wargę ciągnął i nozdrzami ruszał, tworząc sobie w ten sposób maskę podbójczą, niezwalczoną...

Wzrósłszy w lata i ciało, krępy i nabity, rozsadzający pełnością kształtów jasne garnitury, aplikował u jednego z adwokatów, wypełniając ciasną kancelaryę trywialną, ostrą wonią chypru. Lokował się przy drzwiach salonu, aby za każdym

ich otwarciem, rzucić w głębię przenikliwe spojrzenie, samą adwokatową mające na względzie.

Pani ta jednak — jakkolwiek w niebezpieczną trzydziestkę wkroczyła i miała



lekki puszek na wierzchniej wardze posiadała tylko jedną namiętność, to jest... rurki czekoladowe napełnione kremem. Pochłaniała ich ilość obfitą, zmysłowe rozkosze na bok odkładając, namiętne przeto drżenie nozdrzy Irka zostawiało ją zimną, nawet nieździwioną w jej łakomem, kremowem rozleniwieniu.

Demoniczny natomiast młodzian, obserwowany, popychany przez kolegów, widząc, iż nic nie zyska, przybrał... minę zwycięzcy i często w pustą głębię salonu rzucał porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy, ku wielkiej radości całej dependenckiej rzeszy.

— Wzięła się! wzięła! — szeptali do siebie, głowy z plik papierów wyściubiając. Irek brwi marszczył i rękę patetycznie wyciągał.

— Proszę was — mówił — zaprzestańcie tych żartów. Podobnymi podejrzeniami obrażacie mnie i kobietę, która obdarza mnie sercem zaufaniem!

Milknął na chwilę, poczem dodawał z wysiłkiem:

— ...I której honor jest mi drogi!

Było w tym głosie to „coś”, które drga zawsze w głosie mężczyzny, ile razy

zapiera się miłostek z jakąś kobietą. Mówi „nie!” — a słyszy się najwyraźniej „tak!”

Wreszcie — następował teraz — bukiet, wieńczący zwykle podobnego rodzaju rozmowy.

— Daję wam na to... słowo honoru!

Wszystko tam było — i honor (och ten nieszczęsny!), i ręka na kamizelce położona, i przymrużanie oczów, słowem — cała lira.

Mimo to, a właściwie mówiąc, dlatego — dependenci mówili w kilka dni później w gronie swych zaufanych przyjaciół:

— Irek poleciał teraz na grandę, mężatka, szyk kobieta! Nie — on ma dziwne szczęście do kobiet!...

A zapytywani przez rodzinę o panią adwokatową, odpowiadali:

— Phi!... kobieta nieszczęśliwego prowadzenia się! Podobno Irek... i to nie sam!... nie on jeden!

Adwokatowa tymczasem kremem cała ubielona, ani przypuszczała jak czarnieje jej dobre imię, jaka smutna przyszłość gotuje się dla jej córek — których matka, niedługo w opinii całego miasta zоста-

nie „taką, co przez całą kancelaryę męża przeszła!”

Powoli — Irek rozzuchwalał się coraz więcej.

Tu i owdzie, jakaś pokojówka rozuzdana, sklepikarka lub dystrybutorka spragniona miłosnych wrażeń — zsuwała mu się w objęcia. On — wygłodzony, miłości te skwapliwie przyjmował, dekorując je później w wytworne barwy, w opowiadaniach swych, wśród kilku przyjaciół. Franusia z drugiego piętra, cuchnąca mydli -

nami, była w tych opowieściach — panną „z bardzo przyzwoitej rodziny” — odwiedzającą go o szarej godzinie z panną służącą. Biedactwo! przybywało zawsze spłonię i drzące. Narzuciło mu się prawie samo a teraz on — z litości nad biedną, stosunek ten przeciągał, który, nawiasem mówiąc, nużył go niewypowiedzianie. Czuł bowiem do czego to zmierza, panna chce koniecznie doprowadzić go do ołtarza — lecz on, Ircio — bynajmniej tego nie pragnie!

Tembardziej — że..> niedawno zaplątał się jeszcze w znajomość z pewną wdową, mającą, posiadającą handel na jednej z pryncypalnych ulic, o!... wiecie! — sklep

wspaniały — jubilerski, pełen brylantów, turkusów, rubinów...

On — uległ także temu kaprysowi, pociągnięty wielką pięknnością wdowy, lecz teraz radby się wywinąć uczciwie, jak na przyzwoitego człowieka przystoi.

Wdową tą tymczasem — była dystrybutorka, rozlana w czterdziestce, którą przekroczyła, żółta i nędzna za skromnym

kontuarem ubożego sklepiku, na jednej z najbardziej oddalonych ulic miasta.

Przyjaciele Irka cisnęli się teraz do niego, pełni tej dziwnej łatwowierności, jaką mają mężczyźni, wobec miłosnych błag patentowanego przez nich samych bezczelnika.

— Irek!... Irek!... powiedz — jak się nazywa?

Irek łyżeczką kawę mieszał z tajemniczą miną.

— Nie wymagajcie! honor kobiety!...

Lecz oni nacierali, pełni niezdrowej ciekawości starych plotkarek.

— Czy znamy ją? powiedz?

Irek ramionami ruszał.

— Może... — rzucał z niechcenia.

— Pani Strzelecka?

— A... cóż znowu!

— Pani Jacksohn?

— Ależ...

Uśmiechał się dwuznacznie, oczami demonicznie błyskając.

— Ależ tak — ona — ona — nikt inny!...

Lecz on porywał się nagle, godności pełen:

— Proszę, zaprzestańcie tych domysłów. Gdyby nawet tak było... honor milczeć mi nakazuje!

I nagle wdowa po jubilerze zostawała kobietą „kompromitującą się z jakimś dependentem”, istotą zgubioną, nieumiejącą nawet uszanować pozorów... Ta i owa, w chwili oburzenia, wróciwszy z „pod Raka”, gdzie grywa rozstrojona orkiestra, a gabinety zbudowane są z dziurawych desek — mówiła:

— Wszystko przecież można... ale zachować trzeba pozory!...

Koło kobiety robiła się pustka, której ona wytłomaczyć sobie nie umiała i nie mogła — a lewek Irek powtarzał tymczasem:

— Gdyby nawet tak było — honor mi milczeć nakazuje!

Och!... ten honor mężczyzn, lwów broniących czci kobiety, którą sami zszargali,

ten honor dzwoniący, jak fałszywa mo-

LEWEK.

neta – „qu'allait-il faire donc, dans cette galère?”

Powoli, Irek rozzuchwalał się jeszcze więcej.

Trzeba było słyszeć tę potworę mówiącą o kobietach w ogóle, zwłaszcza gdy wypił filiżankę czarnej kawy z figową cykoryą, pod werendą dystyngowanej cukierni.

— Kobiety!... hm — wiedział on dobrze co znaczy to słowo! Trzysta czterdzieści siedem razy grał komedię miłości... tak!.. tak!... trzysta czterdzieści siedem! ani mniej ani więcej! Zna więc do gruntu te istoty, które bez wielkich wysiłków przykuć do siebie na zawsze można. Gorący pocałunek, w ucho naprzykład, zupełnie wystarcza! On to próbował nieraz i żadna mu się nie oparła! a ileż ich przez ręce mu się przewinęło! Blondynki, brunetki, rude, ba!... nawet jedna siwa, lecz młoda i piękna! Wybierał zawsze bowiem piękne i dobrze zbudowane... wszak tyle jest tego na świecie!... mój Boże — ręką tylko sięgnąć... już jest i to

nie byle co, szyk, elegancja, inteligencja!  
wszystko !

Cóż? — kobieta? — istotnie słaba, bez  
woli — Ignąca do trochę przystojniejszego  
mężczyzny na oślep. Tak zwanych „ucz-  
siwych” — phii!... to okazy do wypchania,  
niema ich poprostu. Irek takich nie znał,  
wreszcie... on za nikogo, za żadnąby nie  
ręczył!...

Podkreślał te słowa, przybijając tem  
słuchaczy. A wreszcie — gdyby oni byli  
na jego miejscu i przeszli to, co on  
przeszedł — widzieli kobiety napozór  
zacne, święte, nieskalane... szalejące  
W chwili ekstazy miłosnej w jego obję-  
ciach jak kurtyzany! — a!... tak! tak,  
jak proste kurtyzany!

Od pewnego czasu upodobał sobie wy-  
raz „kurtyzana” — i szastał nim na pra-  
wo i lewo, wsłuchując się w dźwięk tego  
teatralnego słowa.

— Zresztą — ciągnął dalej, paznogie  
sobie oglądając — życie trzeba brać jak  
jest! Kobieta jest przyjemnem narzę-  
dziem rozkoszy i miłą rozrywką. Tylko...  
Tu składał ręce jak do modlitwy.

— Na Boga, panowie, nie żądajcie niemożliwego! nie chcecie widzieć w kobiecie istoty na wieki do was przykutej, bo w ten sposób — życie będzie dla was męczarnią. W młodości mej... wiedziałem coś o tem!

Pozował się melancholijnie, głowę na dłoni wspierając.

— Tak!... tak!... — kończył cichym, przytłumionym głosem — początkowo brałem komedię miłości na seryo. To mnie zabijało! Dziś, nie kocham! pozwalam się kochać... i czuję się o wiele szczęśliwszym.

Uśmiechał się, usta oblizując — w kącikach mu kawa pomieszana ze śliną czerniała.

— Teraz, już trzysta czterdzieste ósme przedstawienie nie kosztuje mnie nic i bez najmniejszego wzruszenia o schadzce wieczornej myślę. Ot - spędzić wieczór z kobietą, jest dla mnie to samo, co... filiżankę kawy wypić !

Pełen dezinwoltury, wspaniały, nadzwyczajny, sącył resztę fusów osiadłych

na dnie filiżanki. Słuchano go z religijnym skupieniem.



Swadę miał i widoczną gruntowną znajomość przedmiotu.

Czasem miał odpowiedzi, które po prostu historycznymi się stały, rywalizując ze słowem Cambronne'owi przypisywanem.

Przykład :

Jeden z młodzieży — wkraczający dopiero w dziedzinę galanterii, zauważył nieśmiało, że pomiędzy „szwaczkami” wiele się znajduje dowodów szczerego przywiązania i miłości.

Dyskutowano trochę, ten i ów opozycję zakładał, wreszcie zwrócono się do Irka, który ostentacyjnie jakiś list na różowym papierze nabazgrany czytał.

— Jak pan sądzisz?... szwaczki? co?

Irek oczy zmrużył.

— Szwaczki? — odpowiedział po chwili z niezrównanym roztargnieniem — szwaczki?... je n'en sais rien?... nie znam!...

Od pewnego czasu używał francuzczyny, ucząc się zdań pojedynczych i rozmówek pani Bocquel.

— Nieznasz pan szwaczek? — pytano ze zdziwieniem. On, demoniczny wzrok wokoło ciskał:

— A, od czegoż... damy? — zapytał.

Razem z latami, wzrosła w tym mężczyźnie dziwna zaciekłość udawania kochanka każdej choć trochę wybitniejszej lub bardziej maneż kobiety.

Zwrócił się pizedewszystkiem do —

teatru.

Poznał jakąś nędzarzę, chórzystkę — obarczoną kilkorgiem dzieci, zaglądał często do jej biednego mieszkania, i teraz, nagle zaczął pastwić się nad aktorami.

Od owej chórzystki — wyciągał niektóre szczegóły co do artystek stojących na stanowisku i szargał je w błocie rozpusty, obmawiając w najcyniczniejszy sposób.

Pisywały do niego! o! tak — nawet bardzo często, cierpiąc po prostu na manię listów! Lecz on — jakkolwiek chwilami znajdował pewne upodobanie w towarzystwie „tych pań” — umiał postawić się na odpowiedniej stopie. Mój Boże!... wiadomo bowiem jak przewrotną jest kobieta — a cóż dopiero aktorka! Tej ostatniej głównie chodzi o świe-

cidelka, błyskotki. Rzuca się więc jej ten okup i flirtuje wesoło w jej buduarze. Co jeszcze mają najlepszego w sobie aktorki — to umiejętność urządzania buduarów.

I dyskretnie dawał rozmaite szczegóły.

U tej na przykład buduar cały różowy ma na szeszlangu rzuconą białą niedźwiedzią skórę, u tamtej buduar w kształcie orientального namiotu, u innej znowu lustra, lustra i lustra.

Jeszcze inna nie miała buduaru, przyjmowała zwykle w saloniku, w którym była zaciszna alkowa, wybita liliową draperyą. Aktorka miała jasne złociste włosy, zwykle rozpuszczone i wielkie

koronkowe rękawy, które mi zamiatała ziemię.

Nawet na nim, na Irku robiło to pewien efekt, dlatego przesiadywał tam rzęsto, powtarzając z „tą panią” — jej lole.

Ależ tak — tylko role, a wreszcie...

Ta — był już dyskretnym.

Dobra wiara, którą zaszczycano go od lat kilku, wyrobiła w nim bezczelność, posuniętą do niemożliwych granic.

Opinia aktorek, szarpana zwykle przez

wszystkich, dla tego Iwa była prawdziwym  
kęskiem królewskim, na który rzucał się  
z całą zajadłością.

Aktorki!... fiu!... wszystko — kurty-  
zany !...

Rzecz ceny — nic więcej!

Ramionami wzruszał, usta wydymał —  
pełen szlachetnej pogardy dla tych istot  
ujrzanych zaledwie zdaleka, wśród blasku  
gazu, w szeleście jedwabnych spódnic i ca-  
łej fali koronek.

Serce mu biło gwałtownie, gdy ujrzał  
którą przechodzącą ulicą.

Jeśli nie był sam — pociągał gwałto-  
wnie swego towarzysza i przechodził na  
drugą stronę ulicy.

— Dlaczego to robisz? — pytał to-  
warzysz — patrz, idzie Morelka, przy-  
witasz się z nią... może mnie przedsta-  
wisz?

Irek brwi marszczył, głowę odwra-  
cając.

— Dziwny jesteś — odpowiadał — nie  
wiesz, że oddawna nie znam tej pani?

Lub zapuszczał się dalej w efronterę,  
mówiąc junacko:

— Witac się z nią? cóż znowu, prze-  
cięż ja nie mogę się tak kompromi-

tować!

Przechodził szybko, głowę do góry niosąc, z ustami wydętymi pogardliwie, ironicznie — pogwizdując jakąś urywaną melodię.

Aktorka tymczasem szła powoli, nie przypuszczając, że po drugiej stronie chodnika szedł człowiek — rzucający na

nią błotem, dający jej miano „kurtyzany” i mówiący z pogardą:  
— Ta pani, to rzecz... ceny.

Niezrównaną miał fantazyę ten kreowany przez akuszerkę pożeracz serc kobiet. Wyjeżdżał raz do Wiednia i zawadził: o Wenecję. Było to już po śmierci matki i trochę klejnotów przez nią pozostawionych przeszło w ręce żydów, dla opłacenia kosztownej dla Irka w świat wycieczki.

Lecz za to z powrotem, ileż legend opromieniło demoniczną postać lewka ... Wiedenki — hm... cóż! Wiedenki — namiętne, rozmarzone, wysiadające na ławkach Stadtparku podczas księżycowych nocy.

Sentymentalizm straszny... samobój-

stwo w perspektywie! zapewne — sensacje nowe i dość miłe lecz dla człowieka, który trzysta czterdzieści siedem razy grał, komedię miłości — zanadto wstrząsające.

Wspanialsze o wiele włoszki, wene-  
cyanki, tajemnicze, pełne ognia i nie-  
opisanej zmysłowości... A gondole!  
ach!...

Irek głową w takt wiosła kiwał i oczy  
przymykał uśmiechnięty, pełen rozkosz-  
nych wspomnień. Czasem... barkarollę  
Troschla nucił fałszywie i powtarzał jak  
papuga:

„T'amo!”

Raz — w chwili zwierzeń wyznał, iż  
przechodzącego placem Św. Marka, doj-  
rzała go pewna księżna karmiąca gołę-  
bie i wieczorem — w gondoli swej  
uwiozła.

Na Canale grande nauczyła go słowa —  
„t'amo!”

W rzeczywistości Irek mieszkał w Wie-  
dniu na Leopoldstadt, został w Stadt-  
parku zwymyślany przez jakąś mäderl . —  
wracającą z „Waschanstallt” — a w We-  
necyi, wynudziwszy się nad cuchnącym  
kanałem, napróżno usiłował pozyskać

względy dziewczyny posługującej w hote-

LEWEK.

lu, grubej trywialnej włoszki, czeszącej się raz na trzy tygodnie...

W kilka miesięcy później, Irek kupił sobie wąskie porte-bonheur i kazał je zakuć na rękę.

Było to szczytem elegancji i szyku.

Wysuwał teraz rękę z pod mankietu i błyskał złotem bransoletki, drażniąc ciekawych niezwykłym tem zjawiskiem.

Gdy go pytano — wymijał zrećźnie odpowiedzi, honorem się znów zastawiając...

Szczególniej w teatrze imponował bezustannie, bransoletkę na rękę naciągał i pod oczy nią siedzącym w krzesłach kobietom świecił.

Niektóre mówiły:

— Patrz! to monstrum ma bransoletkę!

Inne, zaciekawione istotnie, rzucały bawdawcze spojrzenia.

Irek, uszczęśliwiony, nadymał się jak żaba, porte bonheurem o szpinki dzwonił i przeginał się z nonszalancją przez baryerę krzesel.

W tym czasie przeczytał „Siostry Rondoli” i „Safo”. Mówił przeto wiele o francuzkiej literaturze i o głębokości studyów nad kobietą, dokonanych przez Maupassanta i Daudeta.

Rozmarzywszy się raz fałszowaną chartreuse'a, ułożył nagle cały romans o jakiejś tajemniczej, czarnoubranej kobiecie, która od dni kilku przychodziła do niego o zmroku wieczornym.

Miało to być „coś z arystokracji” — spowitego w batyst i blondyny (!) i pragnącego u stóp Irka pozostać do śmierci. Słuchacze zainteresowali się tą opowieścią i przez kilka tygodni, tajemnicza dama unosiła się jak mistyczne zjawisko po uad głowami mężczyzn. Powoli — zapomniano o niej. Irek — przestał mówić, znużony własnym kłamstwem.

Minęło kilka miesięcy.

Nagle przypomniano sobie tajemniczą damę i rzecz naturalna, zapytano o nią Lewka. On przez chwilę stał osłupiały,

niemogąc przypomnieć sobie — o co tu



właściwie chodzi.

Wreszcie pamięć ma wróciła.

Do dyabła! cóż teraz zrobić z tą całą historią! Płatać ją dalej — jak? — konceptu mu zabrakło.

Nagle wspaniała myśl zaświtała mu jak gwiazda zbawienia.

Uśmierci ją!

Tajemnicza dama umrze...

I z ponurą twarzą, grubym głosem, opowiedział pochylony nad swoją kawą — że — czarna dama umarła w Nicei... na suchoty, miesiąc temu, a ostatnie jej słowo było „Ireneusz”...

Powiedziawszy to — zamyślił się głęboko, smutny i znękany.

Słuchacze uszanowali jego boleść — ogólnym milczeniem. Od tej chwili, aureola cierpienia otoczyła czoło Irka; zaczął chodzić zgarbiony, jakby smutkiem do ziemi przyciśnięty.

Pluł wzdargą na wszystkie kobiety tęskniąc do tej jednej, szacunku i miło-

ści godnej — która „odeszła w dal ciemna - pod błękitnym niebem Italii”.

- Cóż znowu! — pocieszali go przyjaciele — trudno ginać z tęsknoty dla trupa. Miej siłę! oprzytomniej, Irku!

Lecz Irek pozował teraz coraz więcej,  
drapując się w szatę tragiczną. Fikcyj-  
na kochanka zaczęła dlań przybierać  
kszałty. Po upływie pewnego czasu na-  
brał przekonania, że - - czarna dama,  
rzeczywiście istniała.

Teraz w węzeł krawatu wpinał szpilki  
w formie trupich główek, ubierał się ciem-  
mno, cały żałobny jak karawaniarz.

Chwilami miał chęć sprawienia sobie  
krepy przy kapeluszu.

Słowem, był to wdowiec, wdowiec  
opłakujący istotę, która, nie istniejąc,  
śmiercią swą pogrążyła go w bezmiarze  
boleści. .

I często z zamglonemi oczyma siadał  
w gronie swych przyjaciół, aby wywnę-  
trzyć ból swój drżącym od wzruszenia  
głosem.

Jeśli go kto w życiu kochał, o! to pe-  
wno ta jedna!... Była mu cała oddana,,  
pomimo odpychającego chłodu, z jakim  
miłość jej przyjmował!

Uderzał się w czoło z rozpaczą.

— Byłem względem niej niegodziwy —  
wołał — lecz czyż to była moja wina!

Popsuły mnie te wszystkie inne, po-  
psuły, bo trzysta czterdzieści siedem

razy musiałem grać z niemi komedię miłości. A. czy która z nich była warta tego?...

— Przecież adwokato... — przerywano mu półgłosem.

— Och!... ona!... — i tu Irek mścił się za lekceważenie okazywane mu przez amatorkę kremu. Och, ona szczególnie!... głupia, zła, gadatliwa, narzucająca się, nudna i chuda!... o tak, chuda w przerażający sposób. Stanikiem dobrze zrobionym okłamywała ludzi... lecz, on — Irek, wiedział czego się ma trzymać...

Nie krępował się już teraz w słowach, rozbierając brutalnie kobiety, o których istnieniu wiedział za ledwie. Podniecony,

wściekły — mścił się za każdą obelgę, każde odepchnięcie, wyrzuceniem z siebie całej masy kłamliwych - szczegółów piętnujących kobietę jak rozpalonem żelazem, na dowód przytaczając tajemnice alkowy, sekreta ciała, ukryte wady lub wdzięki.

I tylko dla nadania sobie pozy i uroku powracał ciągle do zmarłej, wysławiając ją jako ideał piękności i wdzięku.

— Włosy miała czarne jak kruk i do pięć sięgające — mówił, potrząsając gło-

wą — oczy szafirowe, twarz bladą...  
nie! — opisać jej niepodobna, a wreszcie, chcecie? — pokażę wam jej fotografię?

Kadość w tłumie powstała ogólna.

— Ale, przysięgnijcie mi na honor, iż nigdy żaden nie da poznać po sobie, że widział ten portret w rękach moich!

Słuchacze, powstawszy, na honor przysięgli.

Gdy Irek do domu powrócił, uczuł kłopot niemały.

Przyrzekł pokazać fotografię zmarłej — hm!... dobrze, ale zkad fotografię tę dostać?

Niewypada nic innego tylko kupić jakiś „gabinet” — i przyjaciołom przed oczyma błysnąć. Nazajutrz, wczesnym rankiem, pobiegł Irek do atelier fotograficznych.

Podał się za heliominiaturzystę amatora, chcącego nabyć kilka fotografii, celem robienia studyów.

Podano mu całe stosy wybiórków, portretów osób, które nie zastrzegły sobie sprzedaży publicznej.

Irek szukał długo, wreszcie — wybór jego padł na silną brunetkę, o wielkich

ciemnych oczach, owiniętą masą białej gazy.

Wydała mu się nadziemską w tym jasnym obłoku. A — zjawisko, widmo zmarłej a nieznannej kochanki.

— Kto jest ta dama? — zapytał.

Fotograf pokręcił głową.

— Nie pamiętam prawdziwie — odparł — fotografia ta zdjęmowana już lat kilka temu. Zdaje mi się jednak, że ktoś z prowincyi.

— Nietutejsza?

— O! za to ręczyć mogę !

— Tem lepiej!

Zapłacił, fotografię zabrał i cały przejęty ważnością chwili, dzień spędził w gorączce i oczekiwaniu.

Co chwila fotografię wyjmował i przyglądał się rysom brunetki. Była przystojną, choć cokolwiek mało miała dystynkcji. Jakiś uśmiezek w kącikach ust się błąkał, za wiele widać było piersi.

Gaza ratowała jednak wszystko.

Z nadejściem wieczoru, Irek do cukierni pędził — i pomiędzy zebranych już mężczyzn wpadł.

Porwali się wszyscy, zaciekawieni jak stare baby, wyciągając ręce.

— Fotografia? o! pokaż! pokaż!  
On — stał teraz boleśnie wykrzywiony  
i powoli kopertę odchyłał.  
Portret wyjąwszy, spojrział i westchnął.

LEWEK

— Tak!... to ona!... moja święta —  
jakby przemówić miała!  
I fotografię najbliższemu podał  
a sam, jakby boleścią przybity, na krzesło  
się usunął.  
Lecz nagle, serdeczny, wesoły śmiech  
rozległ się w powietrzu.  
Jeden z grona mężczyzn, świeżo z Ło-  
dź przybyły, machał w rękę trzymaną  
fotografią „świętej — zmarłej”, zanosząc  
się ze śmiechu.  
— Ależ to Wikcia! — wołał - Wikcia  
z Grand hotelu w Łodzi — ta... co się ta  
w Warszawie teraz puszcza!  
Lewek głowę podniósł i ogłupiałym  
wzrokiem na śmiejącego się patrzył.

[ ]

VIII.  
MAŁPA.

Że Olka była małą w całym słowa tego znaczeniu, o tem wiedziało nietylko całe Żółkiewskie, ale nawet i het daleko aż po za rogatkami znano jej rudy, wiecznie rozczochrany warkocz i kaftanik w kratki, wydarty na łokciach a aksamitem u szyi ubrany.

Szczególniej wieczorami, o zmroku — pełno jej było po ważkich uliczkach przedmieścia.

Wiadomo było po co się po cieniu słania, od czasu do czasu tylko pod latarnię podchodząc; dzieci małe znały ją nawet i palcem wskazywały, mówiąc z przedwcześnie rozwiniętą złośliwością :  
— Mała! idzie mała!...

Ona wygrażała im tłustą czerwoną pięścią i rzucała gradem łupin od orzechów, których miała zawsze pełne kieszenie.

Urodzona na przedmieściu, wychowana w cieniu kamienic, córka stróża, gnieźdzącego się w zatechłej suterynie, podlotkiem zaledwie uciekła, pozostawiając po za sobą ojca, młodszego brata, wiecznie zamorusanego Wicka i kij, którym ojciec zwykł był dzieciom na dobranoc kości łamać. Nie był to jednak zły człowiek, pracowity, przeważnie trzeźwy i zupełnie uczciwy. Ucieczkę córki odcierpiał ciężko

i do samego zgonu widząc ćmy nocne, czerniące się w głębi wązkich uliczek, dławił się z wściekłości na samą myśl o losie Olki.

Ona przeniosła się w inne strony miasta i tam, wiążąc zatłuszczone wstążki na głowę, z szelestem świeżo wykrochmalonych spódnic, spadała na ulicę o szarym zmroku, razem z całym stadem szarańczy po kątach ciemnych czatującej.

Znały ją stawy Pełczyńskie i szumiące dokoła nich brzozy, znał ją Węgliński la-

sek, cały w zieleń aksamitu spowity; — powoli całe terytoryum miasta na wschód się pchającego Olka zajęła w swe posiadanie, prezentując wszędzie swą twarz płaską, ospą znaczoną i z nosem zadartym, z wargami mięsistymi, w obramowaniu ostro najeżonych włosów o rudawym, niepewnym połysku.

Lecz dziewczyna ta wiecznie tęskniła za swą kolebką, za tem Żółkiewskiem, które bieleje jasną szeroką strugą głównej ulicy i rozlewa się potem w drobne, małe, ciemne zaułki, pomiędzy domami zapchanemi żydostwem, płynące.

Olka miała nostalgię tych wielkich kamienic, rozweselonych purpurową barwą



pierzyn z ganków i z okien zwieszonych, tych dziedzińców nagle, brutalnie roztrzaskujących się na zielony plac mustry, lub cały szereg fortyfikacyj w mgłę błękitną spowitych. Tęskniła za gwizdem pociągów, przelatujących wesoło po nasypie żółcącym się w oddali, pragnęła odetchnąć wonią kasztanów, płynącą z bukietu drzew ogrodu Inwalidów, z pośród których wy-

strzelał w górę biały, czysty gmach o harmonijnie pięknych liniach.

Pod drzewami temi Olka przesypiała nieraz cało popołudnia, gdy zamiast iść do szkoły, wołała podchodzić pod łokcie przechodniom i, skomląc, wyżebrać parę centów. Najadłszy się owoców lub pierników, cała zamorusana, rzucała się w trawę, tuż około fontanny, z której płynął wazki srebrny bicz wody.

Dziewczyzna zasypiała, zaciskając mocno powieki, cała czerwona, zdenerwowana, podniecona bezczynnością i dniem upalnym.

Usta jej szemrały słowa bez związku, ręce otwierały się kurczowo.

A tymczasem kasztany szumiały, ciało jej przeświecające przez łachmany spodnic wachlując swemi szerokimi liśćmi, przez które spływało słoneczne światło,

wielkimi zielonemi plamami się znacząc.  
Olka chwile te pamiętała dokładnie.  
Gdy po nocy, spędzonej w knajpie,  
z głową ciężką i ustami spieczonemi, wra-  
cała do swej nory — cieplejszy powiew  
wiatru budził w niej myśl jedną.

A gdyby tak wrócić na Żółkiewskie!  
Ba — lecz ojciec!  
Ojca bała się jak ognia.  
Wiedziała, iż szukać jej nie będzie,  
lecz — gdyby mu pod oczy podlazła!...  
Snuła się więc znów po „Rurach” —  
omijając starannie czerniącą się sylwetkę  
policyanta.  
Czasem przemknął się koło niej termi-  
nator bosy, obdarty, zasmolony.  
Podskoczył, gwizdnął i zajrzał w oczy  
rozczochranej dziewczynie, mknącej wzdłuż  
kamienic.  
Czasem, gdy już był po śniadaniu, za-  
skrzeczał przeraźliwym głosem:  
„Spadła małpa Z pudła  
Stłukła sobie łeb”.  
Ona szła dalej, z głową opuszczoną na  
piersi, plując śliny, które jej napływały  
wciąż do ust — prześladowana jedną i tą  
samą myślą:  
A gdyby wrócić na Żółkiewskie!

I wróciła !

Wróciła po śmierci ojca, ukradkiem,  
po ciemka dziedziniec i znajome bramy  
obchodząc...

Tak! tak! nic się nie zmieniło!

Te same rynny, pod którymi w deszcz  
roztargany swój łeb moczyła, włosami po-  
plątanemi kamienie zamiatając.

Tu — koło tego mostku, cała gromada  
jej przyjaciół robiła groble z piasku i ka-  
mieni, tamując odpływ kolorowej wody,  
którą farbiarz całemi cebrami nieraz wy-  
lewał.

Tu — Wicek, pierwszy raz przez nią  
namówiony, ukradł makagigę starej, mo-  
że stuletniej żydówce, która drzemała nad  
deską, pełną łakoci, w cieniu od drzwi  
bramy.

A tu — tatlo nieboszczyk kazał jej po-  
lewaczki wody z dziedzińca sobie znosić  
i podawać. Nie było to rozkoszne, owe  
dźwiganie ciężkich konewek w skwarne  
popołudnie, tembardziej, iż tatlo ręki nie  
żałował, gdy się nie pośpieszyła.

MAŁPA.

Dźwigała też, dźwigała, przechylona na  
lewy bok z ręką wygiętą — mocząc spód-

nicę płaczącą się jej wzdłuż nóg chudych i nierozwiniętych; tatlo tymczasem wodą ulicę polewał, rysując esy floresy na szarych, półokrągłych grzbietach kamieni.

Życie było ciężkie — prawda!... choć i teraz!... pożał się Boże!... ot!...

Olka stała teraz przed kamienicą, w której wraz z tatlem i Wickiem tyle lat spędziła i pochyliwszy się do okienka suteryny zaglądać zaczęła. Inni ludzie tam mieszkali, inna pościel, inne łóżko stało już w kącie, którego ściany nawpół pieśnią były zasnutę.

Świeczka „centówka”, oprawna w blaszany lichtarz, słabo ćmiła się na stole, do połowy garnkami zastawionym.

Koło komina kręciła się mała dziewczyna, bosa, podkasana, z długim a cienkim warkoczem spadającym na wypukłe plecy. W kolebce, koło łóżka—dzieciak z brudnych łachmanów kostropatą głowę wytykał i wyciągał rękę, w której tkwiła dREW-

niana łyżka, obmazana resztką przyschniętych kartofli.

Olka teraz już zupełnie do ziemi przysiadła, a obie ręce o bruk wsparwszy, ciągle w okno suteryny patrzyła.

Tak! Tak!... ta dziewczyna rozczochrana włócząca swe bosc nogi po ubitej ziemi

izby — to ona, ona sama, lat temu piętnaście!

A ten chłopak z kołyski łeb wytykający — toć to czysty Wicek, który krzykiem swym zdawało się nieraz, iż mury rozsadzi.

Biła go za to po łbie, po pysku — ile się zmieściło, a czasem znów porywała go i do piersi cisnąć zaczynała, z rozrzewnieniem nagłym.

Sieroty bo oboje byli... sieroty, bez matki, która zmarła w szpitalu bez uczciwego nawet pochówku na zaraźliwe choróbko, co się w suterynach na Żółkiewskim rozpanoszyło.

Olka — w dziecko ruszające się wśród łachmanów wpatrywała się upornie, jakby przykuta widokiem tej małej głowy, po-

krytej sierścią jasnych włosów. Dzieciak w kołysce się gmerał i łyżką o brzeg kołyski uderzał.

Olka dzieciństwo swe całe, z nędzą i troską, przed oczami miała teraz, objęte w ciasną ramę zaledwie przymkniętego okienka.

Z wnętrza suteryn płynął ku niej chłód piwniczny z wyziewami ciała ludzkiego i gnijących odpadków połączony.

Ona chłoneła w siebie to powietrze,  
w którym wzrosła, cała prawie pijana wo-  
nią nędzy brutalnie z wnętrza ziemi się  
wydzierającej.

Razem z tą wonią budziło się w niej  
wspomnienie tatli, Wicka...

Ulicznica kurczyła się przy ziemi, chcąc  
zniknąć prawie, wkopać się pod suterynę  
i znaleźć się nagle na środku tej izby,  
z której uciekała cichaczem, w nocy, na  
rozpusztę pomiędzy „kanonierów” się prze-  
bierając.

W naprężeniu nerwowem, W jakim by-  
ła, zaczęła nagle majaczyć; zdawało się

jej teraz, że Wicek chce wyleźć z kołyski  
a ona uspakaja go i leżeć ma każe.

— Leż, hyclu, robaku, sieroto! bo cię  
uśmiercę!...

Nagle poczuła się kopnięta silną, męż-  
ką nogą w gruby but zbrojną.

— Ha frajla! wie gehts? — zaśmiał się  
rozbawiony żołnierz, błyskający w świetle  
latarni rzędem złotych guzików — chodź  
panna z nami, wypijemy paar śnaps zum  
andenken!

Olka ocknęła się z zadumy i porwała  
się z ziemi.

— Gut, Herr Leitnant! — wyrzekła,

rzędem białych zębów błyskając — ja na to jak na lato !

— Fesches Mäder!...

Poklepał ją po ramieniu i oboje powlekli się w stronę szynku, z którego dobywały się ostre, zawrotne tony katarynki.

Spotkała się pierwszy raz z Wickiem, nagle na zakręcie Piaskowej uliczki.

Poznała go odrazu, choć urósł i zmienił się dla obcych ludzi.

MAŁPA.

Ona jednak — siostra, poznała w nim brata, którego biła i kołysała, targała za włosy, lub tuliła, mrużąc uliczne piosenki.

Szedł ubrany przyzwoicie, w wysokiej czapce z daszkiem, w długim surducie i w butach dobrze wyszuwaksowanych.

W rękę pod chusteczką, niósł kilka świeżo zerwanych róż, a pod pachą dużą harmonię; niebieski krawat związany w kokardę podnosił świeżość jego cery.

Chłopiec to był dobrze odżywiony, silny, jeszcze pracą ani rozpustą niezniszczony.

Stolarzem bo był — i to już czeladnikiem, a wiadomo, stolarka to praca na Bożem powietrzu i najczęściej pod gołym niebem, więc soków z krwi nie wyciąga i płucom rozrósć się pozwala...

Dziś Wicek szedł w zaloty do córki

Jana Burby, także stolarza, który za panną Kazia daje trzysta papierków a po śmierci warsztat cały na zięcia przeleje. Wicek ma wszelkie szanse dostania stolarzówny, bo ojciec przyjmuje i jego, i harmonie łaskawie w niedzielne popołudnie,

a Kazia czerwieni się jak burak i firanki siatkowe o okien „szalony” niemiłosiernie skręca.

Wicek idzie więc — przez Piaskowy zaułek, pogwizdując lekko. Szary bo już zapada zmrok z pogodnego nieba, nieszpór skończony. Pani majstrowa kawę z babką na czerwonej serwecie zastawia. Śpieszyć się trzeba, bo panna Kazia pewnie już przy oknie stoi i przez siatkę firanki patrzy a czeka...

Z małych okienek zaułka, tu i owdzie błyskają światełka, na progach domów bawią się dzieci, na środku ulicy mały

piesek w piasku się kręci.

Nagle Wicek czuje się pociągnięty nieśmiało za rękaw.

Ogląda się.

Obok niego, kryjąc twarz dłonią, stoi tęga, wysoka dziewczyna w kratkowanym kaftaniku i w spódnicy zfalbanami.



Wicek odpycha ją łokciem.  
— Poszła, ma!po!...  
Lecz ona nie ustępuje.  
Trzyma go mocno za rękaw surduta.

— Wicek... taże spojrzuj! to ja!...  
Chłopak szeroko oczy otwiera.  
— Olka!  
I purpura oblewa twarz młodą, wesołego i zdrowego chłopca.  
Słyszał często o siostrze, lecz powoli zaczęła być dlań po prostu mityczną postacią. Wiedział, że się „puściła” — ale co robi, jak wygląda, czy jeszcze istnieje — nie przeszło mu to nawet po głowie.  
Nagle zjawia się żywa, zdrowa, hańbą okryta, niosąca na swem czole widmo jawnej rozpusty, tolerowanej swawoli.  
Pragnie się od niej odczepić za jakąkolwiek cenę, drżąc, aby go z dworku Burbów nie zobaczyli z „ladaczną”, rozmawiającego pośrodku ulicy.  
Wyrywa jej rękaw i uciekać szybko zaczyna, nieoglądając się nawet po za siebie.  
Olka stoi jak przykuta na środku ulicy, nie śmiejąc gonić niknącego w cieniu brata. U stóp jej, mały piesek szczeka teraz groźnie, poszczuty przez dzieci

k

które z przekorną ciekawością przypatrują się ulicznej włóczędze, w zmroku się słaniającej.

Czatowała na niego teraz po nocy, pod parkanami, gdy wracał z roboty lub od Burbów, z czapką przechyloną na boki i miną junacką rozwiniętego prawdziwo mężczyzny.

Nieraz przechodził mimo niej, nie widząc wśród stosu desek przyczajonej postaci, która śledziła go smutnym, przygasłym wzrokiem.

Nie spotykając siostry na drodze, uspokoił się powoli.

Wiedział, że jest na przedmieściu i krąży po szynkach, lecz do niego nie zbliża się już więcej, pewnie dumą zdjęta.

I myśląc o niej, czuł jakąś litość nad jej osamotnieniem, litość, do której przyznać się sam przed sobą wstydził, cały przejęty pogardą dla rozpusty ulicznej, dla sprzedaży ciała i targu o miłosną pieszczotę.

Ona tymczasem, gryzła się i truła tą pogardą brata i jego ucieczką w chwili gdy w niej serce kołatało jak dzwon i piersi mało nie rozsadziło...

Wiedziała, że była bardzo nędzną istotą, lecz on, brat jej — powinien mieć dla niej więcej pobłażania, aniżeli inni.

Nieraz w szynku biła pięściami w stół krzycząc, iż dożyje chwili, w której ci, co jej znać nie chcą, do nóg upadną!...

lub kulakiem groziła w stronę miasta spowitego w ciszę, jakby zaprzysięgając zemstę tym, którzy ją pierwsi w kał ten wepchnęli.

Powoli jednak myśli jej zaczęły przybierać jakieś wyraźniejsze kształty.

Wicek się od niej odwraca, bo jest biedna i obszarpana.

Gdyby miała dobrze nabity worek, kto wie, coby było!...

I od tej chwili zrobiła się chciwą, wyrachowaną, ceniąc każdą chwilę, słaniając się ze znużenia, lecz licząc oszczędzane pieniądze.

Wicek tymczasem dzień ślubu przy-

śpieszył i w kościele Panny Maryi Śnieżnej, wypomadowany, wyświeżony wieczną „uczciwość małżeńską” — spoczonej i ściśniętej gorsetem Kazi zaprzysiągł.

W wilię jednak ślubu, gdy po raz ostatni do swego kawalerskiego mieszkanka wracał, rozmarzony libacyami swych przyjaciół i towarzyszy, potknął się o jakąś masę do desek przytuloną.

— Ki dyabeł?

Olka głos brata poznała, lecz, drżąc cała, nie odpowiadała nic.

On pochylił się nad nią, sądząc, że to ktoś zemdlony.

— Któż to?

Dziewczyna zebrała się na odwagę.

— Ja... Olka!...

Krew uderzyła do głowy Wickowi.

— Czego ty się tu przywłóczysz? — zasyczał wściekły i groźny — czego?

Ona dźwignęła się na klęczki i za rękę go pochwycić pragnęła.

— Wicek!... ta my rodzeni!

— Nijaki ja tobie rodzony, małpo jedna!

Popchnął ją silnie, aż głową o parkan uderzyła.

— Ta za co ty mnie walisz? Wicek,

za co?

— Za twoje łajdactwo!

— Ta cóż robić?... kiedy już tak jest!

teraz już nikt tego nie odmieni!

Milczeli chwilę oboje.

Wiatr drzewami za parkanem kołysał.

Latarnia naftowa, na słupach za pomocą sznura zawieszona, pośrodku uliczki się chwiała, cała żółta, smutna, jakby mgłą przysłonięta.

— Ty się jutro żenisz? — zapytała wreszcie dziewczyna.

— Żenię, abo co?

— Nic!... daj ci Boże jak najlepiej!

Przekleństwo uwięzło w gardle Wicka.

— A w którym ty kościele ślub będziesz brał?

Wicek ramionami wzruszył.

— U Śnieżnej... ale, co ci do tego, ty mi czasem do kościoła nie przychodź!

Słyszysz?

Dziewczyna głowę podniosła.

— Bo to... widzisz Wicek ja sobie pieniędzy trochę złożyłam — zaczęła prędko — mogłabym porządną jaką kienkę przywdziać i wstydu byś ty nie miał!...

Wicek cały się wstrząsnął.

— Nie o kieckę tu chodzi — krzyknął  
— ale o ciebie samą, słyszysz!

Głowa ulicznicy pochylila się jeszcze  
niżej.

— Słyszę, Wicku, słyszę!...

Pokora drgała wielka w jej głosie.

Małą i nędzną zdawała się, klęcząc tak  
u stóp brata, do desek parkanu przy-  
tulona.

Wicek chwilę stał niezdecydowany,  
czując znów litość budzącą się w sercu.

— Bądź zdrowa! — wyrzekł nieco ła-  
godniejszym głosem i odwróciwszy się  
szybko iść zaczął.

Lecz ona wyciągnęła ręce i powlekła  
się za nim na środek ulicy, w żółtą stru-  
gę światła z latarni płynącego.

— Wicku!

Chłopiec stanął.

— Co?

— Kiedy ty niechcesz mnie na ślubie  
mieć... — podjęła gorączkowo — to choć  
ty mi jedną łaskę zrób! Niewiele ja pie-  
niędzy mam, ale to co jest!... weź!.. zda  
ci się na jutro!... weź!...

Ręce wyciągnięte trzymała wciąż, bła-  
galną linią wśród światła się znacząc.

Wicek uczył w piersiach dziwne ści-

śnienie.

— Nie! — odpowiedział — nie... pieniędzy twoich nie chcę!

Ona targnęła się, jakby uderzona biczem.

— A! tak!... masz recht!... łajdackie pieniądze...

Lecz w nim, w tym brutalnym chłopie, zbudził się cień delikatności.

— Nie, nie dlatego! — odparł szybko — lecz ja mam dosyć, schowaj je dla siebie!

Ona uśmiechnęła się teraz radośnie.

— Schowam je dla... ciebie, Wicek!

On, oddalając się i malejąc coraz więcej w przestrzeni, powtórzył prawie bezwiednie:

— Schowaj, Olka!

Trzy lata upłynęło, a Olka ciągle włościła się po przedmieściu, zdobywszy sobie powoli nawet sympatyę ogółu.

Nazywano ją ogólnym mianem „małpy” — lecz, że zachowywała się względnie przyzwoiciej, „grajzlerówki” mówiły o niej:

— Choć małpa, ale porządna dziewczyna!

Zaokrągliła się, wypełniała i tylko twarz

miała niezdrową bladość strawionej bezsennością i trunkami kobiety.

Ręce jej drżały, a oczy często mgła zasłaniała.

Zrobiła się dumną i nieraz w szynku chwaliła się „uczciwą” rodziną, z której pochodziła.

Pieniądze Wicka chowała święcie i od czasu do czasu drogę bratu zabiegała, za-

pytając, czy oddać ma złożone w kącie swej izby papierki ?

On, według usposobienia, usuwał ją przekleństwem lub dobrem słowem, cały teraz przejęty ważnością swego stanowiska — ważnością zięcia Burby, który, choć w grosze nie tak bardzo zasobny, cieszył się poważaniem całego cechu stolarzy.

Olka nie podchodziła nigdy w stronę ulicy Piaskowej, gdzie teraz mieszkał Witek wraz z żoną i teściem.

Znów spotykała go ukradkiem, czyhając nieraz miesiącami całymi, zanim go w bramie lub w jakim przejściu spotkała.

Powoli dowiedziała się z boku, że trzysta papierków posagu Wiekowej były bajką i tylko przynętą na lep dla złapania



męża.

Wicek więc pracował teraz na troje, bo stary Burba, odpoczywając na respekcie ludzkim, hebla się więcej nie miał, na zięcia się oglądając.

Nareszcie Wickowa, chodząca w ciąży — porodziła córkę, lecz ciężko zaniemogła i akuszerka doktorów wezwać kazała.

Zaczęły się ciężkie dni we dworku na Piaskowej ulicy.

Olka wszelkierai siłami teraz brata spotkać chciała.

Wychodził często, biegał bez pamięci, do aptek, do doktorów, ale po ludnych ulicach i w dzień, kiedy ona po świetle doń przystępu mieć nie mogła.

Nareszcie Kazia podniosła się z łóżka i do sił wracać poczęła, dziecko chowało się zdrowo, Wicek odetchnął i roboty się chwycił.

Czas bo był niemały.

Wszystkie zasoby wyczerpały się i poszły na lekarstwa i doktorów.

Dziecko chrztu się domagało.

Znajomi o sute chrzciny się domawiali, stary Burba pragnął ludzi fetą zadziwić i zły stan swoich interesów w ten sposób ozłocić.

Pieniędzy ani centa nie było.

Wicek nie sypiał nocami, drażniony przez teścia, przez żonę, która także chciała sąsiadkom proch w oczy rzucić i dać im powód do zazdrości najmniej na tydzień.

Nareszcie w bramie domu, gdzie Wicek blejtramy zamówione odnosił, spotkała go Olka, zmęczona dnia tego czatowaniem na brata od samego świtu.

— Wicek — szepnęła, w kąt bramy go pociągając — powiedzże, co się tam u was dzieje ?

On oparł się o ścianę, znękany, przybity walką o byt.

— A cóż ma być. Córkę mam!

Olka ręce na piersiach złożyła.

— Córkę?

— A jakże!

— Ładna?

— E! czerwona jak rak... Gadają, że Ładna!

— Do ciebie podobna?

— Albo ja wiem?

— Ale przecieć!...

Badala go gorączkowo, cała podniecona tą myślą o noworodku, o dziecku śpiącym w białych pieluszkach we wnętrzu kołyski.

— Najgorsze... że chrzciny wyprawić trza — podjął Wicek — a ja...

Urwał nagle, przypomniawszy sobie do kogo mówi.

Lecz Olka podchwyciła jego słowa i porwawszy go za ręce, gorąco prosić zaczęła:

— Taze ja właśnie o to za tobą łażę... weźże ty odemnie te swoje pieniądze, bo jeszcze mi je jaka psiakrew ukradnie.

On bronił się mięko:

— Nie mogę, Olka, nie mogę!...

Lecz kobieta nacierała coraz gwałtowniej.

— Taze to są twoje pieniądze! Twoje rodzone, schować mi je kazałeś...

— Bogać tam!

— Ale tak! Tak! sprawiedliwie... nie-pamiętasz jeno!

Z za pazuchy wyjęła szmatę, w której szeleściło kilkadziesiąt papierków.

— Ja je mam przy sobie już od tygodnia, lecz nigdzie cię dopaść nie mogłam! Masz, na chrzciny ci starczy!...

On odsuwał się jeszcze, cały zmieszany  
myślą dotknięcia się w ten sposób zarobionych pieniędzy.

Lecz kobieta instynktem odczuła myśl brata.

— Weź, Wicek, weź!... to pieniądze z uczciwego zarobku! Jak Boga Kocham! Koszule po nocach szyłam!... weź... to nie z „tego”!...

Kłamała, cała potem oblana, pełna wysiłku nerwowego.

Wreszcie, udało się jej pieniądze w rękę brata wcisnąć.

— A! Nareszcie!

Odetchnęła pełną piersią, jakby się ciężaru zbyła.

Lecz on stał przybity i upokorzony, ściskając w rękę szmatę z pieniędzmi.

Czuł, iż biorąc od Olki pieniądze, czyni krok pojednawczy i że powinien siostrę przychodzącą mu z pomocą na owe chrzciny zaprosić.

— Olka!... możeby ty... — wykrztusił wreszcie przez nerwowo ściśnięte gardło— możeby... ty... przyszła....

Lecz ona otworzyła szeroko oczy.

To, co zdawało się jej naturalnem lat temu kilka, teraz wydało się jej po prostu...

potwornem. Przygryzła drżące usta i ręce kurczowo dokoła szyi zacisnęła.

— Dziękuję ci, Wicek!... nie przyjdę!...  
a widząc niepokój drgający na twarzy brata, dodała stanowczo:

— Przyjść nie mogę... nie mam uczciwej kiecki!

Chrzciny wnuczki Burby sute były i wspaniałe.

W wieczór majowy, przy nawpół otwartych okienkach weselili się dobrani goście naokoło dobrze zastawionych stołów.

Była więc cielęcina z czerwoną kapustą, kotlety z sosem pikantnym, kawa, babka i tort z cyfrą nowonarodzonej.

Kazia, blada, lecz zdrowa, kręciła się pomiędzy gośćmi, wesoła, uśmiechnięta, pełna macierzyńskiego wdzięku.

Wicek, trochę chmurny, dolewał gościom wina, rozsypywał po kolanach kobiet bakalie z jakąś dziwną rozrzutnością, jakby chcąc cały ten częstunek jaknajprędzej załatwić.

Pod okna oświetlone ściągali ci i owi, aby się owemu traktamentowi przyjrzeć, lecz powoli pustoszało dokoła dworku, ludzie wracali do swych legowisk i do snu

się kładli.

W cieniu spowite jaśminy ogródka całe kłęby woni w wilgotną noc wyrzucały, szumiąc zlekka.

Zdaleka majaczyły naftowe latarnie ubogie i smutne wśród dzikiego bzu zawieszzone. Pod parkanami mknął biały kot, czając się i odskakując co chwila.

Z dworku Burby dolatywały głosy harmonijki, grał na niej Wicek, siedzący teraz na stole, z którego nawpół ściągnięty obrus opadał na ziemię. Dokoła niego kręciło się kilka par w takt polki a stary Burba z dzbanka szklanego piwo do szklanek dolewał.

Na oknach ledwo przymkniętych powiewały muślinowe firanki.

Pod jednym z nich, wychodzącym na ogród siedziała Kazia, trzymająca w poduszce kokardami upstrzone dziecko.

Matka patrzyła na tańczących machinalnie, poruszając poduszką, z której długa, lekka spadała sukienka.

Nagle zdawało się jej, że ktoś za oknem westchnął. Nieporuszyła się nawet, pogrążona w słodkiej ekstazie na widok tak dobrze bawiących się gości.

Tymczasem za oknem uczepiona prawie o ramę stała Olka, z oczyma szeroko roz-

wartemi, z których dwie strugi płynęły.  
Wiatr, wiewając muślinową zasłoną,  
ukazywał jej wnętrze wesołej, widnej izby,  
napęłnionej rozbawionymi ludźmi.  
Dźwięki harmonijki serce jej szarpały  
na strzępy — z piersi wydzierano się wes-  
tchnienie, w jęk prawie psi przechodzące.  
Widok brata, żyjącego pomiędzy inną  
sferą ludzi, inną niż ona — wyklęta i wy-  
dziedziczona, napęłniał ją dojmującym bó-  
lem, a drobna główka dziecka w tiule

i muśliny spowitego, zbudziła w niej sa-  
micę.  
Wyciągnęła rękę z jękiem ku tej drob-  
nej istocie, której stóp nawet ucałować nie  
miała prawa.  
Westchnęła!...  
Od okna porwała się Kazia i szybko  
podjęła firankę.  
Olka nie zdążyła się cofnąć, bratowa  
przeszyła ją oczami.  
— Wicek! — zawołała — Wicek a pój-  
dzi tu ino!

Mąż zlązł ze stołu i, nie przestając grać,  
do okna poszedł.  
— Co chcesz? — zapytał.  
— Odpędź-no jakąś małpę, co się pod

oknami siania!

Przytrzymując dziecko prawą ręką, lewą odkręciła rygiel i otworzywszy na oścież okno, miejsca mężowi ustąpiła.

On, grając ciągle, bokiem przez parapet się przechylił i wśród smugi światła dojrzał w oddaleniu bladą i spłakaną twarz siostry.

Przez chwilę milczał, grając machinalnie polkę, nie mogąc słów znaleźć dla oddalenia tej, za której pieniądze zdołał ochrzcić swe dziecko i uraczyć gości.

Żona tymczasem ciągnęła go za surdut.

— Zamknij okno, dziecko się zaziębił

Teraz on przechylił się jeszcze silniej i niskim, wzruszonym głosem rzucił:

— Odejdź... siostro!...

Ona wyciągnęła ku niemu ręce drżące, jakby rzucając pocałunek i odwróciwszy się wolno, odeszła w głąb ciemnej ulicy, po której kłęby woni jaśminów płynęły.

[ ]

IX. SZAKALE.

Przez dziedziniec zajazdu jak strzała



przemknął numerowy, siejąc po drodze  
świeże deszczułki, które przywiązywał do  
kluczy.

Wpadł do mieszkania właścicielki,  
i prawie bez tchu zatrzymał się w progu  
saloniku.

— Z pod siedemnastego „się” powie-  
siła! — zawołał, łapiąc z wysiłkiem po-  
wietrze.

Właścicielka, tłusta, żółta, cała rozła-  
na w swej włóczkowej halce, która wy-  
dymała się jej na brzuchu i biodrach  
a zapadała pod kolanami, otworzyła sze-  
roko oczy.

SZAKALE.

— Co to za paskudne gadanie! Po co  
się miała powiesić, kiedy jeszcze rachun-  
ku nie zapłaciła!

Lecz kelner powtarzał uparcie:

— „Się” powiesiła!

Żydówka cmoknęła niecierpliwie:

— Zkąd Marciński wie?

— Widać ją „bez” okno. Ma nogi  
o deskę oparte !

— Może sobie tylko tak w oknie  
stoi?

— Ale!... wisi, wisi jak mi Bóg miły,  
ot nogi się jej zgięły w kolanach a ręce  
dyndają po bokach. Wedle głowy już

dojrzeć nie mogłem, bo bez okiennice  
wszeteczne ciemności w numerze.

Żydówka pod boki się ujęła i stała  
chwilkę zamyślona.

— Trzeba drzwi otworzyć, podjął znów  
Kelner — może jeszcze dycha.

— Aj! aj! niech pan Marciński tak so-  
bie nie śpieszy. Po co to głosić takie  
rzeczy? To interes psuje... Goście się  
odstraszą.

Żydówka podreptała do sypialni.

Za chwilę wyszła w perkalowym szla-  
froku, który się jej roztwierał na brzuchu  
i piersiach. Na perukę zarzuciła wełnia-  
ne chustkę.

Przez uchylone drzwi weszła kilkuna-  
stoletnia dziewczyna, chuda i czarna  
w opiętej bardzo sukience. Włosy miała  
ściągnięte po chińsku i przepasane żółtą  
tasiemką.

Podeszła do matki.

— Gdzie mama idziesz?

— Do numerów. Kanapa się zawaliła  
w piętnastym! aj, co ja z tem mam!...

Ty sobie Salcia pograj trochę gamy.

Roztwierała fortepian, ścierając pył  
połą szlafroka.

— Nie chcę gam ! — grymasiła Sal-

cia.

— Aj Salcia! co z tobą!... ty gorzej „kapryszujesz”, niż te całe numera i wszystkie goście! Graj sobie gamy, albo jakie kawałki. Graj głośno a okna otwórz, niech goście słuchają!

Znów do okien dreptała, lecz kelner jej drogę zastąpił.

— Chodźmy pod siedemnasty!

— Chodźmy!

Na dziedziniec wyszli i okrążali furę z sianem, która na środku drogę barykadowała. Kilka kur kręciło się pod wozem, dziobiąc w żółtawej, lepkiej cieczy, co cuchnącym węzem pod kołami się kręciła. Przez otwartą wjazdową bramę widać było szary bruk uliczny i nagle podniesienie się ścian kamienic przeciętych ciemnymi jamami otwartych okien. Z góry płynęło szarawe światło chmurnego dnia letniego, deszcz mżył od świtu, tnąc powietrze cieniuchnemi podłużnemi nitki. Pomiedzy kamieniami tworzyły się czarniawe strumyki, które zdawały się zastygać jak ciemne pokręcone robaki.

W środkowym korpusie hotelu, cofniętym w tył, pomalowanym na jasno-

różowy kolor, prawie wszystkie okna były otwarte. Tylko na dole jedno okno miało przymknięte szaro brudne okiennice,

krzywe i popaczone. Okiennice te były od wewnątrz śrubą ujęte.

Kelner palcem na okno wskazał:

— O!

Lecz żydówka wykrzywiła się ze złością.

— Ty, panie Marciński, palcem nie pokazuj! Ty mi policyję jeszcze naprowadzisz tym palcem!

Do sionki wchodowej zwróciła się, lecz stanęła nagle jak wryta, na widok myszuryśa drzemiącego na klocek wśród porzucanych wiórów.

— Jojne! Jojne!

Jojne, rudy, mały, pokręcony, z sześcioma palcami u lewej ręki, prawdziwy „rarytas” hotelowy, porwał się na równe nogi.

— Schlufst du?

— Naaa! schlaf i nit!...

Lecz właścicielka napadła nań, sypiąc gradem obelżywych wyrazów. Leniwiec, próżniak, drogę gościom zawała i nie wie nigdy co się w numerach dzieje.

Kelner zniecierpliwiony wszedł do sieni.

— Niech pani idzie.

— Zaraz! zaraz!

Jojne uciekł, teraz właścicielka przypatrywała się zsypanym w kącie dachówkom, które miały kryć oficynę. Nagle z lewego skrzydła zajazdu wypłynęła tryumfalnie „Ostatnia myśl” Webera, kaleczona przez Salcię.

Żydówka chwilę jeszcze słuchała, uśmiechając się radośnie:

— O!

Poczem dopiero z trudnością na trzy wschodki wlaższy, w ciemną szyję sionki zagłębiła się.

Cały zaduch źle utrzymywanych numerów zacieśniał się tu, w tej ciemnej przestrzeni. Podłoga, ściany, zdawały się być przesiąknięte wonią potu, brudnej bielizny i piwnicznej wilgoci. W kącie bieleły skorupy rozbitej miski, przed drzwiami numerów porzucono buty, z których jeden w niepewnym świetle płynącym z wysoko umieszczonego okien-

ka, miał świeżą zelówkę jasno na czarnem tle podłogi się znaczącą. Cały ten zakąt, w którym nędza, występki, rozpusta, często wykwinne nawet cudzołóstwo, odwiedzało w przelocie, całe to schronienie dla smutnych, wydziedziczonych, bezimiennych, czasem jeszcze wilgoć więzienia w swem ubraniu ze sobą wnoszących, koncentrował się głównie w tym pawilonie, w dolnych numerach, gdzie stawali najczęściej ludzie wybladli, wychudli, mówiący cicho, nie domagający się nigdy świeżych prześcieradeł, szuwaksu na buty, lub wody do karafki.

Jakaś tajemniczość włóczyła się wzdłuż tych ścian rzędem drzwiczek przeciętych, jakiś podejrzany handel, przywodzący na myśl połączenia potworne, kurcze głodu przed światem tajone, łzy dziewczyny schańbionej i oczy starca powleczone mgłą rozpusty.

Lecz już kelner stał koło drzwi siedemnastego numeru, dzwoniąc kluczami.

Żydówka doń dopadła.

— Cicho! cicho! niechaj nie słyszą!  
Spojrzała przez dziurkę od klucza, ciemno było zupełnie, wyjęła z peruki szpil-

kę podwójną i zanurzyła w głębie.  
— Nie ma klucza! — wyszeptała.  
Numerowy od pasa kółko odpiął, na  
którym brzęczały klucze.  
— Poszukam!  
Z wielką wprawą klucz znalazł, w za-  
mek go włożył i dwa razy przekręcił.  
Drzwi otwarły się, skrzypiąc.

Łóżko stało zasłane, nietknięte, wycią-  
gające swe brudno czerwone fałdy koł-  
dry i biały kwadrat poduszki w półcieniu,  
jaki panował dokoła.  
Od okna płynęły jaśniejsze smugi  
a przez wycięty otwór w okiennicach  
padał snop światła przecinający brutalnie  
ciasną przestrzeń numeru. Snop ten,  
biegnąc ukośnie, padał na stół pokryty  
różową bawełnianą serwetą, na której  
stała szklanka do połowy wypitej wo-

dy, karafka, kawałek sznura ciemno  
czerwonego, odpalonego na jednym koń-  
cu i trochę kwiatów sztucznych, po-  
gniecionych i zwiniętych w kłębek.  
Bliżej okna leżało przewrócone krzesel-  
ko, z którego materac wypadł na środek  
pokoju.  
Reszta przedmiotów tonęła po kątach

w cieniu.

I tylko jeszcze piec występował masą ciężką, białą, jak zwierz uśpiony w kącie ciasnej klatki z paszczą szeroko otwartą, z której jak język czarny wisiały na jednej złamanej zawiasie zardzewiałe drzwiczki,

Lecz u okna jakaś czarna, nieruchoma zwieszała się postać, smutna i nędzna. Źle dopasowane okiennice właśnie tam filtrowały szeroką szparą światło. W szparze tej najdokładniej dostrzedz można było ciemną głowę kobiety, obramowaną jaśniejszym paskiem światła i dalej korpus zwieszający się ciężko z rękami opuszczonymi i wykręconymi konwul-

syjnie ku ciału, z nogami podkurczonymi na desce okna.

Marciński rękę wyciągnął.

— Wisi! o tam w oknie!

Żydówka oczy zmrużyła.

— Niechno Marciński poczeka! Może to takie udawanie, bo to z... takimi to różnie się trafia. Panno! panno! zleż panna z okna!... zleż zaraz!...

Lecz postać czarna nie drgnęła nawet, wciąż nieruchoma w swej strudze jasnej w ramę ją obejmującej.

Żydówka podsunęła się bliżej.



— Niech Marciński okiennicę jedną uchyli, a ostrożnie coby z „dworza” wi- dać jej nie było.

Marciński szybko podstąpił, na okno się wspiał i rękę po za trupa wyciągnął. Okiennice powoli się uchyliły. Szeroka szczyrba światła doskonale teraz oblała straszną, zsiniałą twarz samobójczyni. Numerowy w pierwszej chwili oczy przymknął, znalazłszy się tak blisko z tru- pem w ciasnej niszy okna. Powoli jednak

powieki podniósł i ręką policzka zmarłej dotknął.

— Jak lód — wyrzekł.

Z okna zeskoczył i stał teraz beczyn- nie z opuszczonymi rękami, patrząc ciągle w wiszącą.

Nagle żydówka wybuchnęła:

— A niech ją dyabeł porwie! Pięć dni numer trzymała i teraz jeszcze go zapaskudziła! aj! aj!... kto to teraz tu stanie! A policya! a gwałty... a stancya niezapłacona!

Kelner milczał, jakby zahypnotyzo- wany widokiem martwej dziewczyny.

Była przecież ohydna; cała sina, z oczy- ma szeroko rozwartymi, prawie czerw- nemu od krwi nabiegu, z masą bezkształ-

tną języka wysuwającego się z jej ust granatowych i spuchniętych. Tylko od tyłu głowy zwieszały się przepyszne wspa- niałe warkocze, czarne i lśniące, na wpół splecione. Jeden z tych warkoczy zsunął się naprzód i wisiał w przestrzeni a lek- ko przez wejście na okno numerowego

poruszony, chwiał się jak warkocz płą- czącej brzozy, z czarnej kolumny spa- dający.

— To ci włosy — wyrzekł nareszcie.

Lecz żydówka lamentowała.

— Ny, kto mi teraz zapłaci? Kto?

Co ja mam za moje dobre serce, żeby ta- ką włóczęgę z końca świata do numeru brać! A młoda jeszcze była, zdrowa, po co jej było taki koniec ze sobą robić? aj! aj!...

Do stołu się zbliżyła.

— Lichtarz mi popsuka, o!... świeca się wtopiła, niech ją choroba ciśnie!...

Na stole stał lichtarz mosiężny, cały zielony, ze stearyną świecy szeroką po brzegach rozlaną. Widocznie samobój- czyni pozostawiła na stole płonąca świecę. Przepalony sznur, którego dru- ga połowa posłużyła za śmiertelny stry- czek, należał kiedyś do szlafroka lub

bluzki. Na blasze przed piecem walały się popalone kawałki listów i papierów.

— Marciński! co ona jadła? — spytała nagle żydówka.

— Kawę; codzień dwie szklanki jej nosiłem!

— I bułki?

— A jakże!...

— Ny co ja tera pocznę, kto mi za tę kawę zapłaci?

W kącie ciemnym dostrzegła małą skrzynkę.

— Może tam co jest. Niech Marciński posunie!

— Nie wolno ruszać!

— Głupi Marciński jest! Mnie wszystko wolno, bo mnie się należy i ja pierwsza do długu jestem!

Marciński kuferek pod światło przysunął.

A w kufierku tym był cały dramat ciężki i bolesny, cały dramat życia kobiety wykolejonej, rzuconej jednym przyspieszonym tętnem krwi w falę życia straszną i nielitościwą.

Dziewczyna ta musiała być statystką w jakimś teatrzyku, bo jeszcze „krakowianka” brudna i kawałkami glasy naszyta, mieniła się wśród reszty szmat i szmatek. Ałasowe pantofle baletowe jak dwa opadłe i martwe motyle, różowiły się wśród fałd połatanych koszul. Trochę paciorków brzęczało na dnie kufra, a pomiędzy nimi rozkładał się nagle krawat męzki ałasowy, jasny-lila z czarną przetartą dziurą od wkładania tombakowych szpilek.

Krawat ten zdradzał wiele, jakąś miłośćkę łatwą do zawiązania w cieniu kulis, w tem bezustannem zbliżeniu męzczyzn i kobiet, w tym kodeksie moralności przeniecowanym i ułatwiającym nieuprawnione związki. Krawat ten był tani, podszyty perkalem, kupiony z wystawy ubogiego sklepu na jakiejś oddalonej uliczce. Męzczyzna, który go nosił, był biedny i był bezwątpienia aktorem, bo na ałasowym węzie świeciły się żółta-wo-różowo plamy szminki. Był trywialny i niewybredny w swych gustach, do-

wodził tego kolor krawatu a brutalny i pełen namiętności, gdyż tkanina cała porwana była gwałtownie wyszarpywaną szpilką.

Lecz żydówka, mrużąc gniewnie, zanurzyła dalej rękę. - Z powodzi lichych szmat wydołała kilka fartuchów płóciennych, dużych, ordynarnymi nićmi widocznie na wsi uszytych. Na jednym z nich wisiała jeszcze gałązka uczepionego chmieju. Już zeschnęła i zczerniała. Inny miał na sobie kilka uczepionych bodiaków. Nagle coś zaszumiało. Z jednej kieszonki wysypało się trochę pośladu dla kur. Widocznie dziewczyna, zerwawszy z życiem teatralnym, przyjęła służbę w jakimś wiejskim domu. Lecz niedługo tam była, może dowiedziano się, że dawniej „poka-

zywała komedye” i wypędzono ją od razu. Tak często bywa. Panie ze wsi nie lubią aktorek...

Jeszcze kilka par pończoch sztucznie pocerowanych wyrzuciła z kuferka żydówka, jakiś stanik ciemno granatowy przerobiony pod szyję, ze śladami hu-

zarskich galonów na plecach i na pier-

siach, wreszcie waporyzator rozbity z pękniętą gumą i zerwaną siatką, obrazek Matki Boskiej oprawny w blaszane ramki, kłębuszek włóczki z zaczętą szydełkową rozetką, patelkę całą czarną i spaloną od ognia, wreszcie pustą, wytłuszczoną portmonetkę. To było wszystko, lecz z tych smutnych gałganów trup cały odżywał i opowiadał gorzkie dzieje kobiecej doli. Dziewczyna ta żyła widocznie z jednym ze swych kolegów, była pracowitą i oszczędną. Pełniła przy mężczyźnie obowiązki kucharki i posługaczki.

Miała jeszcze trochę wiary, którą musiano wpoić w nią w domu. Była nerwową i lubiła denerwować się sztucznymi zapachami. Miała grunt najuczciwszy i starała się po rozstaniu ze swym kochankiem, wywalczyć sobie jakieś stanowisko wśród ludzi. Pracowała i musiała czuć się bardzo szczęśliwą. Wypędzona, wpadła w nędzę i rozpacz bezdenną. Głód, opuszczenie, smutek, pchnęły ją w ot-

chłań zwątpienia, które kończy jedynie... śmierć.

Młoda, lecz z ciałem zniszczonem nędzą i przedwczesną miłością — nie umia-

ła iść dalej.

Wśród nocy, w zaduchu i ochydzie żydowskiego zajazdu postanowiła skończyć to, co się nazywało życiem.

Przepaliła sznur, bo przeciąć go czem nie miała, i bez łzy, bez żalu, z ustami nerwowo zaciśniętymi założyła go sobie na szyję.

Ostatnie wrażenie, jakie ze sobą w dal ciemną uniosła, był żółty, drgający płomień dogasającej na środku izby świecy.

Żydówka kopnęła nogą kuferek.

— Ani gałgana nawet wybrać! Tego nawet handlarz za dwa grosze nie zechce!...

Powstała powoli i do trupa się zbliżyła, oglądając zniszczoną sukienkę, w jaką dziewczyna była ubrana.

— Może ona w kieszeni co ma?

Rękę wyciągnęła, ale prędko cofnęła ją i po za plecy ukryła.

— Niech Marciński zobaczy!

— Nie wolno!

— Głupi Marcinski jest.. jak się co znajdzie, to i Marcińskiemu się dostanie

za usługę. Przecież Marcinski na piwo nic nie dostał.

Kelner pokręcił głową.

— A no racya jest, zobaczę!

Do kieszeni trupa sięgnął, lecz pustą była prawie zupełnie. Trup się zakołysał. Żydówka z rękami złożonemi na brzucha przyglądała się niecierpliwie.

— A nie „stłuknij ją”, Marcinski.

— Wisi mocno! niech się pani nie stracha!

Oswajali się powoli z tym trupem smutnym i stygnącym w zaduchu źle utrzymanej izby.

— Niema nic?

— Nie.. ino blaszany naparstek.

Żydówka znów zaklęła.

— Daj pan Marciński naparstek! Salcia swój zgubiła, nie potrzeba kupić. Nagle zamilkła i bliżej do okna postąpiła.

Trup, kołysząc się, odsłonił nogi.

Nowe porządne buciki, zapięte na guziczki, ukazały się oczom właścicielki hotelu.

— Niech pan Marciński zlezie!

Lecz Marciński dotykał wiszącego war-



kocza i mlaskał językiem.

— Aj! aj! co za włosy!

— Marciński musi zleść!...

Kelner warkocz z żalem z ręki wy-  
puścił.

— Niech pan Marciński pójdzie cicho  
do mojego mieszkania i przyniesie duże  
nożyce. Trzeba ją oderżnąć, może jeszcze  
żyje, to się ją potrze!

Kelner spojrział w oczy żydówki.

Przez kilka chwil mierzyli się wzro-  
kiem, a oboje mieli w źrenicach jakieś  
płowe, migocące światełka.

Wreszcie, kelner ku wyjściu się skie-  
rował i, skrzypiąc drzwiami, znikł w głę-  
bi sieni.

Żydówka, pozostawszy sama, obejrza-  
ła się kilkakrotnie, poczem wyciągnąw-  
szy jaknajdalej ręce, na palcach do  
trupa podeszła i szybko guziki bucików  
rozpinać poczęła. Nos jej się zwęził  
ze strachu, usta zagięły się w półkole.  
Na czoło pot wystąpił. Ona, sapiąc,  
przechylona, ciągnęła dalej swą pracę,  
zdzierając ze zmarłej obówie, szarpiąc  
trupa, nie czując prawie chłodu nóg ze-  
sztywniałych, które pozbawione osłony,  
zabierały nagle jasną barwą szarych,

pocerowanych ciemną bawełną — pończoch.

Dokonawszy swego dzieła, właścicielka cofnęła się szybko, otworzyła drzwi i z siłą cisnęła daleko, w głąb korytarza buciki. Stuknęły o podłogę, jak uderzenie młotka o wieko trumny. Czas jednak był już wielki. Marciński po-

wracał, kryjąc pod połami kurtki duże nożyce.

Żydówka pot z czoła otarła.

— Panna Salcia gra?

— Panna się bije z kucharką!

Weszli znów do numeru i teraz już sam Marciński podszedł do okna.

— Niech się pani nie zbliża, ja ją sam obetnę.

Wlazł na okno, posunął trupa i zasłonił sobą prawie całą postać zmarłej.

Żydówka o drzwi oparta nie patrzyła, cała zajęta myślą, czy buciki samobójczy- ni będą dobre na nogi jej córki.

Tymczasem nożyczki zgrzytnęły. Z cichym chrzęstem obsunął się wzdłuż pleców trupa obcięty warkocz. Marciński zwinął go zrećnie i schował do kieszeni

kurtki.

I znów niby chrzest — i głowa dziewczyny ukazała się teraz ostatecznie zeszecona, z krótką nierówną linią rozsypanych się na karku włosów.  
Lecz Marciński ku drzwiom się zwrócił.

— Lepiej nie ruszać, policya się wda i będzie kram, że my ją poruszyli. Jaką naszli, taką zostawmy!

Żydówka skinęła głową.

— Ma Marciński „słusznie”! Teraz musi iść po strażnika ! Aj aj!... jakie to zmartwienie!...

Kelner z okna zeskoczył i ku drzwiom podążył.

Wyszli oboje na korytarz i Marciński zaczął dobierać klucze.

Żydówka, bućki niewidocznie podniosła, za chustkę ukryła.

— Czego Marciński ją zamyka? — zapytała kierując się do wyjścia.

— Prawda! — odrzekł kelner — przecież nie ucieknie !

I roześmieli się oboje.

[ ]

X.

PAPUZIA.

— Zagwizdaj, Papuziu !...

Minuśka porwała się z jego kolan i nagle w półcieniu, już z okien płynącym, zabieliła się jak zjawisko w swej masie białych zwiędniętych koronek i pomiętego batystu.

— Nie!... nie!... nie chcę!

Ale on, nieubłagany — wyciągnął rękę i ujął nagie ramię dziewczyny w swe suche palce nerwowego blondyna.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

— Ty wiesz, to dla mnie cholera to gwizdanie!

— Zagwizdaj, Papuziu!...

Ton jego mowy był rozkazujący, po-

wolny, miękki a przecież siekący jak uderzenie szpicruty.

Dziewczyna próbowała się jeszcze opierać.

— Nie!... wolę z tobą rozmawiać!

On nieznacznie ramionami ruszył.

— Zagwizdaj, Papuziu! — powtórzył po raz czwarty.

Stalowo niebieskimi oczami spojrzał w drobną twarz Minuśki, która ledwie przeświecała przez całe kłęby pokręconych czarnych włosów.

Oczy te, jakby wieczną łzawą mgłą po-  
ciągnięte, zużyte były i dziwnie rozwiązałe.  
Jakaś nabożna, dystyngowana rozpusta  
gnieździła się w tych źrenicach koloru  
dziewczęcej sukienki.  
Były to oczy westalki, powracającej ze  
schadzki do swej świątyni.  
Teraz już Minuśka, pod wpływem tego  
spojrzenia układała się powoli na kola-  
nach mężczyzny, pochylając w tył głowę,  
tak że cała kaskada czarnych włosów  
spłynęła ku ziemi i kwiatów dywanu do-  
sięgła.

I tylko biust jej biały, foremny, jakkol-  
wiek trochę w górze spłaszczony, rozcią-  
gał silnie cienki batyst szlafroka, związa-  
nego lekko białą w pasie wstążką.  
Reszta ciała zaznaczała się silnie wy-  
rażnemi konturami i dobrze wygiętą linią  
od bioder odcinała się jasno od ciemnego  
obicia niskiej tureckiej sofy.  
Z bosych stóp dziewczyny spadły małe  
pantofle z różowego atłasu, trochę brudne  
i zgniecione.  
Nogi te wyciągnięte z nieruchomością

trupią, żółte były, wygięte silnie jak nogi  
tancerki, przecięte błękitnemi żyłami i cie-

niem czarnych włosów rosnących na zgięciu palców.

W niewyraźnym mroku szarej godziny — objawiały się jak nogi kobiety zmęczonej, głupiej, nerwowej, kobiety bez silnego punktu oparcia a mimo to dobrej, miękiej, uległej — idącej ślepo za podmuchem losu.

Cała wreszcie postać Minuśki, wyciągniętej na strzyżonej tkaninie orientального mebla, miała w sobie to bierne podda-

nie się fatalizmowi, to opuszczenie rąk w walce z życiem, to zagaśnięcie poczucia rozkoszy, temperamentu i kaprysów kobiecych.

W nieruchomości swojej, w tej ulubionej pozie wyciągniętego w trumnie trupa — znać było dążenie bezwiedne ciała do spoczynku, a z pod długich rzęs przymkniętych migają tylko białka oczu. Wszystko w niej dążyło i rwało się ku ziemi razem z kaskadą czarnych włosów, razem z fałdami białego trenu, który ją obwijał zimną draperyą grobowego całunu.

Siedzący w kącie sofy mężczyzna, smukły, correct, silnie wyczesany — z brodą okrągłą zmysłowego samca opartą na sztywnych rogach lśniącego kołnierzyka, w kanciastych liniach ciała, w kolanach

silnie złożonych, przypominał pozę Ozirysa wciśniętego w szeroki stalowo-granatowy garnitur angielskiego kroju. Nawet kurtka szczelnie na dwa rzędy zapięta, opinała silnie pierś zapadłą jak mogiłę wszystkich pragnień i porywów...

Całe ciało, długie, złożone, jakby na zawiasach, przylegało doskonale do linii i zagięć sofy prostej, twardej, równej — pomimo banalnego kształtu naśladowującego wschodnie stopy poduszek.

Tylko kolana ostrym kaniem wystawały brutalnie, podnosząc silnie szewiot spodni, które opinały długie, ledwo zaznaczone łydki, niekształtne, gubiące się bez silniejszego spadku, łydki kamiennego bożka cisnącego się do twardej swego tronu podstawy. Całe ciało — zakończone wydłużonymi a płaskimi stopami, obutymi zimno w angielskie matowe obuwie równe było — ostro skrajane, kanciaste, podobne do wybornie spreparowanego szkieletu, osadzonego na doskonałych zawiasach.

Tylko głowa okrągła i twarz pokryta mięsem, kłóciły doskonałą harmonię dalszego rusztowania.

Był to kadłub angielskiego charta ze

łbem obwisłego buldoga.

Dolna warga trochę wilgotna i jakby niepewna, zwieszała się ku dołowi, od-

słaniając dolny rząd zębów żółtych i od tytoniu zczerniałych. Była to warga „viveura”, który lata całe musiał powoli nasycać namiętność swych podrażnionych zmysłów, zamykając oczy i otwierając usta. Maską jego nieruchomej twarzy urobiła się już w takie rozprężenie bezwiedne mięśni, że choć młodość walczyła jeszcze z nałogiem, ściągając skórę ze skroni, to już cały dół twarzy a nawet skóra pod oczami fałdowała się w bezsilne bruzdy, zmysłowe, zwierzęco-apatyczne.

Leżąca na jego kolanach kobieta miała w swej twarzy przyschnięty znów wyraz namiętności, nagle spieczonej i w ogniu strawionej. I u niej, tak jak i a niego ciało nie harmonizowało z głową.

Tors jej miał pełne i doskonałe rozwinięcie kobiety doszłej do szczytu siły, biodra rozłożyste i podatne miały w sobie mięsistość hiszpanek, lecz już od silnych jeszcze ud począwszy, linia nóg zwięzała się nagle, schła, drobniała brutalnie. Kończyny były słabe, anemicz-



ne, wyschłe, obciągnięte trupią skórą.

Tę samą anomalię przedstawiały  
i ręce.

Przedramię wspaniałe, doskonale piękne, już od łokcia miało ważkość dziwną, niepewną, nieusprawiedliwioną a same dłonie i palce, długie i kościste, z pofałdowaną na zgięciach palców skórą; zwieszały się ku ziemi jak ręce rozpaczliwie smutnego szkieletu.

Z karnacją skóry przeświecającej przez oczka koronek i pajęczą tkaninę batystu, było to samo. Twarz blada, żółta — jakby pocentkowana sinemi podkowami, podkreślającymi przymknięte oczy i rozciągającymi się aż na silnie wyciągniętą skórę nosa, nie miała ani śladu purpury warg, które białe, wązkie, postrzępione, niknęły prawie w bladej masce.

Lecz już szyja, tracąc zżółkłe tony, rozpływała się w różowawo lśniącej barwie piersi lekkiej, wiosennej, młodej — mającej w sobie doskonałą miękkość pastelu.

Pod białą batystu, różowa ta barwa  
ciemniała coraz dalej, zagłębiała się, to  
znów tryumfalnie przechodziła w atłaso-  
wą białość na wypukłościach bioder.

To przeświecanie jutrzenkowej barwy  
przez delikatny deseń koronki, miało  
w sobie czar dziwnie ponętny, niepewny,  
pełen tajemniczej siły doskonałej piękno-  
ści kobiecego ciała.

Jakby pod cienką warstwą śniegu, roz-  
sypane liście blado różowej kamelii, tak  
migotały szmaty ciała Minuśki w obra-  
mowaniu delikatnego desenia cienkich wa-  
lansyenek.

Lecz już — coraz dalej się posuwając —  
różowy ton bladł, siniał, zieleniał, żółkł  
na kolanach dwoma plamami i do stóp  
się zsuwając, w trupią barwę prze-  
chodził.

Jedynie jeszcze podeszwy jakąś dzi-  
wną anomalią różowiły się lekko, trochę  
starte zbyt ciasnym obuwiem, zazna-  
czając się w przestrzeni barwniej lekką  
kroplą krwi, rozartą zdaje się na ich po-  
wierzchni.

Cisza była dokoła.

Cisza wielkiego miasta, które huczy w oddali a przecież do mieszkań ludzkich hukiem tym nie wpada, pozostawiając niemal grobowy spokój tym — którzy spokoju tego pragną.

Przez białe zasłony okien ślaniała się blado-błękitna, równa — nieprzecięta niczem barwa zachodzącego nad dachami domów wiosennego słońca.

Barwa ta — wsuwając się do pokoju — jak elektryczny blask wykrawała kontury banalnych mebli, porozstawianych po kątach mieszkania. Oryentalna tkanina mebli mieniła się jaskrawymi plamami i żółtą pstrocizną frendzli. Duże, weneckie lustro — pochylone nad sofą — prezentowało się matowo szarym kwadratem, na tle trywialnego ciemnego obicia kryjącego ściany. Po kątach, na etażerkach wykrzywiały się japońskie lalki pod parasolami, które rozaczały ciemno szafirowe lub czarne koła, prawie pod samymi rogami trochę przybrudzonego sufitu.

Po środku, jak ptak nagle nieruchomy, krwawiła się czerwonością, szyb i stalowymi pokreconymi liniami obwodów wenecka latarnia, okapana stearyną

bielącą się na matowej płaszczyźnie podstawy.

W jednym z kątów żółcił się duży makartowski bukiet, smutny, przypruszony pyłem, z lasem aksamitnych szyszek, sterczących wśród pęku traw połamanych.

Niefroterowana, trochę brudna podłoga, pokryta zniszczonym dywanem, wystawała jasnymi plamami koło progów i okien, które krzywo zagłębiając znaczyły się wystającymi z po za białych zasłon blaszanymi rynienkami do zbierania rosy.

I w tej banalności zimnej, bazarowej, pretensjonalnej, wciśniętej nagle w mieszcząską klatkę ciasnych, taniem obiciem oblepionych ścian starej, żydowskiej kamienicy — nie było nic z duszy kobiety zamieszkującej te ściany.

Minuśka była ptakiem wędrownym i o klatkę nie dbała.

Przez uchylone drzwi dostrzedz można było nieposłano łóżko — rozkopane, rozrzucone, w nieładzie jeszcze nocnym, ciemniejące pod stosem zrzuconych sukien i kołder.

Okno, przysłonięte szczelnie szafirową

zasłoną, nadawało całemu pokojowi pozór grobowej kaplicy.

Reszta tonęła w cieniu.

Tymczasem w saloniku błękitne światło okien zaczęło stopniowo szarzeć i bieleć, jakby przez matowe a brudne szkło przepuszczone.

Dwie białe takie smugi — jak charty potworne przypadły do podłogi, słały się po dywanie i ginęły w oddali, tuż pod stopami nieruchomie siedzącego mężczyzny.

Końce palców u ręki Minuśki zwieszającej się z sofy, maczały się w tej martwej jasności i żółkłe paznogie, pocentkowane białymi plamkami, zdawały się być płatami tajemniczych nenufa-

rów z tafli stygnącej wody wyziera-  
jących.

Dziewczyna przymykała powieki i z przechyloną w tył głową zdawała się tężyć w jakimś odtrętwieniu.

Lecz młody mężczyzna szarpnął ją znów za ramię.

— Zagwizdaj, Papuziu!

Dziewczyna westchnęła i cicho — powoli, jakby płynąc z oddali, rozległ się drżący menuet, gwizdany jakby dziobem papugi, niepewnie w dal rzucającej

nuty.

To Minuśka gwizdała, leżąc ciągle przechylona, nieruchoma w obramowaniu swych czarnych włosów, które się z przepychem po dywanie walały.

Mężczyzna, zmrużywszy oczy, w gwizd ten się wsłuchiwał z dziwnym wyrazem koło ust obwisłych. Nareszcie rękę wyciągnął i zimnemi palcami po oczach Minuśki przesunął.

— Nie płaczesz? — zapytał.

Ona gwizdać przestała, brwi marszcząc.

— Cóż u diabła, codzień nie mogę!

— Postaraj się!...

Poznał ją w Łodzi, w sali Selina, gdy złym akcentem francuzkim śpiewała jakąś piosnkę.

W podrabianej tej francuzce odczuł odrazu łatwą i tanią zabawę i gdy otulona płaszczykiem zeszła z estrady do pustej i białej od gazu sali, zbliżył się, wiecznie nienasycony w tej pogoni za kobietą, jakkolwiek oddawna już niedoświadczał nic w dotknięciu nagich ramion, lub rozwianych włosów.

Przez nałóg, przez przyzwyczajenie

szedł już teraz, zaczepiał, wyciągał rękę, ciągle spragniony gorętszego wrażenia, czegoś, coby nim targnęło, coby zamieranie w nim rozkoszy wstrzymało choćby na krótką chwilę.

Minuśka nie zajęła go więcej od innych. Była zepsuta, wesoła, pustą i trywialną.

Mówiła „psia krew”, biła się po biodrach, pokazywała żydom na ulicach język i kłóciła się w restauracyi z kelnerami. Nie różniła się niczem od innych kobiet i drażniła w nim zamierającego trupa, lecz drażniła niemile, w bolesny, dokuczliwy sposób.

Przez kilka dni, które bawił w Łodzi, widywał ją codziennie, coraz więcej zniechęcony i pół senny.

Dziewczyna, sądząc że śmiechem i żartami zdoła rozchmurzyć to znużone czoło, roztrząsała przed nim całą torbę swych dowcipów, pozbieranych w chwilowych miłośkach, które prowadziła w swem życiu. Lecz on — ciągle milczący, zimny, kanciasty, siedział przed nią, wpatrzony w przestrzeń szklannemi oczyma trupa.

Chwilami ramionami wzruszał i mówił jedno tylko słowo:

— Cicho!

Dziewczyna milkła, zdjęta nagłą jakąś  
trwogą przed tą ciszą nakazaną jej w cia-  
snej przestrzeni zasłoniętej łóżki, po za

której czerwonymi firankami widać było  
jasną przestrzeń sali i ciemny otwór sceny.

Raz jeden ośmieliła się powiedzieć:

— To głupie takie postępowanie!

I uzbrajając się w odwagę, dodała:

— Funta kłaków niewarte!

On tymczasem patrzył na nią, skąpaną  
w jasnej powodzi gazu, płonącego w sztuc-  
zanej bani, zawieszanej u sufitu łóżki.

Klęczała przed nim na małej sofce obi-  
tej ciemną brokatelą, i podniósłszy obna-  
żone ręce, wiązała swe czarne włosy dłu-  
gą białą wstążką.

Była dnia tego ubrana już do pantominy,  
mającej kończyć przedstawienie, a w któ-  
rej grać miała rolę panny młodej.

Długa, biała muślinowa suknia natykana  
kwieciem pomarańczowem dawała jej po-  
zór umarłej dziewczycy, którą lada chwila  
złożą na śmiertelnej pościeli. Twarz jesz-  
cze nieubielona, żółta była i martwa w tej  
białej koronek powodzi.

Opierała się biodrem o stół nakryty  
białym obrusem, na którym walały się  
resztki kanapek i kieliszki koniaku.



Związała włosy i powoli, z pewnym leniwym wdziękiem na poduszki sofy upadła. — Funta kłaków niewarte! — powtórzyła przez zaciśnięte zęby. Z po za uchylającej się firanki dolatywał przenikliwy głos dziewczyny, śpiewającej na scenie drżącym sopranem:

„Demande aux lys, s'ils aiment la rosée”.

On ciągle patrzył na nią, dziwiąc się i zazdroszcząc tej żywotnej sile, która kazała jej poruszać się, śmiać, denerwować i wyrzucać z siebie całą kaskadę słów i chęci.

Wiecznie i ciągle od pewnego czasu obserwował tak wszystkich, sam ciągle bezsilny, pełen przewidyń, halucynacyj, widząc koniec wszystkiego, nie mogąc zbudzić się z odrętwienia zmysłów, w jakie popadał z dniem każdym.

Ogarniał go smutek bezdenny, z którego sobie sprawy zdać nie umiał, szukając w złem trawieniu przyczyny głównej tej zmiany, podniecając się fizycznie i moralnie, pragnąc rozpaczliwie wyjścia z tej nicości, w którą powoli zapadał.

Spełniał automatycznie funkcje swego urzędowania w jednym z towarzystw kredytowych, lecz nocami, wybladły i z gałką swej laski przy ustach, zjawiał się jak mara blada i milcząca, z niemą skargą na swój zgon duchowy, w zadymionych lokalach restauracyjnych, w ochrypłych salach koncertowych, w zaułkach nocnej rozputy - goniąc coś ciągle w milczeniu szukając, trawiąc się, stygnąc od wnętrza. Bezwiednie lgnął do kobiet, jakby w nich szukając odrodzenia, lecz — te, do których miał przystęp łatwy i z góry zapewniony — wstrząsały nim swym śmiechem, banalną pieśczołą i coraz ciemniejsze koło tworzyły dokoła jego osoby. Od czasu do czasu, opowiadały mu historię swego życia, zaczynając się niezmiennie od tych słów: „Nie miałam jeszcze piętnastu lat i byłam zupełnie głupia, a tu.. Słuchał chwilę, sądząc że coś się tam przewinie, co mu rysę w jego lodowej powłóce uczyni — lecz prędko myśl w inną stronę odwracał.

Zawsze to samo!

Jedna historia w milionowym wydaniu!

Minuśka przecież nie opowiedziała mu swej „historii”.

Była banalną, trywialną, jak inne — mówiła mu „mój kiziu” — i jadła rybę nożem ale „historii” swej nie opowiedziała do tej chwili.

Nie opowiedziała i nie opowie — bo, oto on wyjeżdża jutro i ma jej właśnie to powiedzieć za chwilę, skoro tylko tamta z po za zasłony śpiewać przestanie.

Doszedł już do lego stopnia osłabienia i rozdrażnienia, że nie lubi i nie umie mówić, gdy kto śpiewa.

Tymczasem Minuśka nalewa sobie kieliszek koniaku.

— Wiecznie pan jesteś smutny jak sum — mówi, pijąc fałszowaną ohydę powoli, jakby z rozkoszą — dobrze że masz na smucenie się, to jeszcze pół szczęścia! Odstawia kieliszek i znów wciska się w poduszki sofki.

— Może to i taka moda być na smutno — ciągnie dalej, rurkując falbanki su-

kni na palcach — znałam jednego pana od wyścigów, także się tak wiecznie gryzł i dręczył. Podobno coś kiedyś tam komuś

ukradł, to go jadło!..

Roześmiała się głośno i zastanowiła chwilę.

— No, to już było przez sumienie.

Prawda? Ale pan? Co ci to brak!... Mój Boże! Żeby to mnie panem być! czybym ja kiedy się zasepiła, co?

Po za zasłoną śpiewaczka umilkła i z sali dolatywał szmer pomieszanych głosów, odsuwanie krzesel i szczęk kufli rozstawionych na stołach.

— Masz pan co jeść, gdzie mieszkać, masz pewnie rodzinę, ojca, matkę a może i żonę — a takiś pan skwaszony ciągle.

Nie powiem, żeby to ja, co to jak ten psiak bez gniazda po świecie się tyram i już z rozpaczy do francuzów przystałam i oto się Falfandierowej wysługuję. Psia krew! dobrze że mnie trochę po francuzku nauczyli, to i co zarobię na to marne życie... oj! marne!

Znów po kieliszek sięgnęła, z butelki

naląła, wypila.

W pół drogi ręka jej w fałdy sukni opadła.

Była już na wpół pijaną.

— Psiakrew! — powtórzyła raz jeszcze i głowę w tył przechyliła.

Ktoś drzwi w sali otworzył.  
Gaz w kuli zaczął migotać, chyląc się  
na obie strony.  
Rozpaczliwy jakiś smutek wypełnił ma-  
łą przestrzeń łóżki, jakaś grobowa pustka,  
pomimo tłumy poruszającego się po za-  
firanką.  
Mężczyzna w swej automatycznej szty-  
wności zastygł, siedział nieporuszony  
w kącie sofy, zdając się wydzielać z sie-  
bie ten chłód trupi i mrozić nim ożywioną  
jeszcze niedawno dziewczynę.  
Teraz było już ich dwoje smutnych,  
niemających dachu po nad duszą.  
I Minuśka czerniała, żółkła, pozbywając  
się swej maski sztucznego uśmiechu, od-  
słaniając nagle swój szkielet już pruchnie-

jacy nieszczęśliwej, walczącej z życiem  
istoty.

Leżała nieruchoma, z rękami obwisłe-  
mi, z ustami opuszczonemi w kącikach  
bolesnem skrzywieniem. Nagle wargi ścią-  
gnęła nerwowym skurczem i lekko, cicho  
gwizdać zaczęła.

Był to gawot popularny, łatwy do po-  
chwycenia i ciągnący się cicho jak srebrna  
nitka pajęcza.

W rozkołysaniu się gazu, gwizd ten le-

ciuchny motał się z przejrzystością do kładną, wznosił się, opadał i znów rozpoczynał.

Nagle umilkł, rozplływając się w urywanej nutce. Chwileczkę trwało milczenie. Przerwał je ochryply nieco głos Miński:

— Pan wiesz, ja miałam dziecko!

Mężczyzna nie drgnął nawet, nie odpowiedział ani słowa.

Przygasłe oczy skierował jednak na leżącą kobietę, bo czuł że ma w niej trochę odbicia swego smutku, swego zniechęcenia.

Widział, że się nie krzywi uśmiechem.

Oddychał.

— Miałam dziecko! a jakże! jak anioła taką dziewczynkę! Żebyś ją pan był widział no — co to opowiadać! Królowna! Włosy czarne, oczy szafirowe — buzia maluchna. A mądra, a ucieszna. W dziecięcioro się krajałam, aby jej nic nie brakło! Pan nie ma dzieci?

Nie było odpowiedzi.

— Nie ma pan? Dobrze pan robi. Dzieci to wielka radość, ale co też to za smutek! Serce ledwo nie trzaśnie jak to ginie! Psia krew... co to za urządzenie na świecie!...

Miała na imię Maryśka! Ja ją nazywałam Marychna. To ładnie, prawda? Mówiła już, chodziła, łydki miała grube, tak że ją tylko w skarpetki ubierać można było! I co pan powie! W trzy dni - ani się obejrzałam,

już było po niej! słyszy pan!... po niej!... Oboje siedzieli ciągle nieruchomo w obu kątach sofy, ona przechylona, z twarzą ginącą w tem skróceniu. Tylko podbródek drgał jej nerwowo, jak u kobiet blizkich płaczu.

— Nazywała mnie... Papuzią. A to ztąd widzi pan poszło: Posłyszała kiedyś pod balkonem na ulicy gwizdzącą papugę. Odejść nie chciała. Wzięłam ją na ręce i gwizdałam jej w uszko przez całą drogę. Później... ciągle prosiła — gwizdaj, Papuziu! ja gwizdałam! Ach Boże!... ja gwizdałam!

Porwała się nagle, jakby ocucona.

— Ja pana nudzę, oo? Pan i tak smutny!

Lecz on rękę wyciągnął.

Jakiś cień uśmiechu przewinał się nawet koło jego warg pobladłych.

Od tej nagle otwierającej się przed nim rany macierzyństwa, w rozpustnem otoczeniu zamkniętej łóżki tingel-tanglu, płynę-

ło ku niemu powolne uspokojenie i łagodne uczucie ledwo dostrzegalnego ciepła. — Bo to widzi pan, mężczyźni nie lubią skoro się im o takich rzeczach mówi. Tylko pan jakiś inny od wszystkich. Może to pana i bawi.

Westchnęła, znów głowę przechyliła na poręcz sofki i oczy zmrużyła

— Widzi pan, to było dziecko takie... no, pan wie! ot takie, bez ojca. Więc to się chowało nie u mnie, ale ja zawsze co dnia przybiegałam, na ręce schwyciłam, wyczuwałam gdzie mogłam. Jak już nic jej przynieść nie miałam, to choć pogwizdać przyszłam, a mała się już od progu rwała i piszczała: „gwizdaj, Papuziu! gwizdaj!...” Było to uciechy! Cholera muzyczna była! W dziadka się wdała!... Urwała, jakby przerażona zdradzeniem cienia tajemnic swego pochodzenia.

— No, i kiedy przyszła ta ciężka godzina, że ją śmiertelna choroba schwyciła — ja po doktorów z gołą głową latałam po nocy, w aptekach dzwonki urywałam. Raz mnie stójkowy mało do cyrkułu nie zwłókł... Co pan chce! Dla dziecka to się w ogień skoczy! Nie pomogło! Chudła, sztywniała — i już tylko na rękach nosić ją trzeba było dniem i nocą. Ja też



nosiłam i jeszcze tylko to gwizdanie mogło ją uspokoić na trochę, na krótko! I ja też gwizdałam! Łzy mi jak groch leciały!... ale nosiłam i gwizdałam!

Umilkła, i z pod przysłoniętych rzęs zamigotały nagle dwie lśniące krople łez, poczem z pochylonej w tył głowy spływały po skroniach, mocząc silnie pęki fryzowanej grzywy.

— I wiesz pan co? Umarła mi na rękach wtedy, kiedy chodziłam z nią po pokoju i gwizdałam jej cichutko, cichuteńko — prawie w samo uszko. Późno było, świeca się dopalała, w kącie chrapała kobieta, u której się ona chowała. Ja chodziłam boso, żeby nie wstrząsać rękami, gwizdzę — ona oddycha, raz drugi oczki otworzyła — sina obrączka naokoło ust się rysuje. Jezus Maryja! myślę sobie, dziecko !... gwizdzę wciąż — ona już nie oddycha, ja głowę tracę... i ludzie mnie znaleźli z dzieckiem na ręku ciągle po pokoju chodzącą. Podobno nawet jeszcze gwizdałam !... Co pan chcesz!... Dostałam bzika. Niemiałam nic mego... ją jedną!... Oprzytomniałam później i czasem, kiedy sama jestem, mówię sobie: zagwiżdaj, Papuziu!... gwizdzę!... i płaczę!

Rozpuszczoną masą włosów otarła strumień łez płynący jej z oczów.

— Przepraszam pana, wykrztusiła wśród łkań — ja zaraz przestanę beczyć, to już... taki cholerny narów... ja zaraz będę... wesoła!...

Lecz on — zbliżył się ku niej teraz i wyciągając ręce przyciągnął ją ku sobie. W gościu tym nie było śladu współczucia dla jej cierpienia, był tylko jakiś sybarytyzm dziwny, rozsmakowanie się w gorącości łez i w spazmatycznym skurczu wstrząsającym piersi kobiety.

Melancholiczne zwierzę zbudziło się w nim i brutalnie, bezczelnie domagało się praw swoich.

Sentymentalny samiec wyciągnął trupa rękę i na ranie serca kobiety - matki położył.

Obwisła warga zadrgała mu rozkosznie. Oczy pokryła biała, wilgotna mgła.

I od tej chwili żyli razem, we dwoje — schowani w kącie oddalonej ulicy, w mie-

szkaniu, które on urządził z banalnym komfortem biurowego parweniusza. Wszystko naokoło nich było martwe, trupie, wystygłe.

Dziewczyna z początku rwała się jeszcze do życia, walcząc z resztkami temperamentu.

Wprędce jednak ciało zniszczone latami przymusowej rozpusty — zapragnęło grobowego spoczynku.

Za ciałem poszedł duch.

Minuśka zamierała wśród strzyżonej tkaniny mebli i zakurzonych parasoli, włócząc po otomanie swe bezsilne członki anemicznej kobiety.

On — tryumfował, kąpiąc się teraz w tej cmentarnej atmosferze, którą włóczył w fałdach swej kurtki, ciągle milczący, ponury, ziejący niczem nieusprawiedliwioną rozpaczą, zwłaszcza w chwilach wiosennego rozkwitu.

Czasem tylko dziewczyna wyrzuciła jeszcze z siebie „psia krew” — zebrane z ust towarzyszek łatwej zabawy i cięż -

kiej pracy, i słowo to jak uderzenie szpicruty przecinało powietrze.

Lecz on, nie ruszając się z miejsca, przez zaciśnięte usta szeptał:

— Cicho!...

Kobieta milkła i siedzieli tak oboje w milczeniu, w rozpaczliwej melancholii dwojga zamierających organizmów, skutyk ze sobą — ona, rozpamiętywając swą przeszłość, on — pławiąc się w lubieżności smutku i o trumny potrącającego wspomnienia.

I gdy jasno błękitne światło od okien płynące z szarego tonu zmieniało się w złoto-rudy blask wycinający kontury mebli a coraz dalej ku głębi pokoju rozpływało się w czarniawo-szafirowym cieniu — on pochylał się nad martwiejącą w trupiej pozie dziewczyną.

— Zagwizdaj, Papuzia!...

Ona gwizdała, z początku niechętnie, potem coraz więcej zatapiając się w cichej nutce melodyi.

Trup dziecka wyschły, zżółkły, biedny — zjawiał się przed nią w przepotędze

swego nieprawego pochodzenia, wspaniały bezmiennością swoją, doskonały w zrodzeniu z miłosnego tchnienia. Trup ten zimniał, sztywniał — tuż przy jej piersi — przy jej łonie, które go stworzyło i gniótł jej ciało straszonym ciężarem nieżyjącego potwora.

I wtedy cała fala łez lała się z czarnych oczów kobiety i po przechylonej w tył głowie ku masie pokręconej grzywy spływała.

Tymczasem mężczyzna trupie swe palce w kaskadzie tych łez maczał i leniwym głosem sentymentalnie powtarzał:

— Zagwizdaj, Papuziu!...

[ ]

XI.

BYDLE.

Zaturkotało i na drodze od miasta wiodącej podniósł się tuman kurzu. Niewielki koczyk zielony, ciągniony przez czwórkę w poręcz sprzężonych koni, stuknął silnie o belkę, położoną na poprzek, tuż przed chatą Hieronima i ku bramie dworskiej podązał.

Na koźle, w szaraczkowy surdut ubrany stangret i lokaj w długim czarnym anglezie, zetknęli się gwałtownie ramionami, zakleli i do równowagi wrócili.

Z koczyka tymczasem, na obie strony, jak drogowskazy, sterczały dwa olbrzymie cybuchy, ciemne, z fajkami wypchanymi silnie tytoniem.

Pan hrabia i pani hrabina palili  
w milczeniu, rzucając w jasność liliową  
wołyńskiej przestrzeni całe kłęby białego  
dymu.

Pudełko z tytoniem stało na przednim  
siedzeniu.

Pani hrabina miała żółty płaszczyk  
i twarz lśniąca od nadużycia gliceryny.

Pan hrabia miał prześliczne turkusowe  
oczy, wprawione w poźółkłą maskę zgry-  
zionego wątrobiarza.

Koczyk stanął przed bramą.

Lokaj zlął powoli i za wrota pocią-  
gnął, pasące się obok stado gęsi uciekło  
z przerażającym wrzaskiem.

Koczyk próg bramy przestąpił, wstrzą-  
sając woźnicą, pudłem, panią hrabiną, pa-  
nem hrabią i obydwoma cybuchami.

Gęsi, ciągle drąc się, leciały wśród  
masy traw, łopocząc skrzydłami, i hen  
aż pod tajemnicze gąszcze ożyn się do-  
stawszy, przypadły do ziemi, zdyszane  
i srodze zmęczone. Lecz już na ganku  
dworu powstał ruch i w kredensie Janek  
czytający „Resurrecturi” w „Tygodnika

Ilustrowanym”, otarł nos w znaczący  
sposób.

— Czort dyabła niesie! — wyrzekł półgłosem.

Z nad tapczana surdut zdjął, poślinił welwetowy kołnierz, na którym łupież silnie przylgnął, surdut nadział i powłócząc nogami na ganek podążył.

Już pani sędzina pędziła od strony garderoby, pokrzykując cienko:

— Z Hati! hrabstwo z Hati!

I szybko odwróciła się do Janka, który melancholijnie z pod spadającej hyry na swą panią spoglądał.

— A ty mi się nie upij, bo jak Boga kocham, tak już z tobą koniec zrobię! Słyszysz?

Janek brwi zmarszczył i za poły surduta obydwoma rękami się schwycił.

— Słyszę, jaśnie pani! — odparł.

Koczyk z głuchym szumem już przed ganek zajechał.

Sędzina wpadła we drzwi prowadzące do głębi dworku, a Janek ze specjalnym giestem ze stopni ganku scho-

dząc, drzwi wchodowe hrabstwu ukazywał.

— Państwo w domu? — zapytał hrabia.

— Jaśnie państwo są! — odpowiedział

lokaj.

Cybuchy i tytoń na rękach lokaja wędrowały już w głąb domu.

— A uważaj, kanalio, abyś cybucha nie przetrącił! — dodał w formie uwagi hrabia.

Nie, to było nad jego siły!

Musi pójść do karczmy.

Chodzi, chodzi naokoło stołu, pociąga obrus, karbuje sól w solniczkach, ustawia garnuszczyki ze śmietanką. Na środku piramida z poziomek krwawi się plamą purpury wśród zielonych liści. Po obu stronach na złoconych, porcelanowych koszyczkach rudym tonem znaczą się świeże obwarzanki, cukier miałki piętrzy się piramidką prawie skrzącą w promieniach zachodzącego słońca.

Po przez okno na wpół otwarte płynie cała taka struga ognista, przecięta smukłością topoli, sterczących dokoła dworu.

Jeszcze było z pola nie wraca.

Nie słychać kołatek, ani hukania pastuchów po za wodą, hen po za stawem.

Janek ręce po napoleońsku na pierśsiach założył i stanął koło okna.



Włożył liliowy atlasowy krawat i włosy jasno blond, w których srebrne nici się białą, olejkiem zlał i z czoła odgarnął.

Czeka, aż kucharz kurczęta z przypadłej opodal dworu kuchenki do kredensu przyniesie.

Wtedy samowar syczący w kredensie do jadalni wniesie, na stoliku obok ustawi — otworzy drzwi do salonu i zaanonsuje niskim głosem:

— Podano do stołu!

Tymczasem przecież coś go we wnętrzu ssie jak wąż a ślin w ustach pełno.

Janek wie dobrze, co to znaczy...

Czczo mu; do karczmy go ciągnie.

A jest ona tam po drugiej stronie stawu, ta karczma cała czarna, mimo czerwonej jasności słońca.

Janek drogę tę od lat trzydziestu zna.

Zmienił ją tylko od chwili ożenienia.

Trzeba bowiem było ze dworu do karczmy właśnie koło chaty iść, chaty, którą mu jaśnie pani dała, kiedy Warkę z garderoby wziął i z „werczem” do dworu przyszedł.

Pani chatę i Warkę dała, ale Warka darła się o wódkę z Jankiem i zaraz na

próg chaty wypadła, za poły surduta chwyciła i zawodziła het jak suka, gdy jej szczenię odbierają.

Wiedziała Warka, że jaśnie pani ma tego pijaństwa Jankowego dosyć i lada chwila go z kredensu wygna precz.

Tembardziej, że Janek nie pił całe miesiące i tylko gdy gość się zjawił, wnet do karczmy pędził i za siwuchę chwycił.

A przecież trzydzieści lat już w Horodyszczu przetrwał, służąc wiernie, nieposzlakowanie uczciwy, pełen ary-

stokratycznych przesądów, właściwych wołyńskiemu chłopu, cerując dywany i szlafroki pana sędziego — obijając sofę w buduarze panny sędziarki — obszywając gościnne kołdry na trawie dziedzińca — kolekcjonując „Tygodnik ilustrowany”, bijąc Warkę i najstarszą córkę Paraskę, tyranizując chłopaków kredensowych i leżąc bez pamięci, od czasu do czasu w krzakach berberysu, które bukietem blaszanych liści i delikatnych jagód wznosiły się na środku dziedzińca.

Pani sędzina nazywała go wtedy „by-

dlę”. Była to nazwa mniej wykwińska niż dosadna.

Pani sędzina jednak była córką ekonomy. Ztąd miała dużo poczuć arystokratycznych wrodzonych...

Lokaj — a zwłaszcza pijany lokaj, był dla niej bydłem!

Hrabia mówił na swoją służbę: „kanna”.

Pani sędzina mówiła: „bydlę”.

Pani sędzina nie lubiła chłopów i nie wdawała się z nimi w bliższe stosunki. Tolerowała tylko chłopki, gdy jej przynosiły kury, albo jaja, związane w szmaty.

Pan sędzia ciągnął namiętnie starke rano i wieczorem a czasem i w nocy.

Pani sędzina znajdowała to naturalnym.

Co innego było z pijaństwem Janka!...

Co wolno panu — niewolno bydłociu...

Pani sędzina mówiąc o pijaństwie męża, mówiła „słabość mego męża”.

Pijaństwo Janka było zbrodnią, nie chorobą.

Lokaj nie mógł być chory!

Organizm jego nie mógł żądać alko-

holu.

Janek pijany — był bydłociem.  
Pan sędzia pijany — był... słabym!  
Przekonanie to wpoila pani sędzina  
w Warkę.

Dlatego teraz Janek miał schowane  
w oczerecie czółno i drąg i po przez staw  
się do karczmy Szmula dobijał.

Kiedy bowiem szedł przez wieś —  
a Warka broń Boże „cupała” w ogrodzie,  
za chruściakiem przy burakach, albo  
tytoniu, to porywała się z wrzaskiem aż  
jej medaliki po piersiach dzwoniły.

— A doloć moja, dolo zatracona!...

Krzyczała przez płot przełaząc, rozdzie-  
rając spódnicę, zapaskę, z „dolami” na-  
jeżonemi dokoła twarzy jak faworyty pa-  
na sędziego.

I był to lament tak wielki, że wszyst-  
kie baby, jakie były w chacie, wypadały  
na drogę z koszulami zawiniętymi po  
kolana, z zapaskami ubielonemi mąką,  
ta od łatania świty, ta od przewijania  
dziecka. Wszystkie otaczały Janka  
i Warkę — łamały ręce, kiwały głowa-  
mi — a dokoła podskakiwały dzieci  
w zgrzebnych koszulach, czasem zupeł-  
nie nagie z masą jasnych włosów na

szpiczastych głowach, i kwiczały pro-

sięta zbiegłe ze źle domkniętych chlewików...

Teraz — Janek potrafił już unikać tej gorącej łaźni. Wprost do stawu szedł, w czółno wskakiwał i wodę pruć aż szumiało. Potem do drugiego brzegu, gdy się dobił to już do Szmula było tylko kilkadziesiąt kroków — i łatwo było się dobrać. Wracał jednak wolniej, nawpół przytomny — potrzebując mało do zupełnego upojenia, rozstrojony zupełnie nerwowo — mając dziwną naturę wtłoczoną w smutne ciało dworskiego służalca, z fantazją przepelnioną wizjami powieści i artykułów, których nie rozumiał setnej części, z tęsknotą straszną, wrodzoną wołyńsiakom, z tą tęsknotą, co serce z piersi wyrywa za czemś, czego określić na razie niepodobna, co szum sosen, zapach poziomek, krzyk spłoszonej gęsi, skrzyp wrót nagle budzi i potem jak druga dusza w ciele pokutuje, rwie, szarpie, nęka o zachodzie słońca i życia... Bydlę miało to wszystko w sobie, to wycie rozpaczliwe w pustkę, która się

powiększa z dniem każdym. Jak duch pokutujący, jak trup, któremu nie dano mogiły i domowinki uskapiono — tak błąkał się Janek od karczmy do dworu z „Tygodnikiem” sterczącym brudną bielą druku z obciągniętej kieszeni surduta. Włosy mu posiwiały, twarz o delikatnych rysach nerwowego blondyna nabrzękła, oczy zmalowały” i z jasno błękitnych zrobiły się żółte. Plecy wygięły się w kabłąk, ręce jedne pozostały nerwowe, silne, suche, jakby cała siła woli lokaja skoncentrowała się w tych rękach, w których była potęga jego pracy. Gdy z krzaków berberysu podnosił się po peryodzie pijaństwa — zaciskał silnie pięści, jakby próbując, czy cała wola pozostała w nim jeszcze, czy nie spływa razem z umysłem w ten cień niepochwytny, który go otoczył i do karczmy iść kazał.

I — z pięściami jeszcze zaciśniętymi szedł prosto do kredensu, do swego tapczana, na którym wylegiwał się w czasie jego nieobecności Józiek.

— Won bydlę! — mówił, chwytając chłopca za kołnierz, — „won! pan wrócić!”

Kucharz nie dawał znaku życia i tylko z kuchenki dobywał się wazki pasek dymu, który się aż nad drzewa owocowe wznosił.

Janek na lipę przed oknami patrzył, i przypominał sobie, którego to było roku, gdy piorun w nią uderzył.

Pan sędzia wtedy do Żytomierza na wybory pojechał.

Ale który to był rok, za nic przypomnieć sobie nie może.

Nagle zakołatało na drodze.

Ha! ha! a! a!...

Bydło wraca do obór, pastuchy do chat.

Nie widać ich z okna, tylko duża smuga po za stawem się ściele, biała, jak wielki kłęb nagle powstającej pary.

I razem z tym jękiem chłopców gonących bydło, jakaś nieokreślona tęsknota spada na całą wieś.

Słońce nie świeci jaskrawo.

Żółte i jakby gasnące, zapada coraz

niżej.

Coś się nad ziemią snuje, coś, jakby  
widma z grobów wstające, szepczące ta-  
jemnicę mogił, trupich czaszek rozho-  
wory.

Janek określić tego nie umie, rwie się  
w nim tylko coś i w przepaść dąży.

Obejrzał się jeszcze raz ku kuchni.

Niewidzi nikogo.

Zanim kurczęta podadzą, on przez staw  
przepłynie i powróci.

Wypije tylko jeden kieliszek, jeden tyl-  
ko, aby lepiej służyć do stołu...

Czuje bowiem, że jest cały z waty i na  
nogach się nie utrzyma.

Wyskoczył przez okno, wpadł w grząd-  
kę nasturcyj, zaklął i jak zając po przez  
trawniki pomykać zaczął.

Do stawu dopadł, do oczeretu, w któ-  
rym drzemało płaskie, z trochę lśniącej  
wody na dnie — czółno.

W czółno wskoczył, za drąg porwał,  
splunął w garść i od brzegu się ode-  
pchnął.

W tej chwili ciemny pas, jakby od za-  
łobnego całunu na wodę padł.

Janek w pas ten wpłynął i nawet bia-  
łe smugi, które zwykle czółno po so-



bie zostawia, krepy tej rozjaśnić nie mogły.

Od strony wsi kołatały wciąż drewniane dzwonki i wlokło się jękliwe zawołanie.

Ha!.. a! a!...

Janek w głosy te wsłuchiwał się i czuł, że pod dworskim surdudem, z którego numer „Tygodnika” wystawał, w piersi rwały mu się całe przepaście ech na dźwięk tych chłopskich nut.

Ha!... a! a!...

W tej samej chwili, z kuchenki Józik z półmiskiem kurcząt wypadł i ku dworowi dążył.

Idąc, mimowoli dzieciennym głosikiem powtarzał:

Ha!... a! a!...

Bose zastępy ku sobie się rwały, ręce łączyły w tęsknocie nieokreślonej, co ku nim z pod ziemi płynęła.

Gdy Janek wreszcie z krzaków berberysu powstał i do kredensu się powlókł, zastał tam, oprócz Józika, jakiegoś młokosa ubranego w szary surdut, bez wąsów — i z miną wyćwiczonego złodzieja,

nastawiającego samowar.

Janek do intruza podszedł i ręce wy-  
ciągnął.

— Czego to pan się do samowara  
miesza? — zapytał zaspanym i powolnym  
głosem.

Lecz nowy lokaj zmierzył go od stóp  
do głów.

— Jaśnie pani kazała nastawić samo-  
war! — wyrzekł i znów za stary but  
z cholewą schwyciwszy, koło samowara  
się krzątać zaczął.

Janek odsunął się w kąt i na swym  
tapczanie przysiadł. Powoli jednak ręce  
jego namacały inną derkę, nie jego wła-  
sną. Pochylił się i w ukośnym promie-  
niu, idącym z okna, które lipy zaciemnia-  
ły zupełnie — dostrzegł całą obcą po-  
ściel na swem łóżku. Poduszka była  
z irchy, druga gumowa, wypchana powie-  
trzem, widocznie skradziona, lub otrzy-  
mana w prezencie. Tylko nad tapcza-  
nem rozkładał się jeszcze szmat gobelinu,  
na którym widać było zczerniałe, jak no-  
gi topielca, nogi jakiegoś mitologicznego  
bohatera i plamę kobiecej, purpurowej  
sukni.

Za obrębem gobelinu zatknięty obra-

zek wycięty z „Tygodnika”, kilka palm, fotografia pana sędziego, stara strzelba, profitka z różowych paciorek, służąca za pantofelek do zegarka — wszystko jeszcze było na swoim miejscu, nieruszone i jakby uszanowane.

Janek podniósł się i do okna podszedł.

Tam był zawsze szuwaks i szczotki do butów, ustawione we framudze razem z kałamarzem i gęsiemi piórami, które Janek dla pana sędziego temperował.

Pióra znikły, kałamarz także, pomimo tego, że lat dwadzieścia stały na tem miejscu.

Janka ogarnęło złe przeczucie. Powoli z podełba spojrzął na młokosa, który samowar już z ziemi podniósł i do pokoju podać się gotował.

Janek kilka kroków postąpił.

— Ja zaniosę!

— Nie trza — wyrzekł ten drugi, nogą drzwi otwierając.

Janek pozostał na środku kredensu, w którym zaczynał zapadać powoli zmrok, przez abażur lipowych gałęzi koło okien

rozpostartych.

Nagle, w bocznych drzwiach ukazała się pani sędzina.

Miała usta silnie zaciśnięte i oczy zmrużone.

— Niech Janek zabiera swoje rzeczy i idzie precz, zaraz... od dzisiaj!... Jaśnie pan za dwa dni wróci, to się z Jankiem obliczy! Trzeba się mi dzisiaj wynosić, mam już dosyć pijaków w kredensie!

Ręką tłustą i żółtą drzwi ukazywała. Ręka ta w ciemności kredensu majaczyła przed Jankiem, jak plama jasna, obwiedziona dokoła błękitną obwódką.

— Jaśnie pani!... — wybełkotał wreszcie — ja... ostatni raz!...

— Ta, ta, ta!... przerwała sędzina — już mam dosyć trzydzieści lat takich

skandali!... Janek niech się wynosi, bo wyrzucić każę!

Janek się wyprostował.

— Jaśnie pani wyrzucać niema potrzeby. Ja sam pójdę, choć trzydzieści lat wierniem przy służbie warowałem!

Sędzina parsknęła śmiechem.

— Bo to psi wasz obowiązek! Za pensję i ordynaryę jeszcze, każdy wierny

będzie.

Janek drżał cały, włosy mu na czoło spadły. Cofnął się w cień kredensu i mil-

czał chwilę, wreszcie, jakby chcąc upokorzyć sędzinę:

— W konduktory pójdę!... — wyrzekł zdławionym głosem.

Sędzina ku drzwiom zmierzała.

— Z Panem Bogiem! Właśnie tam na pijaków czekają! A wynosić mi się dziś jeszcze!... won!... won!...

Wyszła.

Janek pozostał sam.

Obejrzał się dokoła i nagle uczuł w sercu ból straszny.

Trzydzieści lat przeżył w tych ciemnych ścianach kredensu, w którym zapach razowego chleba miesza się z wonią stygnących na półmiskach tłuszczów.

W ciemnicy tej przeszedł życie całe, waląc się w nocy na tapczan, jak kłoda, smutny, wiecznie znękany, zniechęcony do życia, a mimo to bałwochwalczo do tych miejsc przywiązany.

Chata, w której mieszkał jego żona, nie była mu domem, chodził tam w gościnę, w chwilach wolnych, nie pamiętając

i nie wiedząc nawet, jakie imiona miały jego dzieci.

Od grzebania się w ziemi i mieszkania w izbie z uklepaną z gliny podłogą odwykł i tylko w kredensie żyć jut mógł, w tym kredensie, pomiędzy szafą z ubraniami pana sędziego i kantorkiem, w którym chował roczniki „Tygodnika ilustrowanego”. Dziś mu każą iść precz, nie pamiętając, że on, Janek, ma religię ścian, wspomnień i sprzętów, że on się tu przekołatał całe lata, całe noce, całe jesienne wieczory obrębiając ścierki, wsłuchany w tony fortepianu, na którym uczyła się panna sędzianka i który dzwonił jak szklanna kołatka z po za stawu w smudze białej płynąca...

Kazano mu iść „won” a przecież tam, przez ścianę, jest szafa, w której jest jego porcelana, jego srebro, jego szkło.

Trzydzieści lat myje, ociera, czyści tę całą zastawę... to więc wszystko mu prosto w duszę wrosło i on tego z siebie wyrwać nie może! nie może!...

A piece? Te wielkie piece wszystkie schodzące się w jednej wielkiej izbie, w którą szedł wczesnym zimowym rankiem, za Józikiem, niosącym całe naręcze polan grubych, jak ludzkie nogi. On, Janek, niósł świecę. Stearyna kapiała mu po rękach, a on przez trzydzieści lat nie oprawił nigdy świecy w lichtarz. Miał takich przyzwyczajęń mnóstwo, teraz wszystkie jak mury otoczyły go i za gardło chwytaly.

Nawet ta pani sędzina, która wygnała go tak bezlitośnie, nawet ten pan sędzia, który nieraz uderzył go w kark i „wysobaczył” po swojemu, nawet ta panna sędzianka, zatykająca nos, gdy przechodziła przez kredens, wszyscy oni byli mu teraz drodzy w chwili utraty.

Kochał ich przywiązaniem psa, który niedość, że dobytku pana strzeże, jeszcze pana tego kocha i po rękach liże.

Powiedział pani — „Pójdę w konduktory”, ale teraz, w tej chwili, myśleć o tem nie mógł. Dławił się własną żalnością.

Nerwy tego chłopca zalkoholizowanego tańczyły piekielną sarabandę bezsilnej

rozpaczy.

Gdyby mógł się rozplakać, byłoby mu lżej. Lecz nie, łzy go piekły, były w nim całym, rwały mu serce, paliły powieki, płynąć jednak nie chciały.

Bydlę... cierpiało.

Po chwili przecież Janek ocknął się, zbliżył się do tapczanu i szalonym ruchem zdarł ze ściany gobelin. Profitka, fotografie upadły na ziemię. On schylił się, podniósł je, wetknął za pazuchę, potem — podszedł do kantorka, wyjął całą masę gazet i w gobelin zawinął.

Czynił to machinalnie, gryząc wargi.

Zwrócił się po ubranie, które wisiało na gwoździach wbitych w ścianę, lecz machnął ręką i tylko tłomok z gazetami pod pachę wziął, czapkę na głowę nasadził.

Wreszcie z kredensu wyszedł.

Przeszedł pod lipami i wydostał się na trawniki. Słońce znów zachodziło całe krwawe, na wiatr się znacząc. Staw w ciszy i obramowaniu oczeretu drzemał a nad jego brzegiem, na pagórku, brzoza, dziwaczna i pokręcona, długie gałęzie



w wodzie rozpaczliwie moczyła.  
Janek machinalnie do stawu się skierował i, czólno odszukawszy, gobelin z książkami na dno czółna cisnął. Poczem sam w łódź wlaź i drąg schwycił. Zdało mu się, że idzie gdzieś w daleką drogę a ten drugi brzeg nigdy nie trąci o drzewo czółna, drżącemi rękami drąg pchnął i na staw wypłynął...  
Cisza była dokoła prawie kościelna.  
Janek szmer wody tylko słyszał, która się skarżyła cicho na ciężar, jaki jej nieść kazano.  
I nagle, z daleka, delikatny, jakby krepą przysłonięty, dał się słyszeć głos kołatek i przeciągły jęk pastuchów.  
Serce Janka, które było w tej chwili jedną raną, targnęło się jeszcze silniej i codzienna melancholia, tłocząca go

ku ziemi, wżarła się w boleść rozstania z tem, co już za swoje przywykł uważać, co się z nim zrosło, z czem umrzeć miał...  
Przed nim bielił się dwór, nieduży, silny, dobrze rozłożony na tle masy drzew. Z boku widać było ganeczek i wejście do kredensu. Do kredensu!...  
I nagle porwał Janka szął.

Schwycił gobelin i cisnął go w wodę.  
— Szczeźnij! — zasyczał przez zęby.  
Gobelin zakolysał się na wodzie i pozostał tak rozciągnięty, prezentując w świetle krwawego słońca wypłowiałą barwę delikatnych linii.

Janek drągiem gobelin w wodę zanurzać zaczął.

- Szczeźnij!... — syczał.

Był cały teraz czerwony, z sinemi pręgami żył po obu stronach skroni. Z serca krew mu płynęła na mózg zatruty siwuchą. Pijany był w tej chwili, pijany rozpaczą.

Za nim wciąż kołatki grały.

Teraz, pochylił się, porwał cały stos „Tygodnika” i w wodę wrzucił. Woda prysnęła białą masą, łódka zachybotła, Janek nogą w ścianę czołna kopnął.

— Na pohybel ci! — zaklął.

Nie dokończył, bo czołno się gwałtownie przechyliło a on z dziką radością, po raz pierwszy w życiu roześmiany serdecznym, gorącym śmiechem, w wodę skoczył, waląc się głową naprzód, tak jak zwyczajnie na swój tapczan w kredensie się walił.

Teraz kołatki tryumfalnie wypłynęły

nad brzeg stawu i dzwoniły ciągle mistyczną litanie w obłoku białym, z ziemi się wznoszącym.

Na stawie była cisza zupełna i kołysało się tylko próżne czółno, które powoli wróciło do swej równowagi...

[ ]

XII.

GOŁĄBKI.

Gwarno było w „gołębniku” podczas tego fixu.

Rozgruchotały się „gołąbki”, rozchichotały, aż wstążki fruwały naokoło ramion i szyi, jak prawdziwe skrzydła gołębie.

I wszystkie, jakby się umówiły — ubrały się biało, popielato, perłowo lub blade lila...

Cała gama niepewnych barw, jak plama jasna lekko pocieniowana, rozkładała się tryumfalnie pod zielonemi liśćmi w kącie zbitych oleandrów.

Pani domu, księżna... ukraińska — cztery kąty swego salonu ozdobiła oleandrami.

Było to niekosztowne i dawało złudzenie szyku.

Książę wzruszył ramionami, pociągnął zakrótką kamizelkę i poszedł do drzwi „robić honory”, chórem wchodzącym konceps-praktykantom z Namiestnictwa.

„Księżstwo” przybyli niedawno z dalekiej podróży i przywieźli z sobą spory zapas konfitur i czternaścioro dzieci, z których dwie dorosłe panny miały zamiar wydać się za mąż.

Arystokracja lwowska, złożona z galicyjskich hrabiów i baronów, podejrzliwie patrzyła na ten tabor książęcy, rozbijający swe namioty w szerokich salonach żydowskiej kamienicy; powoli wszakże przekonano się do sumiastych wąsów księcia, nadzwyczajnych mantyl księżnej, długich warkoczy księżniczek i ich kurhanowego tytułu.

??? bywały liczne, księżna promieniała, księżniczki zdążyły zakochać się w dwóch „golcach”, o szerokich barach i wspaniałych frakach. Książę umierał z nudów, stojąc pod żyrandolem, z które-

go kapiała stearyna. Ciągnął kamizelkę i wzdychał do śniegu, który się białemi

blamami, jak królewska szata włókł daleko po wiejskich rozłogach.

Dnia tego, fix miał niezwykle ożywienie.

Gołębnik aż dygotał od panieńskiego chichotu.

Gołębnikiem nazywał się kąt pod piecem, pomiędzy pianinem, a czwartym oknem okrytem czerwonymi jak krew adamaszkowymi firankami.

W kącie tym gromadziły się zwykle panienki i panny.

W żółto-białym blasku lamp i świec, ta powódź jasnych sukien i biało-różowych plastrów twarzy, znaczyła się z jakąś impertynecka chęcią rzucania się w oczy każdemu, wchodzącemu do salonu.

Były to trzy Minuśki, pięć Muszek, dwie Lole, jedna Gilda, jedna Lili, jedna Nini, dwie czy trzy Niusie.

Całe Sacré Coeur lwowskie nagle wypuszczone z po za krat klasztoru i wrzu-

cone w gorącą atmosferę niewyraźnego salonu książęcego.

„Gołąbki”, tak słusznie nazwane od gołębiej niewinności okrągłych twarzączek i białych fałd sukien, zdawały się być wykute z jednej sztuki marmuru, dłutem jednego rzeźbiarza.

Wszystkie miały jedne i te same długie, płaskie z przodu i silnie w pasie ściśnięte figury.

Wszystkie miały zanik bioder i piersi. Ręce obciśnięte w długie duńskie rękawiczki, przytrzymane po za łokciami podwiązkami z wstążek, podnosiły automatycznie do czoła, nagarniając grzywkę, pociągając rzęsy, aż do brwi uparcie sięgające.

Każda z nich miała na wpół wycięty stanik i tuż pod szyją dwie głębokie „solniczki”, znaczące się ciemnowymi plamami, na żółtem tle skóry.

Jedna Nini, córka wdowy po generale, panna bez posagu, ale za to zuchwale piękna i wspaniale zbudowana, prezentowała ze spokojem niezmaconym, przepy-

szny biust pełny, okrągły, z niewielką fałdą tuż po pachami, dyskretnie wysuwającą się z obramowania blado-liliowego tiulu.

— C'est convenu! n'est ce pas? — pytały „gołąbki”, jedna drugą.

— C'est convenu! — odpowiadała zapytana.

Panienki te mówiły przeważnie po francuzku akcentem przerażającym, niemniej przeto dziwnie aroganckim. Gdy się roz-

szczebiały, tworzyła się silna wrzawa, a chichot ich miał wszystko, oprócz inteligencji. Każda z nich jednak była tres bien, i miała się za partyę. Każda wyobrażała sobie, że czyni raważę pomiędzy czarną kohortą mężczyzn, którzy w swych frakach, jak stado nagle spłoszonych karawaniarzy, stali w przeciwnym kącie salonu, lub włączyli się po przyległych pokojach, obmawiając panny lub stambułki księcia pana, za olbrzymie podkowy drewniane, zamiast szpicrut i rajtpejczów zatknięte.

„Gołąbki” jednak były niespokojne. Spoglądały ciągle ku drzwiom wchodowym, jakby oczekując na wejście.

— Może nieprzyjdą?

— Przyjdą, przyjdą — uspokajały księżniczki.

— Powoli, salon napelniał się i już wysuwały się niewielkie grupy do przyległego małego pokoju, nazwanego saloniem księżnej: — Atmosfera stawała się ciężką i przesyconą całą masą różnorodnych perfum. Był to jakby bukiet najwonnejszych kwiatów, nagle rozdeptany i rozgnieciony w gorącej masie powietrza, leniwie ciężącego ku ziemi. Szczególniej z sukien starych kobiet płynęły całe smu-

gi delikatnych zapachów, upartych jak wspomnienie, które zdawały się być wplątane pomiędzy oczka sinawych koronek.— Z gołębnika biła delikatna woń muguet'u i świeżego, dziewczęcego ciała. Była to jeszcze niezdecydowana nuta, coś błędzącego w przestrzeni nakształt płatków lipowego kwiatu. Płatek lipy na żelazo pada

i powiewny a biały — rdzy plamę na sztabie wygrzyza...

Nagle u drzwi wchodowych zrobił się szmerek leciuchny i gospodyni domu, porwawszy się z fotela, posunęła naprzód.

Książę podciągnął znów kamizelkę i przekręcił na bakier siwe, długie wąsy.

Gołąbki zatrzepotały, zaszczebiotały radośnie : Les voila!... les voila!...

Odedrzwi bramowanych czerwienią portyer, ku środkowi salonu w jasność płonącego żyrandola, szła grupa ludzi z trzech istot, złożona.

Przodem sunęła kobieta lat średnich, sur le retour, drobna, chuda, nadwiędnięta, trzymała się pochyło i ręce miała jakby wsparte na brykli silnie ściśniętego gorsetu. Za nią włókł się tren jasno zielonej sukni, obrysowanej na dole wałkiem ciemno-miedzianego aksamitu. Olbrzymie stylowe rękawy, bufiaste, aksamitne wzno-



siły się po obu stronach głowy, małej,  
brzydkiej, nieforemnej, nastroszonej rzad-  
ką kępą, silnie przyczernionych włosów.  
Włosy te ściągnięte mocno na skroniach,

rwały ku tyłowi głowy skórę skroni i pod-  
nosiły w ten sposób łuk brwi i wykrój do-  
łów ocznych na wzór japońskiej czaszki.  
Suknia głęboko wycięta, zapadała na pier-  
siach smutnym całunem nicości. Szyję po-  
krywała szeroka aksamitka miedzianego  
koloru, na której rozkładały się cztery  
rzędy cudnych pereł, prawie różowawych  
w kontraście skóry żółtej, siatką drob-  
nych zmarszczek pokrytej.

Kobieta szła wolno, jak istota anemicz-  
na, z pochyloną głową skończoną neura-  
steniczki. Oczy ciemno-szafirowe, spło-  
wiałe, dobrze podkreślone tuszem, utkwiała  
w idącą ku niej księżnę i wyciągnęła rękę  
chudą, drewnianą, obciągniętą lapisową  
rękawiczką.

Po za nią i za obramowaniem trenu,  
szło dwóch mężczyzn, niemal równym,  
sztywnym krokiem, jak dwóch na sznu-  
reczkach prowadzonych automatów. Jeden  
z nich — mąż, wysoki, prawie olbrzym,  
o szerokich barach i olbrzymich stopach,  
baron Mak von Maken, dźwigał na sobie  
mundur, cały błękitny, sznurami opleciony.

Siwy, hałaśliwy z twarzą purpurową  
wiecznie grożącą kongestją, z szyją wy-  
suwającą się różowym wałkiem dokoła koł-  
nierza munduru, szedł po za pochyloną  
i jakby przełamaną postacią żony, chrzą-  
kając i hałasując, jak w koszarach. Książę  
z uwielbieniem patrzył na tę postać c. k.  
Zagłoby, i z wyteżeniem ścieżki sznurów  
na plecach Mak von Makena śledził. Lecz  
już druga postać, mężczyzna obok gene-  
rała idący, rzucał długi jezuicki cień czar-  
nego fraka, na jasną plamę mundura. Ten  
drugi szedł cicho, choć kroki jego stoso-  
wały się do szerokości kroków Mak von  
Makena. Był to wysoki, bardzo chudy  
mężczyzna, na którym frak wisiał jak na  
wieszadle a kamizelka, jakkolwiek sta-  
rannie ściągnięta, ukazywała jeszcze pust-  
kę pod klatką piersiową. Trzymał się po-  
chyło, jak idąca przed nim kobieta, wy-  
ciągał spiczastą brodę silnie ogoloną i wy-  
tartą pudrem. Włosy siwe, przyklepane,  
otulały długą głowę angielskiego wyści-  
gowca, oczy blado-błękitne, zmrużone, to-  
nęły w setkach zmarszczek, któremi twarz

była pokrajana. Małe ciemnowe faworyty tworzyły ramę, z której wystawał nos silnie garbaty, duży, opuszczony na opadłe w podkowę wargi.

Towarzystwo zebrane w salonie powitało „tych troje”, wesołym uśmiechem. Od lat piętnastu zaadoptowano milczącą ugoda ten ménage Maken-Helding. Z początku, trochę szeptano po kątach, powoli, utarło się przecież; Makenowa z taką pokorną nieśmiałością zdawała się prosić o przebaczenie, Helding był tak nieznaczącym i już wysortowanym z liczby epuzerów, Mac von Maken tak wspinały w swej bucie i dobrym humorze dobrze odżywianego generała, że szepty powoli ustały i z pewnem rozrzewnieniem zaczęto śledzić przebieg tego romansu. Cette pauvre baronne mogła rzeczywiście pragnąć więcej subtelności i delikatności w pozyciu, Mak von Maken, był un homme charmant, ale chwilami trywialność jego miała skrzyp drzwi stajenych a dowcipy — zapach koszarowej zupy. Makenowa, była une mignonne, deli-

katna, chuda i pełna niezwykłych aspiracyj, było to małe bóstwo, które potrzebowało być adorowane cicho i dyskretnie.

Helding z delikatnością starego kawalera, celibatora jadającego w domu i mającego pokój sypialny blado-błękitny, w którym nie było ani jednego rejtpejczy, nadawał się szczególnie do roli takiego „uwielbiana”. Że się później podobno zplatonizmu wyrodził inny, mniej platoniczny stosunek, ha! to już rzecz Makenowej i Heldinga. Enfin, apres tout, nie można żądać od ludzi nadzwyczajności i wymagać, aby byli aniołami. Mak Maken zdawał się nie dostrzegać nic i akceptował Heldinga jako przyjaciela domu. Skoro sam mąż przyjmował „uwielbiana” — i niejako sankcjonował go przed światem, mówiąc mu „mon ami”, to nie było rolą „towarzystwa” mieszać się w podobne rzeczy i czynić tej biednej Makenowej jakąkolwiek przykrość. I powoli ta trójka wsuwała się wszędzie, z początku nieśmiało, jakby macając grunt, śledząc wrażenie na twarzach, słuchając dźwięku głosów, witają-

cych ją na progu salonów. Lecz wkrótce, uprzejmością ośmielone, ménage Maken-Helding nabrało pewności siebie i wchodziło spokojnie, coraz więcej zabierając miejsca, rozdając uśmiechy, w których znajdowano nawet quelque chose de piquant. Deprawacya ta jawna, cudzołoż-

two to wleczone w trenie jedwabnej sukni, w listkach gardenij Heldinga, w lazurowych barwach munduru Mak-Makena, drażniła nerwy i zmysły otaczających. W jasności świec kandelabrowych, posyłało sobie wzajemne uśmiechy i spostrzeżenia. Makenowa miała chwilami rumieńce nowozaślubionej, pod deszczem niedyskretnych spojrzeń, Helding lekkie uśmiechy zwycięzcy, Mak-Maken — dobroduszną pobłażliwość siwowłosego ojca oprowadzającego zięcia i córkę, pełnych zbyt jawnej miłości. I powoli, trójka Maken-Helding stała się ogniskiem, do którego zwracano się coraz chętniej po miłosne wrażenia, śledząc każde bardziej burzliwe widzenie się baronowej i Heldinga, każdą „scenę”, każde przeproszenie się w cieniu dyskretnej alkowy.

I z latami razem, weszło zupełne zachwalstwo w ujawniania tej miłości baronowej i Heldinga. Teraz, Makenowa wchodziła pewna siebie, tryumfalna — czując, że potęgą swej wielkiej miłości zwalczyła tę hydrę, pełną jadu, którą „światem” zowią. Czowała się w pełni urody i miłość do dawała jej blasku. Miała w gruncie serca wiele szlachetności i nie kłamała teraz, zwracając się otwarcie i śmiało do

Heldinga. Nie przyznawała się jednak głośno, bo to było niepodobnem, ale w każdym jej spojrzeniu, ruchu, słowie — przebijała się bezgraniczna miłość i przywiązanie.

Helding mimowoli zajął stanowisko męża kochanego i czuł się dobrze w tej roli.

Nie zrozumiał jednak, jak w straszną grę grała Makenowa, narzucając tak światu swego kochanka. Nie czuł, ile istotnej potęgi miłości musiała mieć w sobie, aby tak dać „przełknąć” światu ten stosunek, kazać mu go przyjąć i niejako usankcjonować.

Nie zastanawiał się nad tem, szedł zadowolony z tej roli jaką grał, podbudzony

w swej próżności, człowiek któremu żona generała, kobieta stanowiąca ozdobę salonów lwowskich, na szyję się rzuca.

W kasynie mówił o Makenowej z rozrzwieniem dobrego męża, jakkolwiek nigdy po za kadry gentelmańskiej przyzwoitości nie wyszedł. Inni „koniarze” nie blagowali nawet, poważni i pełni szacunku dla tej cudzołoinnej żony.

Powoli wszakże ta faza tryumfu zmieniła się w cichy i spokojny stan zaadoptowanego przez świat związku. Makenowa? Helding? — ależ to stare małżeństwo! Nie pojmowano jednego bez drugiego i tylko

przy wejściu jeszcze witano ich uprzejmym uśmiechem. Później ginęli w tłumie. Inne pary potworzyły się, połączyły i promieniowały miłością i szczęściem wśród pragnących wrażeń tłumów.

Makenowa starzała się i brzydła powoli. Jej maska japońskiej laleczki z latami ciemniała i osuwała się w głębokie bruzdy. Holding chylił się ku ziemi, oczy mu gasły powoli, tracąc barwę i płowiejąc w gorącu miłosnej ekstazy. Czuli, że byli

złączeni na zawsze, do śmierci i mieli w sobie spokój dobrze zawarowanego kon-

-

traktem małżeństwa. Skoro znaleźli się w salonie, pod rzęsystem światłem kandelabrow, szukali wygodnego miejsca, gdzie siadali we dwoje, zamieniając od czasu do czasu jakąś uwagę półgłosem. On trzymał jej wachlarz spokojnie, rozsuwając sennym ruchem koronki, lub gładząc delikatnie marabuty. Nikt już nie zwracał na nich uwagi, chyba ktoś świeżo przybyły i nieobznajmiony z istotnym stanem rzeczy. Często brano ich za małżeństwo wzorowe, przywiązane do siebie równem, nienerwowem uczuciem. Maken hałasował w fumoirach, nie psując jasnym swym

mundurem i swą siwizną ciemnych i mistycznych sylwetek tych dwojga, którzy siedzieli prawie nieruchomo obok siebie z oczami wlepionymi w przestrzeń, jak widzowie na przedstawieniu znanej już dobrze sztuki. Oboje oni stanowili jedną całość. Jakiś krąg niewidzialny, a mimo to istniejący, otaczał ich i bramował, odsuwając od reszty towarzystwa. Było to

zapewne ich kilkunastoletnie uczucie, które z burzy miłosnej przeszło w mocne i zda się nierozzerwalne przywiązanie. Kobieta szczególniej miała w swej zestarzałej postaci upór miłosny kobiety tryumfującej nad zmiennością mężką. Mężczyzna był już obojętny, trochę zawsze zalekniony i jakby uśpiony w tej stałości, w którą się sam spowinał przed tyloma laty!

Ale „gołąbki” były innego zdania:

Odebrać Makenowej Heldinga?

— Co?... jak myślicie!

Projekt ten powstał w głowie jasno włoskiej Liii. Minuśki, Nuśki i Muszki zaadoptowały go w jednej chwili.

— Tak! tak!... trzeba to zrobić. To

ożywi fix i zabawi wszystkich dokoła.

Trzeba Heldinga zaakaparować i patrzeć, jaką Makenowa będzie miała minę.



— Przecież go reklamować nie będzie przez konwenanse.

Rauty bywały nudne. Mężczyźni młodzi nie umieli poprowadzić porządnie rozmowy. Panienki nudziły się w swym gołębniku. Oglądały się za rozrywką.

Błękitne oczy Liii padły nagle na dwie mistyczne sylwetki, siedzące nieruchomo obok siebie. Panienska skrzywiła się nagle. Stanowczo ta para działa jej na nerwy. Już trzeci karnawał przyjeżdża ze wsi do Lwowa i trzeci karnawał widzi tych dwoje „starych”, siedzących jedno obok drugiego w wierności chińskich bałwanów. I pochyliwszy się ku swym towarzyszkom, podsuwa im projekt flirtu z Heldingiem, tym samym tonem, jakim w Sacré-Coeur podsuwała myśl przeciągania palcem po wywoskowanym brzegach pulpitu.

Znudzone jednostajnością rautów, panienki przyjmują projekt z entuzjazmem, obierają dzień i miejsce i dziś zeszły się wszystkie u księżnej, z zamiarem wprowadzenia swych zamysłów w czyn, z okrutną energią istot, które nie wiedzą nawet, czy serce boleć może naprawdę i czy są łzy, które palą.

Kampanię rozpoczyna księżniczka,

młodsza, szatynka, o twarzy schorowanego anioła i długich warkoczach ukrain-

skiej dziewczki. Siada do fortepianu i rozkłada zeszyt nocturnów Chopina z najnie-  
winniejszą pod słońcem minką.

Chwilę ogląda się po salonie, jakby szukając kogoś.

— Panie Helding!... proszę mi kartki przewracać!... — prosi wreszcie z czarownym uśmiechem.

Helding otwiera szeroko spłowiałe źrenice.

— Pan taki muzykalny... — dodaje panna.

Stary kawaler wstaje z pośpiechem, pełen kurtuazyi i śpieszy do fortepianu.

„Gołąbki”, śledzące tę scenę z niepokojem, oddychają swobodniej. Helding jest tuż, obok nich, na progu „gołębnika”. Wciągnąć go łatwo potrafią.

Wciągną... i nie puszczą...

Cicho i spokojnie płynie jeden z nocturnów Chopina.

Helding przewraca kartki trochę za niepokojony, zdenerwowany tą „rolą”, jaką odegrywa obok siedzącej przy fortepianie dziewczyny. Zeszedł już do

GOŁĄBKI

rzędu „wizów”, przyzwyczajony, że to inni defilowali przed nim, podczas gdy on spokojnie siedział obok Makenowej, bawiąc się jej wachlarzem, długie, suche palce mężczyzny z pośpiechem przewracają kartki, klekocząc jak kastaniety. Księżniczka za każdą przegraną stronicą spogląda na Hedinga i uśmiecha się łagodnie, Heding mimowoli dostrzega koło ust dziewczyny dwa ładne dołki.. Wreszcie ostatni akord przecina powietrze. Heding pragnie wrócić na swe miejsce, lecz „gołąbki” otaczają dokoła księżniczkę i dziękując jej gorąco, posuwają go mimowoli w stronę „gołębnika”. Liii mówi coś do niego, śmieje się, szcziebiocze; z drugiej strony Nini prezentuje swój przepyszny profil greckiej bogini. Śmiech, chichot, srebro głosu, woń konwalij i młodego ciała, jakiś szum jakby skrzydeł gołębic — i Heding znajduje się nagle w gołębniku, uwięziony ładnymi giestami drobnych rączek, giętkich figurek i młodych twarzączek.

Zmieszany, prawie pociągnięty, siada na taburecie i wszystkie panienki z sze-

lestem opadają nagle ku ziemi. Całe stadko blado liliowe, różowe, białe, popielate przypadło do purpury dywanu i zaczajone, uśmiechnięte, wyciąga ożywione nagle dziobki.

Holding doznaje ekstazy, olśnienia, wysadzony z siodła tą brutalną, a przecież na pozór delikatną taktyką panięńską.

On, mężczyzna, siwiejący i zdeprawowany, czuje się przerażony, wyrwany ze snu, niepewny i jakby poszarpany nagle na strzępy.

Pragnie się wydostać, czyni nieśmiałe usiłowanie, wyciąga kilkakrotnie szyję, ma oczy topielca zapadającego w bagno szmaragdowe, perłami wody lśniące...

Lecz „gołąbki” zwartym szeregiem otaczają go coraz silniej jak „wodnice” o spłowiałyb barwach, w niepewnym blasku księżycy się kąpiące. Jedwab szatni, iluzya pnie się pajęczą siecią, wstążki warkoczy mają zapach orzechów cokolwiek wilgotnych a młodość i ożywienie

zapala w oczach całe różańce iskierek. Aż szumi od chichotu, aż srebrzy się od białych zębów. Dziewczyny, pochylając się, mają giesta pokornych kotek. Nini wilgotnemi oczami patrzy prosto w twarz Heldinga. Atlas jej ciała mieni się pod-

skórnemi różowemi pręgami mory. Helling, osłupiały, wpatruje się w to bogactwo kształtów i śledzi wstążkę, wiążącą stanik na ramieniu okrągłym i doskonale pięknym.

Nini wzrok ten czuje i prostuje się całą, dumna ze swej dziewiczej krasy, nieskalanej jeszcze dreszczem miłosnej chęci. Podnosi wysoko brodę i ukazuje cudną szyję o delikatnych, przezroczystych tonach ambry...

Helling przymyka na chwilę oczy i osuwa się osłabły, ocierając pot z czoła...

W kącie Makenowa widzi ten cały manewr i dostrzegłszy Hellinga pomiędzy panienkami, doznaje nagłego ści-

śnienia serca. Zwalcza jednak ten ból przelotny i uśmiecha się jakby zadowolona z tego powodzenia kochanka. Ma bowiem przeświadczenie, że Helling z grzeczności usiadł na chwilę w „gołębniku” i wprędce, znudziwszy panienki, powróci do niej, na dawne swe miejsce. Spokojnie więc śledzi ruchy dziewcząt, ot, jak żona uśmiechająca się pobłażliwie na niewinny żart ze strony męża.

Wydarza się to wprawdzie pierwszy

raz, bo zwykle panienki nie zwracały uwagi na Heldinga, jako na „starego kawalera”, niezabawnego i nie liczyły się z nim wcale. Pozostawała mu tylko ona, ona jedna i tak miało już być nazawsze. Tymczasem dziś nagle zmienia się dawny porządek rzeczy...

To śmieszne a jednak te kilka minut zaczynają się jej wydawać wiekiem. Tem bardziej, że Helding nie zdaje się nudzić panienek, ani być znudzonym. Owszem, ożywienie panuje tam wielkie, całe snopy śmiechu wybiegają w przestrzeń salonu. Makenowa doskonale po-

między tym chichotem rozróżnia głos Heldinga. Mówi coś, powoli, ot tak jak on zwykle, ale z trochę więcej energii i ożywienia. Słów Makenowa dosłyszeć nie może, dźwięk głosu dobiega do niej dokładnie.

To dziwne, wydaje się jej, że ten głos, że sam Helding jest od niej bardzo, bardzo daleko i że niknie nagle w całym tumanie ironicznych akordów...

Zagryza usta i doznaje wrażenia zupełnego osamotnienia.

Czuje chłód przejmujący dokoła nóg i wsuwa je szybko pod suknię. Traci pewność siebie i staje się niezgrabną

i jakby związaną. Przeczuwa... śmieszność i kurczy się przed tem ohydmem widmem. Nagle zaczynają jej dolegać rękawy sukni. Są zbyt ciasne w łokciu, a za wolne w ramieniu. Włosy ma zanadto ściągnięte i dreszcze przebiegają ją wzdłuż krzyża. Obronić się nie może, nie potrafi. Śmieszność jest tuż przy niej. Helling nie wraca.

Powoli w salonie zaczynają dostrzegać, co się dzieje w „gołębniku”. Po za wachlarzami, flirtujące pary z uśmiechem pokazują sobie szpiczastą głowę Hellinga

pomiędzy jasnymi i ciemnymi fryzurami dziewczyn. Powoli od gołębnika oczy zaczynają się zwracać ku Makenowej. Wygląda ona tak, jak człowiek, który zgubił swój cień. Mruga szybko oczami i połyka ślinę. Wszyscy znajdują ją trochę śmieszna. Au fond musi być zazdrosna... Z bocznych salonów zaczynają schodzić się goście, i wszyscy z najobojętniejszemi napozór minami śledzą rozłączoną tak nagle i niespodziewanie parę. Tiens! tiens!... Helling pomiędzy panienkami? Flirtuje nie na żarty! A Makenowa? Siedzi i patrzy. Enfin...

Helding zdobył się na trochę własnej woli. Bardzo naturalne! Mężczyzna!... powinien już skończyć tę śmieszoną awanturę. Stary?... e! cóż znowu. To Makenowa Stara — Helding jest niemłody, ale jeszcze nie stary. Zestarzał się przy niej. Ileż to lat już trwa ich romans? To nie ma sensu, to powinno się raz skończyć!...

I nagle, razem z chichotem dziewczyn,  
W tę nudę rautową wpada brutalna chęć  
tłumu szarpania tej miłości adoptowanej,  
przyjętej, tolerowanej. I ci sami, którzy  
niedawno jeszcze z uśmiechem sympatii  
spoglądali na dwie ciemne sylwetki, sie-  
dzące w tym nimbie nieugiętej wierności,  
ci sami teraz odsłaniali tajemnice tego  
stosunku, który przed laty promieniał  
i ogrzewał chłód konwenansem mroź-  
nych salonów. Jakaś głucha niechęć za-  
czynała nurtować dokoła, coś nakształt  
zemsty za ten tryumf uczucia i doskona-  
łej miłości, która lata całe przetrwała  
nienaruszona, skończona, nad wszystko  
silniejsza. Ludzka nędza, niemogąca  
znieść doskonałej harmonii, radowała się  
tym niespodziewanym dysonansem wśród  
zastygłego już w przestrzeni akordu.  
I ciepły, sympatyczny prąd szedł ku „go-  
łębnikowi”, w którym widać już było



tylko plecy dziewcząt, obciążone jedwab-  
biem staników i połyskujące drabinkami  
silnie ściągniętych sznurowadeł. Dziej-  
czyzny pochylone ku Hellingowi, całe roz-

weselone dobrą farsą, jaką baronowej  
robiły, bawiły się serdecznie, wpatrując  
w pomarszczoną twarz kochanka Make-  
nowej. Jego długa szyja, po której prze-  
suwało się owe „jabłko Adamowe”, była  
przedmiotem ich szczególnej obserwacji.  
Tręcały się łokciami, dusząc się ze śmie-  
chu. Ten stary był wspaniały! Usta miał  
w podkowę i rzadkie włosy, od lewego  
ucha nagarnięte ku prawemu. Teraz ko-  
smyk jeden odczepił mu się nagle i po-  
wiewał jak siwiejące pióro tryumfalnie  
ponad uchem. Tego było nadto. Nusia  
Dobrojewska schowała się za plecy Nusi  
Małowiejskiej.

Jeszcze chwila, a byłaby na głos par-  
sknęła śmiechem.

Tymczasem Helling, na wpół pijany  
tym zapachem blondynek, brunetek na-  
około niego zebranych, cały zgorączko-  
wany widokiem biustu Nini, błękitnych  
oczów Liii, i dołków naokoło ust księ-  
żniczki, odmładzał się w tej atmosferze  
młodości i niezwiędniętego ciała, jaką na-  
gle poczuł dokoła siebie.

Starzejąc się razem z Makenową, zapomniał niemal, że są jeszcze na świecie pełne ramiona, długie warkocze i lśniące oczy. Nagle otoczyła go orgia młodości, dziewczęcego wdzięku, dziecinnego prawie szczebiotu. Długi post w zeschniętych ramionach jednej kobiety, wyrobił w nim ascetę pozornego, pod którym drzemał wiecznie błędzący za nowością mężczyzna. Ręce mu drżały, uszy paliły go, całe czerwone na tle żółtej skóry i resztki włosów. Był śmieszny, nędzny, biedny, w obec tego flirtu, który zdawał się przedłużać w nieskończoność. Z początku nieśmiały, powoli rozzuchwalał się i jak zbudzony ze snu kilkunastoletniego królewicz, dobywał ze swej pamięci przestarzałych komplementów i dowcipów. Panienki znajdowały go zajmującym, widział to po ich ożywieniu, wymawiały mu jego odosobnienie się i widoczne unikanie „gołębnika”. Tłumaczył się powagą wieku, lękając się, aby nie zostały tej wzmianki bez zaprzeczenia. Lecz one protestowały gorąco.

— Wiek? cóż to? czy jest starcem, aby się wiekiem przed nimi zastawiał? I coraz miłsze, coraz weselsze, nacierały, otaczały go, rzucając od czasu do czasu przelotne wejrzenie na Makenową...

— Oh! ma chere... co za mina!... spojrzij na Makenową! elle est verte!...

Teraz już Makenową uczuła, że pomiędzy Heldingiem i nią otwiera się przepaść. Całe lata wielkiej i gorącej miłości zapadały w przestrzeń, spychane szelstem gołębich skrzydeł i chichotów dziewczęcych. Makenową instynktem kobiecym odgadywała cały proces obudzenia się Heldinga i zamierała sama z bólu, porównywając swój biust zapadły z przepysznym gorseм Niny, którą widziała dokładnie na tle ciemno czerwonego obicia, tryumfującą i całą różową w blasku płonących kandelabrow. Te głowy dziewczęce, pochylone, bogate w masy ciemnych lub jasnych warkoczy, te plecy giętke, proste, impertynenckie, zwartym murem

otaczające Heldinga, przedstawiały się w jej oczach jak mur silny, straszny, wznoszący się nagle pomiędzy nią i jej kochankiem. Teraz już nie był od niej daleki, ale ten, który niedawno jeszcze

był nią samą, oddzielał się od niej, odchodził, stawał się obcym, ciągnąc za sobą jej potłuczone i obolałe serce. Przez chwilę chciała powstać, podejść do fortepianu pod pretekstem przejrzenia nut i wmieszać się w to całe grono, ale czuła na sobie setki spojrzeń i pozostała na miejscu, zdjeta nieśmiałością, gładząc tylko powolnym ruchem pióra swego wachlarza. Nagle jednak zatrzymała rękę, sparaliżowana, z gardłem ściśniętym, z oczyma łez pełnymi, jak zwierzę tropione w legowisku, osaczone psiarnią, grającą przyszyły tryumf i krwawą radość. Uczuła się starą, brzydką, śmieszna, spodloną. Była przedmiotem szyderstwa tej całej bandy, której przez lat tyle imponowała spokojem swego cudzołóztwa. Miała nóż w sercu i kamień wstydu nad głową. Po raz pierwszy może poczuła, że

Heiding był tylko jej kochankiem, do którego nie miała żadnego prawa... Uciekał od niej, szedł pomiędzy młodsze, weselejsze istoty...

I bez kropli krwi na ustach siedziała zgarbiona, straszna, zmieniona, niemal zgrzybiała w tej niemej rozpacz, którą się dławić zaczynała.

W kilka godzin później Helling w ci-  
szy swego błękitnego pokoju stał przed  
lustrem i z uśmiechem zadowolenia spo-  
glądał na swą twarz rozjaśnioną.

Tak... bezwątpienia, nie jest jeszcze  
starym i byłoby szaleństwem z jego stro-  
ny nie korzystać z tych warunków, które  
pozwalają mu spędzać od czasu do czasu  
tak miłe chwile, jak te dzisiejsze.

Zapalił kandelabr na kominku i przy-  
glądał się uważnie swej twarzy, oczom,  
zębom, włosom. Nucił coś pod nosem  
i postanowił myć się od jutra w benzoe-  
sie, oraz wprawić sobie trzy przednie  
zęby.

Przymknął na chwilę oczy i uśmiechnął  
się radośnie, przypomniawszy sobie biust  
Niny, oczy Liii i dołki księżniczki. Co  
za dziewczyny !... seperlipopette !... gdzie  
on miał oczy, że do tej chwili nie do-  
strzegł, jakie to cacka są obok niego!  
Prawda, że wiecznie siedział obok Make-  
nowej. Skrzywił się i wzruszył ramiona-  
mi. Ta Makenowa zanadto go więzi i przy  
sobie trzyma!... To dobre było dawniej,  
ale dziś?... Przytem zauważył, że się  
bardzo posunęła i dziś, gdy wychodziła  
z rautu, miała minę zupełnie niemłodej  
kobiety. Chciała coś do niego przemó-

wić, ale właśnie Nini i Liii podsunęły się i musiał im wyszukać ich zarzutek. Podając rotundę Nini, dotknął niechcący jej ramienia. Jeszcze teraz ukrop przebiega jego żyły. Myślał, że jut jest niezdolny do podobnych wzruszeń... Przy Makenowej nie doznawał nic podobnego. Prawdopodobnie dawniej i ona tak na niego działała... Z latami wszakże przyszło przyzwyczajenie!...